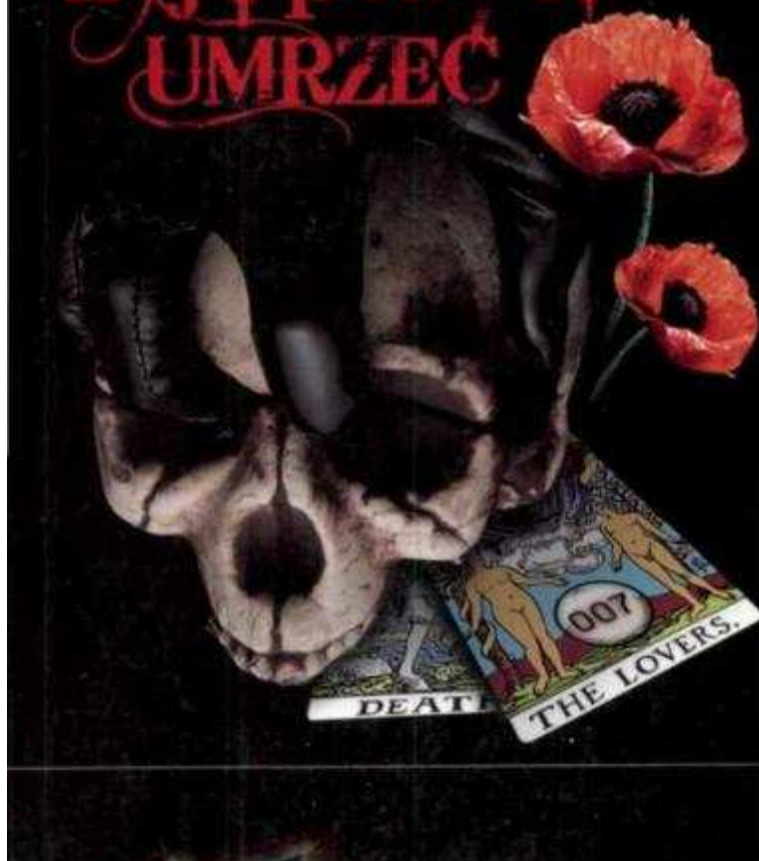


Ian Fleming
JAMES BOND

007

*Żyj i pozwól
UMRZEĆ*



Ian Fleming

JAMES BOND (007)

**Żyj i pozwól
UMRZEC**

PRZEŁOŻYŁ I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

ROBERT STILLER



Przedsiębiorstwo
Wydawnicze Rzeczpospolita SA

Tytuł oryginału *Live and Let Die*

Redakcja Marcin Rutecki

Korekta Agnieszka Nowakowska, Anna Kaniewska

Projekt okładki i strony tytułowej Marcin Kulesza/Fabryka Wyobraźni

Druk Opolgraf S.A.

Copyright © Glidrose Productions Ltd 1954

Copyright © for the Polish translation

by Robert Stiller

Józefów 2008

Copyright © for the Polish edition

Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita” S.A.

Warszawa 2008

Wydanie I Warszawa 2008

ISBN 978-83-60192-71-9

Przedsiębiorstwo Wydawnicze Rzeczpospolita SA

Przedsiębiorstwo Wydawnicze „Rzeczpospolita” S.A.

Al. Jerozolimskie 107

02-011 Warszawa

www.pwrsa.pl ksiazki@pwrsa.pl

Infolinia 0-800-777-778

*Tylko ludzie Biga mówią o nim pan Byk,
dla reszty jest Bykiem.*

I Rozłożyli mu czerwony chodnik

Bywają w życiu tajnego agenta chwile, gdy pławi się w prawdziwym przepychu. Zdarzają zadania, przy których wykonywaniu przychodzi mu odgrywać rolę bogacza; okazje do nurzania się w zbytku, co ma pomóc zapomnieć o niebezpieczeństwie i cieniu śmierci; i momenty, gdy, jak w tym wypadku, jest gościem na terenie sojusznicznych służb.

Od chwili gdy strato cruiser linii BOAC podkołował do międzynarodowego terminalu w Idlewild, Jamesa Bonda traktowano z ipsis królewskimi honorami.

Wysiadł z innymi pasażerami z samolotu i trafił do sławetnego piekła amerykańskich urzędów - Zdrowia, Imigracji i Kontroli Celnej. Pomyślał, że czeka go co najmniej godzina w przegrzanych, burozielonych pomieszczeniach, cuchnących zeszlorocznym powietrzem, potem, winą i - lękiem, jakie unoszą się nad każdym przejściem granicznym - lękiem przed zamkniętymi drzwiami z napisem WSTĘP WZBRONIONY, za którymi czają się surowi funkcjonariusze, kartoteki, dalekopisy natrętnie trajkoczące do Waszyngtonu, do Biura Narkotyków, kontrwywiadu, Departamentu Skarbu i Federalnego Biura Śledczego.

Idąc w przenikliwym styczniowym wietrze po płycie lotniska, widział już własne nazwisko biegnące po przewodach: BOND, JAMES. BRYTYJSKI PASZPORT DYPLMATYCZNY 0094567. Chwila wyczekiwania i odpowiedzi wracające z rozmaitych urzędów: NIE. NIE. NIE. A potem z FBI: TAK CZEKAJ SPRAWDZAMY. Trochę zamieszania na przewodach łączących FBI z Centralną Agencją Wywiadowczą i odpowiedź: FBI DO IDLEWILD

BOND OK OK i układny urzędnik przy wyjściu zwraca mu paszport ze słowami:

- Życzymy przyjemnego pobytu, panie Bond.

Bond wzruszył ramionami i poszedł za innymi przez siatkowe ogrodzenie ku drzwiom z napisem SŁUŻBA ZDROWIA USA.

Dla niego była to, rzecz jasna, tylko nudna formalność, jednak nie sprawiało mu przyjemności, że jego kartoteka znajduje się w jakimkolwiek obcym mocarstwie. Anonimowość to podstawa w jego fachu. Każdy ślad jego prawdziwej tożsamości trafiający gdziekolwiek do akt zmniejsza jego użyteczność i w końcu zagraża życiu. Tu w Ameryce, gdzie wiedzą o nim wszystko, czuł się jak Murzyn, któremu czarownik ukradł cień. Jakaś żywotna część jego przeszła w cudze ręce jako zastaw. Tym razem u przyjaciół, owszem, ale jednak...

- Pan Bond?

Cywil o sympatycznym, choć nieokreślonym wyglądzie wynurzył się z cienia budynku Służby Zdrowia.

- Nazywam się Halloran. Miło mi pana poznać.

Podali sobie ręce.

- Mam nadzieję, że podróż się udała. Pan pozwoli ze mną.

- W porządku, sierżancie - zwrócił się do pilnującego drzwi policjanta z ochrony lotniska.

- W porządku, panie Halloran. Do zobaczenia.

Inni pasażerowie wchodzili do środka. Halloran skrzył w lewo, omijając budynek. Kolejny policjant otworzył im furtkę w wysokim ogrodzeniu.

- Do widzenia, panie Halloran.

- Do widzenia. Dziękuję.

Zaraz przy wyjściu czekał czarny buick z cicho pracującym silnikiem. Wsiedli. Dwie lekkie walizki Bonda już leżały z przodu obok kierowcy. Nie wyobrażał sobie, jakim cudem tak szybko wydobyto

je ze sterty pasażerskiego bagażu, którą jeszcze przez chwilę przewożono do odprawy celnej.

- Ruszaj, Grady.

Bond zapadł się w wygodnym siedzeniu, kiedy ogromna limuzyna płynnym zrywem doszła do najwyższego przełożenia w automatycznej skrzyni biegów.

- To chyba najczerswieńszy chodnik, jaki widziałem w życiu! - rzekł do Hallorana. - Spodziewałem się, że ci z imigracyjnego potrzymają mnie co najmniej godzinę. Kto mi go tak rozesłał? Nie przyzwyczaiłem się, by traktowano mnie jak VIP-a. W każdym razie bardzo dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Bond. - Halloran uśmiechnął się i poczęstował go lucky strikiem ze świeżo otwartej paczki. - Chcemy uprzyjemnić panu pobyt. Jeśli będzie pan miał na coś ochotę, proszę tylko powiedzieć. Ma pan w Waszyngtonie dobrych przyjaciół. Nie wiem, jaki jest cel pańskiej wizyty, ale władzom najwyraźniej zależy na tym, aby miał pan wszelkie przywileje gościa rządu. Ja mam tylko zadbać o to, żeby dotarł pan do hotelu jak najszybciej i jak najwygodniej; potem przekazuję sprawę i znikam. Czy mogę na chwilę prosić o paszport?

Bond mu go podał. Halloran otworzył leżącą przy nim teczkę i wyjął ciężką metalową pieczęć. Przekartkował paszport Bonda, aż znalazł wizę amerykańską, ostemplował ją, złożył podpis na ciemnoniebieskim kółku z godłem Departamentu Sprawiedliwości i zwrócił. Następnie wyjął notes i wyciągnął z niego grubą białą kopertę, którą wręczył Bondowi.

- Tu jest tysiąc dolarów, panie Bond. - Podniósł dłoń, kiedy Bond chciał zaprotestować. - To z pieniędzy komunistycznych, część tego, co zgarnęliśmy w sprawie Schmidta i Kinaskiego. Używamy ich teraz przeciwko nim i Prosilibyśmy, aby w trakcie swej misji

wydał je pan według własnego upodobania. Uprzedzono mnie, że pańska odmowa byłaby uznana wręcz za coś nieprzyjaznego. Bardzo proszę, nie mówmy już o tym - dodał, gdy Bond wciąż z powątpiewaniem spoglądał na kopertę trzymaną w ręku. - Polecono mi też przekazać, że dajemy panu te pieniądze za wiedzą i zgodą pańskiego szefa.

Bond przyjrzał mu się bacznie i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Schował kopertę do portfela.

- W porządku - powiedział. - I dzięki. Postaram się je wydać tak, żeby przyniosły jak najwięcej szkody. Przyda mi się jakiś kapitał obrotowy. Dobrze wiedzieć, że dostarczyła go strona przeciwna.

- To świetnie - odparł Halloran - a teraz, jeśli pan pozwoli, napiszę na brudno raport, który muszę sporządzić. Żebym nie zapomniał powysyłać listów z podziękowaniami za pomoc i współpracę do Biura Imigracyjnego, Urzędu Celnego i tak dalej. To działanie rutynowe.

- Ależ proszę - rzekł Bond. Z przyjemnością sobie pomilczał, przypatrując się Ameryce, której nie oglądał od czasu wojny. Nie było też stratą czasu przypomnienie sobie języka amerykańskiego; reklamy, nowe modele samochodów i ceny używanych wozów na placach sprzedaży; egzotyczna pikanteria znaków drogowych: SOFT SHOULDERS. SHARP CURVES. SQUEEZE AHEAD. SLIPPERY WHEN WET, jakby szło nie tyle o miękkie pobocza, ostre zakręty, zwężenie jezdni czy groźbę poślizgu, ile o ramiona, damskie sylwetki, uścisk i kuszącą wilgoć. Obserwował styl jazdy kierowców: kobiety za kierownicą i mężczyźni potulnie przy nich siedzących; styl męskich ubiorów; kobiece uczesania; znaki ostrzegawcze Obrony Cywilnej: W RAZIE ATAKU WROGA. NIE ZATRZYMYWAĆ SIĘ. ZJECHAĆ Z MOSTU; gęstą wysypkę anten telewizyjnych oraz natarcie TV na billboardy i witryny sklepów; niekiedy dostrzegał

helikopter; widział apele do społeczeństwa o wpłaty na walkę z rakiem i chorobą Heine-Medina pod hasłem KAŻDY CENT SIĘ LICZY; wszystkie te drobne ulotne wrażenia, tak ważne w jego fachu jak obdarta kora i zgięte gałązki dla tropiciela w dżungli.

Kierowca wybrał zapierający dech swą rozpiętością Triborough Bridge i skoczyli przez ten most w serce Manhattanu, a przepiękna panorama Nowego Jorku pędziła ku nim, aż znaleźli się w dole, wśród kłębiących się, trąbiących i cuchnących benzyną korzeni tej dżungli ze sprężonego betonu.

Bond zwrócił się do swego towarzysza.

- Przykro mi to mówić - rzekł - ale to musi być najsmakowitszy cel dla bomby atomowej na całej powierzchni globu.

- Nic się do tego nie umywa - przyznał Halloran. - Nie śpię po nocach, jak pomyślę o czymś takim.

Zajechali pod najlepszy hotel w Nowym Jorku, St Regis, na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Za portierem wyszedł im naprzeciw mężczyzna o pochmurnym wyrazie twarzy, w średnim wieku, w granatowym płaszczu i miękkim czarnym kapeluszu. Kiedy stanęli na chodniku, Halloran go przedstawił.

- Panie Bond, oto kapitan Dexter. - Jego zachowanie było pełne szacunku. - Czy mogę panu przekazać naszego gościa, kapitanie?

- Naturalnie. Tylko niech pan każe wnieść jego walizki. Do pokoju dwa tysiące sto. Ostatnie piętro. Ja z panem Bondem pójdę przodem i dopilnuję, żeby mu niczego nie zabrakło.

Bond odwrócił się, aby podziękować Halloranowi i pożegnać się z nim. Przez moment Halloran był odwrócony do niego tyłem, bo mówił coś do portiera o bagażach Bonda. Spoza jego pleców Bond patrzył na szeroką Pięćdziesiątą Piątą Ulicę. Zmrużył oczy. Czarny

sedan Chevrolet ostro wsączał się w gęsty ruch. Zajechał drogę tak-
sówce z szachownicą, której kierowca, gwałtownie hamując, zatrąbił
przeciagle. Sedan nie zwolnił, przeskoczył na zielonym świetle i
pomknął Piątą Aleją na północ.

Był to przykład zręcznej, ale agresywnej jazdy, ale Bonda zasko-
czyło, że za kierownicą siedziała przystojna Murzynka w uniformie
szofer. W tylnym oknie mignął mu jedyny pasażer - zobaczył ol-
brzymie czarniawo-szare oblicze. Mężczyzna z wolna obrócił się i
popatrzył wprost na niego - był tego pewien - gdy samochód się
rozpędzał.

Bond uściśnął Halloranowi dłoń. Dexter niecierpliwie dotknął je-
go łokcia.

- Przejdziemy prosto do wind w połowie długości holu. Czy
mógłby pan nie zdejmować kapelusza?

Idąc za Dexterem po schodach, Bond pomyślał, że z pewnością
za późno już na te ostrożności. Mało gdzie na świecie znalazłoby się
Murzynkę prowadzącą samochód. A Murzynka zatrudniona w roli
szofer to jeszcze dziwniejsze zjawisko. Prawie nie do pojęcia było
to nawet w Harlemie; ale samochód był niewątpliwie stamtąd. A ta
olbrzymia postać na tylnym siedzeniu? To czarniawo-szare oblicze?
Czyżby Byk?

- Hm - mruknął Bond, wchodząc do windy za szczupłym kapi-
tanem Dexterem.

Winda zatrzymała się na dwudziestym pierwszym piętrze.

- Mamy dla pana małą niespodziankę, panie Bond - rzekł kapi-
tan Dexter, ale zdaniem Bonda bez szczególnego entuzjazmu.

Przeszli korytarzem do narożnego pokoju. Za oknami szumiał
wiatr i Bond, przelotnie ujrawszy szczyty innych drapaczy chmur, a
za nimi drzewa Central Parku, poczuł się całkiem oderwany od

rzeczywistości. Przez chwilę ścisnęło mu serce dziwne poczucie samotności i pustki.

Dexter otworzył kluczem drzwi do pokoju 2100 i zamknął je za sobą, gdy weszli. Znaleźli się w małym, oświetlonym przedpokoju. Kapelusze i płaszcze zostawili na krześle. Dexter otworzył następne drzwi i przepuścił Bonda.

Bond wszedł do salonu przyjemnie urządzonego w stylu empire z Trzeciej Alei: wygodne fotele i szeroka sofa pokryte bladeżółtym jedwabiem, na podłodze nieża kopia dywanu Aubusson, białoszare ściany i sufit, półokrągły francuski stolik przyścienny z butelkami, szklankami i posrebrzonym wiaderkiem do lodu, z boku okno, przez które lały się promienie zimowego słońca z czystego jak w Szwajcarii nieba. Centralne ogrzewanie było ustawione na przyjemną temperaturę.

Otworzyły się drzwi do sypialni.

- Właśnie ustawiałem kwiaty przy twoim łóżku. Wchodzi to w skład programu „Obsługa z uśmiechem”, z którego słynie CIA. - Szczupły i wysoki młody mężczyzna podszedł z szerokim uśmiechem i z wyciągniętą dłonią do Bonda, który stanął jak wryty.

- Felix Leiter! Co tu robisz, u diabła? - Bond chwycił jego twardą dłoń i serdecznie nią potrząsnął. - A w szczególności co robisz, u diabła, w mojej sypialni? Miło cię zobaczyć, jak Boga kocham! Dlaczego nie jesteś w Paryżu? Chyba nie ściągnęli cię do tej roboty?

Leiter przyjrzał się Anglikowi z radością.

- To właśnie zrobili. Co za szansa! Przynajmniej dla mnie. CIA uznała, że nieźle nam razem poszło w Casino Royale, więc wyciągnęli mnie z Połączonego Wywiadu w Paryżu, załatwili tę sprawę w Waszyngtonie i jestem. Jako ktoś w rodzaju łącznika między CIA i naszymi przyjaciółmi z FBI. - Machnął ręką w stronę kapitana

Dextera, który bez entuzjazmu przyglądał się tej nieprofesjonalnej wylewności. - Oni zajmują się sprawą w Stanach, ale poza Stanami działania podejmie CIA, zatem działamy wspólnie. Teraz ty przyjechałeś, żeby od strony brytyjskiej zająć się tym, co na Jamajce, więc jesteśmy w komplecie. Jak ci się to podoba? Siadaj i napijmy się. Zamówiłem lancz, gdy tylko dowiedziałem się, że jesteś na dole. Zaraz go przyniosą. - Podeszedł do kredensu i zabrał się do przyrządzania martini.

- Nie do wiary - rzekł Bond. - Ten stary diabeł M oczywiście nic mi nie powiedział. On podaje jedynie fakty, dobrych wiadomości nigdy. Chyba sądzi, że to mogłoby wpłynąć na decyzję, czy się weźmie sprawę, czy nie. W każdym razie to świetnie.

Bond wyczuł milczenie kapitana Dextera. Zwrócił się do niego.

- Będzie mi ogromnie miło znaleźć się tu pod pańskimi rozkazami, kapitanie - rzekł taktownie. - Jeśli dobrze rozumiem, sprawa dzieli się dość wyraźnie na dwie części. Jedna dotyczy niedwuznacznie amerykańskiego terytorium i oczywiście podlega waszej jurysdykcji. A potem wygląda na to, że trzeba będzie udać się w rejon Karaibów. Na Jamajkę. Rozumiem, że ja przejmuję sprawę poza granicą amerykańskich wód terytorialnych. A nasz Felix oficjalnie połączy obydwie części od waszej strony. Raporty będę kierował, dopóki jestem tutaj, do Londynu przez CIA, ale z Karaibów już wprost do Londynu, tyle że informując także CIA. Czy tak pan to sobie wyobraża?

Dexter lekko się uśmiechnął.

- Mniej więcej tak, panie Bond. Pan Hoover polecił mi przekazać, jak bardzo cieszy się z pańskiej obecności. Oczywiście jako gościa - dodał. - Rzecz jasna brytyjska część tej sprawy nas nie dotyczy i bardzo się cieszymy, że CIA będzie to załatwiać z panem i z

waszymi ludźmi w Londynie. Chyba wszystko się dobrze ułoży. Za nasze powodzenie! - Wzniósł koktajl podany mu przez Leitera.

Pili ten zimny, mocny trunek, delektując się. Na jastrzębiej twarzy Leitera malował się leciutko kpiący wyraz.

Ktoś zapukał do drzwi. Leiter otworzył je i wpuścił chłopca hotelowego z walizkami Bonda. Za nim szli dwaj kelnerzy, pchając wózki obładowane przykrytymi daniami, sztućcami i śnieżnobiałym płótnem. Po chwili zaczęli nakrywać na rozkładanym stole.

- Delikatne kraby z sosem tatarskim, cienkie wołowe hamburgery z rusztu, średnio wysmażone, frytki, brokuły, sałatka z sosem tysiąca wysp, lody, na nich stopiony *butterscotch* i najlepszy Liebfraumilch, jaki można dostać w Ameryce. Może być?

- Brzmi niezłe - rzekł Bond, nie manifestując swych wątpliwości co do stopionego *butterscotcha*.

Usiedli i zabrali się do degustacji kolejnych dań kuchni amerykańskiej w jej najsmakowitszym wydaniu.

Niewiele mówili. Dopiero gdy podano kawę i sprzątnięto ze stołu, kapitan Dexter wyjął z ust cygaro za pięćdziesiąt centów i zdecydowanie odchrząknął.

- Panie Bond - odezwał się - może by nam pan teraz powiedział, co panu wiadomo o tej sprawie.

Bond otworzył paznokciem kciuka świeżą paczkę chesterfieldów king size i usadowił się głębiej w wygodnym fotelu, w ciepłym, luksusowym pokoju. Cofnął się pamięcią o dwa tygodnie do słotnego i zimnego dnia w początkach stycznia, kiedy wyszedł ze swego mieszkania w Chelsea w posępny półmrok mgły londyńskiej.

II Rozmowa z M

Szary kabriolet bentley, model 1933 o pojemności 4,5 litra z kompresorem Amherst Villiers, parę minut temu wyprowadzony z garażu, w którym był trzymany, zapalił za pierwszym razem. Bond włączył podwójne światła przeciwmgłowe i ruszył ostrożnie po King's Road, następnie skręcił w Sloane Street w kierunku Hyde Parku.

Szef sztabu starego M zadzwonił o północy, że M wzywa Bonda na dziewiątą rano.

- Trochę za wcześnie - usprawiedliwiał się - ale on najwyraźniej chce, żeby coś ruszyło z kopyta. Przetrawiał to od tygodni. Chyba się zdecydował.

- Może mi pan podrzucić coś przez telefon?

- A jak Apple i C jak Charlie - powiedział szef sztabu i wyłączył się.

Znaczyło to, że sprawa dotyczy Sekcji A i C, z których jedna zajmuje się Stanami Zjednoczonymi, a druga Karaibami. Podczas wojny Bond pracował jakiś czas dla Sekcji A, natomiast w problematyce Sekcji C niezbyt się orientował.

Kiedy tak sunął wolniutko przy krawężniku przez Hyde Park, a towarzystwa dotrzymywał mu powolny werbel dwucalowej rury wydechowej, ekscytowała go myśl o spotkaniu z M, przedziwnym człowiekiem, szefem Secret Service. Nie patrzył w te zimne, przebiegłe oczy już od schyłku lata. Wtedy M był nawet zadowolony.

- Weź urlop - rzekł. - Porządny urlop. Później każ sobie przeczepić kawałek świeżej skóry na ten wierzch dłoni. Q skieruje cię do najlepszego specjalisty i załatwi wizytę. Nie będziesz chodził z

tym przeklętym rosyjskim znakiem firmowym na ciele. Rozejrzę się dla ciebie za jakimś niezłym zadaniem, jak już doprowadzisz się do porządku. Powodzenia.

Zrobiono porządek z jego dłonią, bezboleśnie, ale powoli. Usunięto cienkie blizny, tworzące rosyjską literę *III*, pierwszą literę słowa *szpion*, czyli szpieg. Dłonie Bonda zacisnęły się na kierownicy, kiedy pomyślał o człowieku ze sztyletem, który je wyciął.

Co się dzieje ze wspaniałą organizacją, której agentem był ten człowiek z nożem, z sowiecką organizacją odwetową Smiersz: skrót od *Смерть Шпионам*, Śmierć Szpiegom? Czy jest nadal równie potężna, równie sprawna? Kto nią rządzi teraz, kiedy nie ma już Berii? Po bardzo ryzykownej sprawie, w której uczestniczył w Royale-les-Eaux, Bond poprzysiął, że porachuje się z nimi. To właśnie zapowiedział w tej ostatniej rozmowie z M. Czy dzisiejsze spotkanie z M ma skierować go na drogę zemsty?

Bond zmrużył oczy, gdy spojrział w półmrok Regent's Park, a jego twarz w lekkiej poświacie tablicy rozdzielczej stała się zimna i okrutna.

Wjechał w uliczkę na tyłach ponurego, wysokiego budynku, przekazał samochód jednemu z ubranych po cywilnemu kierowców na służbie i skierował się do głównego wejścia. Wwieziono go windą na najwyższe piętro i poprowadzono po grubym dywanie tak dobrze mu znanym korytarzem, do drzwi pokoju sąsiadującego z gabinetem M. Szef sztabu oczekiwał go i natychmiast zawiadomił M przez telefon.

- Jest zero zero siedem, sir.
- Niech wejdzie.

Powabna panna Moneypenny, wszechmocna sekretarka admirała M, obdarzyła go zachęcającym uśmiechem i wszedł przez podwójne drzwi. Wysoko na ścianie w pokoju, który opuścił, natychmiast

zapaliło się zielone światło. Dopóki ono się świeci, nie wolno M przeszkadzać.

Lampka z zielonym szklanym kloszem rozlewała kałużę blasku na czerwonej skórze pokrywającej szerokie biurko. Resztę pokoju przyćmiewała mgła unosząca się za oknami.

- Jak się masz, zero zero siedem. Pokaż tę dłoń. Całkiem niezła robota. Skąd wzięli skórę?

- Z górnej części przedramienia, sir.

- Hm. Włosy będą rosły trochę za gęste. I krzywo. Trudno. Nie ma rady. Na razie wygląda nieźle. Siadaj.

Bond podszedł do jedyne go krzesła, stojącego przed biurkiem naprzeciw M. Szare oczy spojrzały na niego. Poprzez niego.

- Porządnie odpocząłeś?

- Tak jest, dziękuję, sir.

- Widziałeś coś takiego? - M wydobył z kieszonki w kamizelce jakiś przedmiot i rzucił w stronę Bonda. Upadł z cichym brzękiem na czerwoną skórę i leżał, wspaniale połyskując: szeroka na cal moneta bita ze złota.

Bond podniósł ją, obrócił, zważył na dłoni.

- Nie, sir. Warta może z pięć funtów.

- Dla kolekcjonera piętnaście. To Rose Noble Edwarda Czwartego.

M znowu pogrzebał w kieszeni i rzucał kolejne wspaniałe złote monety na biurko przed Bondem. Spoglądał na każdą, rozpoznawał je kolejno i określał.

- Double Excellente, hiszpańska, Ferdynand i Izabela, tysiąc pięćset dziesiąty. Ecu au Soleil, francuska, Karol Dziewiąty, tysiąc pięćset sześćdziesiąty czwarty. Double Ecu d'Or, francuska, Henryk Czwarty, tysiąc sześćsetny. Podwójny dukat hiszpański, Filip Drugi, tysiąc pięćset sześćdziesiąty. Ryder holenderski, Charles d'Egmond,

tysiąc pięćset trzydziesty ósmy. Kwadrupel genueński, tysiąc sześćset siedemnasty. Podwójny ludwik francuski *à la mèche courte*, Ludwik Czternasty, tysiąc sześćset czterdziesty czwarty. Po stopieniu wartość mnóstwo pieniędzy. Dla kolekcjonerów o wiele więcej, po dziesięć do dwudziestu funtów za sztukę. Zauważyłeś, co mają wspólnego?

Bond zastanowił się.

- Nie, sir.

- Wszystkie są wybite przed rokiem tysiąc sześćset pięćdziesiątym. Krwawy Morgan, ten pirat, był na Jamajce gubernatorem i wodzem naczelnym od tysiąc sześćset siedemdziesiątego czwartego do tysiąc sześćset osiemdziesiątego trzeciego. Angielska moneta nie pasuje do reszty. Prawdopodobnie wchodziła w skład żołdu wysyłanego garnizonowi na Jamajce. Gdyby nie to i daty, mogłyby stanowić część dowolnego skarbu, jakie odkładali wielcy piraci: L'Ollonais, Pierre le Grand, Sharp, Hawkins, Czarnobrody. A tak - potwierdzają to zgodnie Spinks i Muzeum Brytyjskie - jest to niemal na pewno fragment skarbu Krwawego Morgana.

M przerwał, żeby nabić i zapalić fajkę. Nie zaproponował Bondowi, żeby też zapalił, a Bondowi bez takiego zaproszenia przez myśl by to nie przeszło.

- Musiała to być góra złota. Jak dotąd pokazało się w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich miesięcy prawie tysiąc tych i podobnych monet. A skoro już Wydział Specjalny Departamentu Skarbu i FBI wykryły ich tysiąc, to ile przetopiono albo ukryto w prywatnych kolekcjach? I ciągle napływają, pojawiają się w bankach, u handlarzy złotem, w sklepach z pamiątkami, i oczywiście najczęściej w lombardach. FBI znalazło się w kropce. Jeśli wciągną je do policyjnego rejestru przedmiotów ukradzionych, to wiadomo, że źródło wyschnie. Wszystkie zostaną przetopione na sztaby i rzucone prosto na czarny rynek. Poświęciliby wartość antykwaryczną tych monet,

ale złoto by spłynęło pod ziemię. Na razie ktoś wykorzystuje Murzynów - portierów, konduktorów w pociągach, kierowców ciężarówek - i rozprowadza te pieniądze po całych Stanach. Ci ludzie są całkiem niewinni. Oto typowy przykład. - M otworzył brązową teczkę z czerwoną gwiazdą na wierzchu, oznaczającą *Ścisłe tajne*, i wyłowił z niej pojedynczą kartkę. Z odwrotnej strony, kiedy M ją podniósł, Bond spostrzegł nagłówek: *Departament Sprawiedliwości. Federalne Biuro Śledcze*. M odczytał z tego dokumentu:

- Zachary Smith, lat trzydzieści pięć, Murzyn, członek Bractwa Konduktorskiego Wagonów Sypialnych, adres dziewięćdziesiąt B Zachodnia Sto Dwudziesta Szósta, Nowy Jork. (M podniósł oczy na Bonda. - Harlem - powiedział). Zidentyfikowany przez Arthura Feina z jubilerskiej Spółki Akcyjnej Fein Jewels, osiemset siedemdziesiąt Lenox Avenue, jako osobnik, który dwudziestego pierwszego listopada tego roku zaproponował mu nabycie czterech złotych monet z szesnastego i siedemnastego wieku (tu podano szczegóły). Fein zaproponował sto dolarów, którą to zapłatę przyjęto. W toku przesłuchania Smith oświadczył, że kupił je w Bar-B-Q Siódme Niebo (znany bar w Harlemie) po dwadzieścia dolarów za sztukę od Murzyna, którego nigdy przedtem ani potem nie spotkał. Sprzedawca twierdził, że u Tiffany'ego byłyby warte pięćdziesiąt dolarów sztuka, ale że on potrzebuje natychmiast gotówki, a do Tiffany'ego jest za daleko. Smith kupił jedną monetę za dwadzieścia dolarów i przekonawszy się, że w sąsiednim lombardzie dostałby za nie po dwadzieścia pięć dolarów, wrócił do baru i nabył pozostałe trzy monety za sześćdziesiąt dolarów. Nazajutrz rano zaniósł je do Feina. Nie figuruje w rejestrze skazanych.

M schował dokument z powrotem do brązowej teczki.

- Typowe - skomentował. - W kilku wypadkach udało im się dopaść następnego w łańcuszku, pośrednika, który kupił je trochę

taniej, i okazywało się, że nabył więcej, w jednym wypadku całą setkę, od kogoś, kto kupił je rzekomo jeszcze taniej. Te większe transakcje zawsze odbywały się w Harlemie albo na Florydzie. Następnym w łańcuszku był zawsze nieznany Murzyn, pracujący umyślowo, dobrze sytuowany, wykształcony, który przypuszczał, że monety pochodzą ze znalezionej skarbu Czarnobrodęgo. Ta historia o Czarnobrodym w śledztwie prawie zawsze dałaby się obronić - ciągnął M - ponieważ są powody, aby przypuszczać, że część jego skarbu istotnie odkopano gdzieś koło Bożego Narodzenia tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku w miejscu zwanym Plum Point. Jest to wąski cypel w hrabstwie Beaufort w Karolinie Północnej, gdzie Bath Creek wpada do rzeki Pamlico. Nie sądzę, że jestem ekspertem w tej dziedzinie - uśmiechnął się - wszystko to można wyczytać tu w aktach. Teoretycznie ci szczęśliwi poszukiwacze skarbów postąpiliby rozsądnie, gdyby ukryli swój łup do czasu, kiedy wszyscy o nim zapomną, a potem szybko wypchnęli go na rynek. Albo mogli go sprzedać w całości już wtedy, albo później, i teraz nabywca zdecydował się towar upłynnić. Tak czy inaczej byłby to całkiem niezły kamuflaż, gdyby nie dwie sprawy.

M przerwał i ponownie zapalił fajkę.

- Po pierwsze: Czarnobrody działał mniej więcej od roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego do tysiąc siedemset dziesiątego i jest nieprawdopodobne, aby jakakolwiek z jego monet została wybita później niż w tysiąc sześćset pięćdziesiątym. Poza tym, jak już powiedziałem, jest prawie niemożliwe, ażeby w jego skarbach znalazły się Rose Nobles Edwarda Czwartego, jako że nie zanotowano, aby jakiś angielski statek z pieniędzmi został przez piratów zdobyty w drodze na Jamajkę. Bractwo Wybrzeża nie porывało się na nie. Miały zbyt silną ochronę. Nie brakowało dużo łatwiejszych zdobyczy, skoro już się żeglowało „gwoli łupieży”, jak to się wówczas.

mawiało. - A po drugie - tu M popatrzył w sufit, a potem znów na Bonda - ja wiem, gdzie jest ten skarb. Przynajmniej tak uważam. Otóż nie znajduje się on w Ameryce. Tylko na Jamajce. I jest to skarb Krwawego Morgana, sądzę, że jeden z najcenniejszych skarbów w dziejach ludzkości.

- Rany boskie - rzekł Bond. - Jak to... skąd my w tym wszystkim?

M podniósł dłoń.

- Szczegóły znajdziesz tutaj. - Dłoń opadła na brązową teczkę. - Mówiąc pokrótce, Sekcja C zainteresowała się jachtem motorowym *Secatur* pływającym od małej wysepki u północnych brzegów Jamajki przez Florida Keys w głąb Zatoki Meksykańskiej, do miejscowości St Petersburg. To miejsce wczasowe w pobliżu Tampy na zachodnim wybrzeżu Florydy. Z pomocą FBI ustaliliśmy, że właścicielem statku i wyspy jest niejaki Byk, murzyński gangster. Mieszka w Harlemie. Czy słyszałeś o nim?

- Nie - odpowiedział Bond.

- I ciekawa rzecz - rzekł M ciszej - ale dwudziestodolarowy banknot, którym jeden z tych przypadkowych Murzynów zapłacił za złotą monetę i którego numer sobie zapisał do gry w loterię Peaka Peow, wypłacił jeden z adiutantów Byka. - A wypłacono go - M wymierzył w Bonda ustnik swej fajki - za uzyskaną informację pewnemu podwójnemu agentowi FBI, który jest członkiem Partii Komunistycznej.

Bond cicho gwizdnął.

- Krótko mówiąc - podjął M - podejrzewamy, że ten skarb z Jamajki używany jest do finansowania sowieckiej organizacji szpiegowskiej w Ameryce lub jej dużej części. A podejrzenie nasze zmieni się w pewność, kiedy ci powiem, kim jest Byk.

Bond czekał, nie odrywając oczu od M.

- Byk - odezwał się uroczyście M, ważąc każde słowo - jest prawdopodobnie najpotężniejszym czarnym kryminalistą na świecie. Jest on - zaczął metodycznie wyliczać - głową kultu Czarnej Wdowy i wyznawcy tej odmiany religii wudu uważają go za samego Barona Samedi. (Wszystko na ten temat znajdziesz tutaj - postukał w teczkę - i ciarki cię przejdą). Jest również agentem sowieckim. A poza tym wiadomo, i to ciebie szczególnie zainteresuje, Bond, że należy do Smierszu.

- Tak - odparł Bond - teraz rozumiem.

- Nie lada sprawa - rzekł M, patrząc na niego przenikliwie. - I nie lada postać ten Byk.

- Chyba nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby Murzyn był wielkim przestępcą - odpowiedział Bond. - Chińczycy, owszem, ci faceci kryjący się za handlem opium. Byli też i są dużego formatu Japończycy, przeważnie robiący w perłach i narkotykach. Mnóstwo jest Murzynów zamieszanych w handel diamentami i złotem z Afryki, ale zawsze na małą skalę. Oni jakoś nie lecą na duży interes. Powiedziałbym, że na ogół są całkiem praworządni, chyba że za bardzo sobie podpiją.

- Ten nasz to wyjątek - rzekł M. - Nie jest to czysty Murzyn. Urodził się na Haiti. Spora domieszka krwi francuskiej. Poza tym wyszkolony w Moskwie, jak się dowiesz z tych akt. A z czarnej rasy właśnie zaczynają się rodzić rozmaici geniusze - lekarze, naukowcy, pisarze. Najwyższy czas, żeby się pojawił też wielki zbrodniarz. Bądź co bądź, jest ich na tym świecie dwieście pięćdziesiąt milionów. Białych jest tylko trzy razy więcej. Nie brakuje im rozumu, zdolności ani odwagi. A teraz Moskwa wzięła i nauczyła jednego z nich swojej techniki.

- Chciałbym się z nim spotkać - rzekł Bond. Po czym łagodnie dodał: - A właściwie chciałbym się spotkać z dowolnym członkiem Smierszu.

- W porządku, Bond. Weź te akta. - M wręczył mu grubą brązową teczkę. - Obgadajcie to z Plenderem i Damonem. Bądź gotów za tydzień. Jest to wspólne przedsięwzięcie CIA i FBI. Tylko, na Boga, nie włącz na odciski tym z FBI. Oni są nadwrażliwi. Życzę powodzenia.

Bond udał się prosto do komandora Damona, szefa Sekcji A, bystrego Kanadyjczyka, zajmującego się łącznością z Centralną Agencją Wywiadowczą, amerykańskim odpowiednikiem brytyjskiej Secret Service.

Damon podniósł oczy znad biurka.

- Widzę, że kupiłeś to - rzekł, spoglądając na teczkę. - Spodziewałem się tego. Siadaj. - Machnął ręką w stronę fotela przy kominku elektrycznym. - Jak przez to wszystko przebrniesz, uzupełnij luki.

III Wizytówka

Od wizyty u M minęło dziesięć dni i rozmowa z Dexterem i Leiterem nie wniosła wiele nowego, pomyślał Bond, budząc się z wolna i rozkosznie w swojej sypialni w hotelu St Regis rankiem po przybyciu do Nowego Jorku.

Dexter znał mnóstwo szczegółów dotyczących Byka, lecz nic takiego, co rzuciłoby nowe światło na sprawę. Byk miał czterdzieści pięć lat, urodził się na Haiti, był pół Murzynem, pół Francuzem. Ze względu na inicjały swego pretensjonalnego nazwiska Buonaparte Ignace Gallia, a także olbrzymi wzrost i ogrom cielska, już za młodu znany był jako Big Boy albo po prostu Big. Później zrobiło się z tego Big Man albo mister Big, ale zwano go też Bykiem, a jego prawdziwe nazwisko z imionami pokutowało już tylko w księgach parafialnych na Haiti oraz w aktach w FBI. Nie miał żadnych znanych nałogów z wyjątkiem kobiet, a te konsumował w dużej liczbie. Nie pił, nie palił, a jego jedyną piętą achillesową była chroniczna choroba serca, która w ostatnich latach nadała jego skórze szary odcień.

Big Boy został już w chłopięcym wieku wtajemniczony w obrzędy wudu, na życie zarabiał jako kierowca ciężarówki w Port-au-Prince, po czym wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i z powodzeniem pracował dla gangu Długonogiego Diamonda, rabującego przemysłników alkoholu. Po zniesieniu prohibicji przeniósł się do Harlemu i kupił połowę udziałów w małym klubie nocnym i w stajni ciemnoskórych panienek na telefon. W roku 1938 znaleziono jego współniżka w rzece Harlem, zacementowanego w beczce, i Byk stał się automatycznie jedynym właścicielem interesu. Powołany do wojska w 1943 roku, dzięki doskonałej znajomości francuskiego zwrócił na siebie uwagę Biura Służb Strategicznych, czyli amerykańskiego wywiadu czasu wojny, został gruntownie wyszkolony i przerzucony do Marsylii jako agent działający przeciw kolaborantom Pétaina. Nie

odróżniał się od murzyńskich dokerów z Afryki, dobrze się zasłużył, dostarczał cennych i rzetelnych informacji na temat floty. Blisko współpracował z pewnym szpiegiem sowieckim, wykonującym podobną robotę dla Rosjan. Po wojnie zdemobilizowany we Francji (z odznaczeniami zarówno od Amerykanów, jak i od Francuzów) nagle znikł na pięć lat, prawdopodobnie w Moskwie. Wrócił do Harlemu w 1950 roku i niebawem podpadł FBI jako podejrzany o pracę dla sowieckiego wywiadu. Nigdy jednak nie zdradził się niczym i nie wpadł w żadną z pułapek zastawianych przez FBI. Wykupił trzy kluby nocne i łańcuch dobrze prosperujących burdeli w Harlemie. Wyglądało na to, że ma nieograniczone fundusze, a swoim asystentom płacił ryczałtem po dwadzieścia tysięcy dolarów rocznie. Służyli mu więc równie fachowo, jak pilnie, także i dlatego, że mordował tych, którzy go zawiedli. Wiadomo, że powołał do życia podziemną świątynię wudu w Harlemie i nawiązał łączność z głównym ośrodkiem kultu na Haiti. Rozeszły się pogłoski, że jest zombi, czyli żyjącym trupem, tyle że samego Barona Samedi, otaczanego trwogą Księcia Ciemności, on zaś je podtrzymywał, tak że teraz już była to wersja powszechnie przyjęta w niższych warstwach świata czarnych. W rezultacie budził prawdziwą grozę, tym bardziej że rychła i nieraz tajemnicza śmierć spotykała każdego, kto mu się przeciwstawił albo nie wykonał jego rozkazu.

Bond wypytał bardzo szczegółowo Dextera i Leitera o wszystko, co by świadczyło, że olbrzymi Murzyn ma powiązania ze Smierzem. Dowody raczej nie budziły wątpliwości.

W roku 1951 za obietnicę miliona dolarów w złocie i bezpiecznego azylu po sześciu miesiącach pracy FBI zdołało wreszcie nakłonić znanego agenta MWD do działania na dwie strony. Wszystko szło jak najlepiej przez miesiąc, a wyniki przekraczały najśmielsze oczekiwania. Rosyjski szpieg pełnił funkcję eksperta ekonomicznego przy delegacji sowieckiej w ONZ. Pewnej soboty udał się na Pennsylvania Station, aby pojechać z niej metrem do sowieckiego ośrodka wypoczynkowego w Glen Cove, byłej posiadłości Morganów na

Long Island.

Olbryzi Murzyn, na podstawie zdjęcia rozpoznany jako Byk, stał obok niego na peronie, gdy pociąg nadjeżdżał, i widziano go idącego do wyjścia, zanim jeszcze pierwszy wagon zatrzymał się nad krwawymi szczątkami Rosjanina. Nie zauważono, aby go popchnął, ale w tłumie o to nietrudno. Świadkowie twierdzili, że nie mogło to być samobójstwo. Wpadając pod koła, denat okropnie wrzasnął, a na ramieniu miał (co za żałosny szczegół!) torbę kijów golfowych. Byk natomiast miał oczywiście alibi niewzruszone jak Fort Knox. Zatrzymano go i przesłuchiowano, lecz wyciągnął go błyskawicznie najlepszy adwokat w Harlemie.

Ten dowód Bondowi wystarczył. Właściwy człowiek dla Śmierzu i odpowiednio wyszkolony. Prawdziwe, twarde narzędzie strachu i śmierci. I co za wspaniałe urządzenie do radzenia sobie z płotkami murzyńskiego podziemia, do utrzymywania murzyńskiej siatki informacyjnej w pełni sprawności! Ten strach przed wudu i siłami nadprzyrodzonymi, wciąż jeszcze głęboko zakorzeniony w murzyńskiej podświadomości! I co za genialny pomysł, żeby zacząć od obserwacji całego systemu transportowego Ameryki, pociągów, tragarzy, kierowców ciężarówek, robotników portowych! Mieć do dyspozycji cały zastęp ludzi na kluczowych stanowiskach, niemających pojęcia, że pytania, na które odpowiadają, zadawane są przez Rosjan. Drobni fachowcy, którzy, gdyby w ogóle coś pomyśleli, to przypuszczaliby, że informacje o ładunkach i rozkładach jazdy sprzedawane są konkurencyjnym przedsiębiorstwom transportowym.

Nie pierwszy raz Bondowi ciarki przeszły po plecach, kiedy pomyślał o nadzwyczajnej sprawności aparatu sowieckiego i o tej trwodze przed śmiercią i torturami, na której opiera się jego funkcjonowanie, a której najwspanialsze narzędzie to Śmierz - *Smiersz*, istny *szept śmierci*.

Teraz, w sypialni swego apartamentu w hotelu St Regis, Bond otrząsnął się z takich myśli i szybko wyskoczył z łóżka. No cóż, jednego z nich ma pod ręką, tylko zgnieść. Tamten w Royale ledwie

mu mignął. Tym razem odbędzie się to twarzą w twarz. Big Man? Taki wielki? Dobrze! Zatem uśmierci go w wielkim homeryckim stylu.

Bond podszedł do okna i rozsunął zasłony. Okno wychodziło na północ, ku Harlemowi. Wpatrywał się chwilę w północny horyzont, gdzie ten drugi mężczyzna śpi, a może już się obudził i kto wie, czy nie myśli o nim, Bondzie, którego widział wczoraj z Dexterem na stopniach hotelu. Bond pomyślał, że dzień jest piękny, i uśmiechnął się. Żadnemu człowiekowi, nawet panu Bykowi, nie spodobałby się wyraz jego twarzy.

Bond wzruszył ramionami i bardzo szybko podszedł do telefonu.

- St Regis Hotel. Dzień dobry - odezwał się aksamitny głos.
- Z obsługą proszę - rzekł Bond. - Obsługa? Chciałbym zamówić śniadanie. Szklanka soku pomarańczowego, jajecznicza na bekonie z trzech jajek, lekko wysmażona, podwójna kawa z ekspresu ze śmietanką. Tost. Dżem. Czy wszystko jasne?

Powtórzono mu treść zamówienia. Bond wyszedł do przedpokoju i wziął z podłogi naręczne gazet, które tam położono po cichu tego ranka. Był też na stoliku w przedpokoju stos paczek, które Bond zignorował.

Wczoraj po południu musiał się do pewnego stopnia zamerykanizować z pomocą FBI. Krawiec przyszedł wziąć miarę na dwa jednorzędowe garnitury z lekkiego, granatowego samodziału (na nic bardziej ekstrawaganckiego Bond stanowczo się nie zgodził) i konfeksjoner przyniósł chłodne w dotyku białe koszule nylonowe z kołnierzykami w długi szpic. Musiał przyjąć pół tuzina krzykliwie wzorzystych fularowych krawatów, ciemne skarpetki z fantazyjną strzałką, kilka chusteczek do kieszonki, nylonowe podkoszulki i spodenki, wygodny lekki płaszcz z wielbłądziej wełny o mocno wywatowanych ramionach, gładki szary kapelusz tyrolski z wąską czarną wstążeczką i dwie pary szytych ręcznie, bardzo wygodnych czarnych mokasynów.

Dostał również spinkę do krawata firmy Swank w kształcie pejsa, portfel ze skóry krokodylej od Marka Crossa, gładką zapalniczkę Zippo, plastikowy komplet podróżny z maszynką do golenia, szczotką do włosów i szczotką do zębów, okulary w rogowej oprawce z płaskimi szklami, różne inne drobiazgi i wreszcie lekką walizkę Skymate od Hartmanna na wszystkie te rzeczy.

Pozwolono mu zachować własną beretę kalibru .25 ze szkieletową kolbą i do niej irchową kaburę na uprząży, ale jego pozostałe rzeczy miały być odebrane w południe i przewiezione, żeby czekały na Jamajce.

Ostrzyżono go po wojskowemu i zapowiedziano, że jest bostończykiem z Nowej Anglii, który tu przyjechał na urlop z londyńskiego biura Guaranty Trust Company. Przypomniano mu, że prosząc o rachunek, ma mówić *check*, a nie *bill*, wzywać *cab*, a nie *taxi*, poza tym (to już Leiter) unikać słów dłuższych niż dwie sylaby.

- Nie ma w Ameryce takiej rozmowy - doradził Leiter - przez którą byś nie przebrnął, ograniczając się do *yeah*, *nope* i *sure*. - Dodał, że należy za wszelką cenę unikać angielskiego wyrazu *actually*. Bond wyjaśnił, że nie należy on do jego słownictwa.

Bond przyjrzał się posępnie górze paczek, zawierających jego nową osobowość, rozebrał się po raz ostatni z piżamy (My tu w Ameryce przeważnie sypiamy nago, panie Bond) i wziął bardzo zimny prysznic. Goląc się, obejrzał w lustrze swoją twarz. Gruby kosmyk czarnych włosów nad prawą brwią został skrócony i przystrzyżono mu krótko włosy na skroniach. Nic się nie dało zrobić z cienką pionową blizną na prawym policzku, mimo że FBI usiłowało wskórać coś za pomocą korektora, ani z chłodem i odrobiną gniewu w szaroniebieskich oczach, jednak czarne włosy i wysokie kości policzkowe świadczyły o domieszce krwi amerykańskiej, więc

Bond pomyślał, że ujdzie - ma jakieś szanse - choć może nie u kobiet.

Wyszedł nago do przedpokoju i rozerwał kilka paczek. Potem, już w białej koszuli i granatowych spodniach, przeszedł do salonu, przysunął krzesło do biurka pod oknem i otworzył na właściwej stronie *Drzewo podróży*.

M polecił mu tę niezwykłą książkę, której autorem jest Patrick Leigh Fermor.

- Facet, który to napisał, zna się na rzeczy - rzekł M - a pamiętaj, że pisze o tym, co zdarzyło się na Haiti w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. To nie jest jakaś tam średniowieczna czarna magia. To są codzienne praktyki dnia dzisiejszego.

Bond był już w połowie rozdziału o Haiti.

Następnym krokiem jest - przeczytał - wywoływanie złych istot z panteonu wudu, takich jak Don Pedro, Kitta, Mondongue, Bakalou i Zandor, w celu czynienia zła, dla oślawionych praktyk (wywodzących się z Konga) przeobrażania ludzi w zombi, aby posługiwać się nimi jak niewolnikami, rzucania szkodliwych zaklęć i niszczenia wrogów. Skutki zaklęcia, które może przybierać zewnętrzną formę wizerunku zamierzonej ofiary, miniaturowej trumienki lub ropuchy, często wzmacnia się dodatkowo przez użycie trucizny. Ojciec Cosme rozwodził się nad przesądem twierdzącym, że ludzie obdarzeni swoją mocą zamieniają się w węże; nad Loups-Garous łatającymi po nocy w postaci nietoperzy wampirów i wysysającymi krew z dzieci; nad ludźmi, którzy zmniejszają się do malutkiego rozmiaru i toczą się po kraju w pustych tykwach. Jeszcze groźniej brzmiała obfitość tajnych mistyczno-zbrodniczych stowarzyszeń czarowników o koszmarnych nazwach, takich jak les Makanda, wywodzących się od haitańskiego herosa - truciciela; les Zobop, zajmujący się także rabunkiem;

jak Mazanxa, Caporelata i Vlinbindingue. To są, jak twierdził, tajemnicze wspólnoty, których bóstwa żądają nie koguta, gołębia, kozy, psa lub świni jak w normalnych obrzędach wudu, lecz ofiary z cabrit sans cornes. To kotle bez rogów oznacza naturalnie istotę ludzką.

Bond przewracał kartkę za kartką, a poszczególne ustępy układały mu się w umyśle, tworząc przedziwny obraz mrocznej religii i jej straszliwych obrządków.

Stopniowo zaczęły się wyodrębniać z zamętu, dymu i miazdzącego łomotu bębnów, które na jakiś czas wyparty ze świadomości wszystko prócz ich własnego bicia, szczegóły...

...W tył i wprzód, bardzo powoli, szurali stopami tancerze, a przy każdym kroku wyrzucali do przodu podbródki, unosiły się ich pośladki, a ramiona podrygiwały w podwójnym rytmie. Oczy mieli na wpół przymknięte, a z ust wydobywały się wciąż i wciąż na nowo te same niezrozumiałe słowa, ta sama krótka, w kółko wyspiwywana fraza, przy każdym powtórzeniu o pół oktawy niżej. Gdy rytm bębnów się zmieniał, wyprężali ciała i wyrzucając ręce w powietrze, wywracając oczami, kręcili się w kółko i w kółko...

...Na skraju tłumu dotarliśmy do malutkiej chatki, niewiele większej aniżeli psia buda. Le caye zombi. Snop światła z latarki ukazał w środku czarny krzyż oraz trochę szmat, łańcuchów, kajdany, bicze - przybory używane w ceremoniach Gede, które etnografowie od Haiti wiążą z rytuałem odmładzania się Ozyrysa, zapisanym w Księdze Umarłych. Palilo się ognisko, z którego sterczały pionowo dwie szable i para wielkich szczypiec, w dolnej części rozżarzone do czerwoności: le Feu Marinette, poświęcony bogini, która jest przeciwieństwem łaskawej i kochliwej Maîtresse Erzulie Freda Dahomin, bogini miłości.

Z tyłu, mocno obsadzony w kamiennej podbudowie, stał wielki krzyż z czarnego drewna. U jego podstawy namalowano białą czaszkę, a na poprzeczkę naciągnięto rękawy bardzo starego żakietu. Na niej też spoczywało rondo wyswiechtanego melonika, z którego dziurawej główki wystawał wierzchołek krzyża. Taki słup totemiczny, obowiązkowo zdobiący każdy dziedziniec, nie jest bynajmniej szyderstwem z najważniejszego wydarzenia w religii chrześcijańskiej, tylko przedstawia Pana Cmentarnego i Wodza Zastępu Zmarłych, Barona Samedi. Rządzi on samowładnie we wszystkich sprawach, jakie czekają tuż za grobem. Jest niczym Cerber i Charon, jak również Eak, Rhadamanthos i Pluton w jednej osobie.

...Bębny zmieniły rytm i tańczący wstąpił na deski Ungenikon, trzymając naczynie wypełnione jakimś płonącym płynem, z którego strzelały błękitne i żółte płomienie. Kiedy okrążył słup i wylał trzy ogniste libacje, krok jego stał się utykający. Nagle szarpnął się w tył z tymi samymi objawami delirium, które wcześniej przejawił jego poprzednik, i chlusnął na ziemię całą tą gorejącą masą. Hounci złapali go, kiedy się zatoczył, zdjęli mu sandały i podwinęli spodnie, a jemu chusta spadła z głowy i ukazały się wełniste włosy. Inni hounci poklękali, aby zanurzyć dłonie w płonącym błocie i rozetrzeć je sobie po dłoniach, łokciach i twarzach. Pilnie pobrzękiwały dzwonek ungana i açon, młody kapłan zaś, pozostawiony samemu sobie, zatoczył się i wpadł na słup, odrzuciło go bezwładnego przez całą szerokość podłogi i runął pomiędzy bębny. Oczy miał zamknięte, czoło nad uniesionymi brwiami zmarszczone, szczeka mu opadła. Potem, jakby raptem grzmotnięty niewidzialną pięścią, padł na ziemię i leżał, wyprężając do tyłu głowę, rozdziawiony z udręki, aż mu ścięgnię wystąpiły na szyi i na ramionach jak korzenie. Jedną dłonią chwycił się za łokieć drugiej ręki, jakby usiłował ją sam sobie wyłamać, a całe jego ciało, ociekające potem, trzęsło się i dygotało

jak u śniącego psa. Widać było same białka oczu, bo chociaż teraz miał je wytrzeszczone, źrenice skryły się pod powiekami. Piana mu się gromadziła na wargach...

...Ungan tańczący powolnym krokiem i wymachujący kordelasem zbliżył się teraz od strony ogniska, raz po raz rzucając broń w powietrze i łapiąc ją za rękojeść. Po kilku minutach już ją trzymał za stępiony czubek ostrza. Z wolna przybliżając się do niego w tańcu, Ungenikon sięgnął i chwycił za rękojeść. Kapłan odstepił, a młodzieniec, kręcąc się w podskokach, wirował po tonnelle od końca do końca. Krąg widzów kotysał się i odstępował, gdy on napierał, wywijając nad głową ostrzem, a szczyrby w jego wyszczerzonych zębach nadawały jeszcze dzikszemu wyraz jego twarzy, jak u mandryla. Cała przestrzeń tonnelle wypełniła się na chwilę autentycznym i niekłamnym przerażeniem. Śpiew zamienił się w ogólny wrzask i bębniarsze, kotysząc się i chybocząc w szaleńczym i aż niedostrzegalnym roztrzepaniu swych dłoni, zatracili się w porywie hałasu.

Odrzuciwszy głowę do tyłu, młody adept dźgnął się w brzuch stępionym czubkiem kordelasa. Kolana się pod nim ugięły i głowa mu opadła do przodu...

Zastukano do drzwi i kelner przyniósł śniadanie. Bond z ulgą odłożył tę przerażającą lekturę i powrócił do normalnego świata. Lecz dopiero po kilku minutach otrząsnął się z nastroju grozy i niesamowitości, jaki otaczał go przy lekturze.

Wraz ze śniadaniem przyszła jeszcze jedna paczka, kwadratowa, o boku około trzydziestu centymetrów i elegancka z wyglądu. Bond polecił kelnerowi położyć ją na bocznym stoliku. Pomyślał, że widać Leiter sobie o czymś jeszcze przypomniał. Zjadł ze smakiem śniadanie. Między jednym kęsem a drugim wyglądał przez wielkie okno i zastanawiał się nad tym, co przeczytał.

Dopiero przełknąwszy ostatni łyk kawy i zapaliwszy pierwszego w tym dniu papierosa, uświadomił sobie, że w pokoju za jego plecami słychać jakiś cichutki odgłos.

Słumione, ledwie słyszalne cykanie. Metaliczne, niespieszne. Dobiegało od strony bocznego stolika.

Tik tak... tik tak... tik tak.

Bez chwili wahania, nie troszcząc się, że to głupio wygląda, rzucił się na podłogę za swym fotelem i skulił skoncentrowany na odgłosach dolatujących z kwadratowej paczki.

- Spokojnie - powiedział do siebie. - Nie bądź idiotą. Po prostu zegarek. - Ale po co zegarek? Dlaczego mieliby mu przysyłać zegarek? Od kogo?

Tik tak... tik tak... tik tak.

W ciszy pokoju odgłos ten przybrał na sile. Jakby tłukącemu się sercu Bonda do taktu.

- Nie bądź śmieszny. Całe to wudu Leigh Fermora podziałało ci na nerwy. Te bębny...

Tik tak... tik tak... tik... i w tej chwili raptem budzik rozdzwonił się melodyjnym, głębokim, nagłym wezwaniem.

Deng deng deng deng deng deng...

Mięśnie Bonda rozluźniły się. Jego papieros wypalał dziurę w dywanie. Podniósł go i włożył do ust. Bomby w budzikach wybuchają w momencie, gdy młoteczek uderzy po raz pierwszy. Uderza w iglicę detonatora, ten zapala materiał wybuchowy i BACH...

Bond uniósł głowę ponad oparcie fotela i przyglądał się paczce.

Deng deng deng deng deng...

Przytłumiony dzwonek terkotał może z pół minuty, potem zaczął stopniowo zwalniać.

Deng... deng... deng... deng i RRR-R-RYMS.

Nie było to głośniejsze niż wybuch pocisku kalibru .12, ale w zamkniętym pomieszczeniu eksplozja brzmiała głośno.

Paczka upadła w strzępach na podłogę. Szklanki i butelki na stole potłukły się, a za nimi widniała na szarej ścianie czarna smuga. Parę kawałków szkła posypało się z brzękiem na podłogę. W pokoju silnie zapachniało prochem.

Bond podniósł się z wolna. Podeszedł do okna i otworzył je. Potem zadzwonił do Dextera. Głos miał spokojny.

- Ananas... Nie, z tych mniejszych... tylko parę szklanek... Dobrze, dziękuję... a skądże... Cześć.

Obszedł te szczątki, ruszył przez mały przedpokój i do drzwi na korytarz, otworzył je, wywiesił tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ, zamknął się na klucz i wszedł do sypialni.

Skończył się akurat ubierać, kiedy zastukano do drzwi.

- Kto tam? - zawołał.

- To ja, Dexter.

Dexter wpadł do pokoju, a za nim śniady młodzieniec z czarnym pudłem pod pachą.

- Trippe z Sabotażu - przedstawił go Dexter.

Podali sobie ręce i młody człowiek natychmiast ukląkł przy zwęglonych szczątkach paczki.

Otworzył swoje pudło, wyjął gumowe rękawiczki i garść dentystrycznych szczypczyków. Tymi narzędziami zaczął mozolnie wyciągać kawałeczki metalu i szkła ze zwęglonej paczki i układać je na dużym arkuszu bibuły, który wzięł z biurka.

Robiąc to, przepytywał Bonda, co się stało.

- Dzwonił przez jakieś pół minuty? Ej, co my tu mamy? - Ostrożnie wyciągnął małe aluminiowe pudełeczko, takie jak do nasświetlonych filmów. Odłożył je na bok.

Po kilku minutach wyprostował się w półprzysiadzie.

- Półminutowa kapsułka z kwasem - oznajmił. - Rozbita pierwszym uderzeniem młoteczka w budziku. Kwas przeżera cieniutki miedziany drucik. Po trzydziestu sekundach drucik pęka, zwalniając iglicę, która uderza w spłonkę tego. - Podniósł kryzę od naboju. - Strzelba na słońce kalibru .4. Czarny proch. Ślepek. Bez śrutu. Szczęście, że nie był to granat. Miejsca w paczce by wystarczyło aż nadto. Uszkodziłoby pana. Teraz popatrzmy na to. - Sięgnął po cylindryczne aluminiowe pudełeczko, rozkręcił je, wydobył zwitek papieru i rozwinął go szczypczykami.

Rozłożył go starannie na dywanie, przyciskając rogi czterema narzędziami ze swego czarnego pudła. Widniały na nim trzy zdania wypisane na maszynie. Bond i Dexter nachylili się.

SERCE TEGO ZEGARA PRZESTAŁO BIC, przeczytali. UDERZENIA TWOJEGO SERCA SĄ POLICZONE. ZNAM TĘ LICZBĘ I ZACZAŁEM ODLICZAĆ.

Zamiast podpisu: 1234567...?

Podnieśli się.

- Hm - powiedział Bond. - Strachy na lachy.

- Ale skąd, u diabła, mógł wiedzieć, że tu jesteś? - zapytał Dexter.

Bond powiedział mu o czarnym sedanie na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy.

- Chodzi jednak o to - rzekł Bond - skąd mógł wiedzieć, po co tu jestem. To znaczy, że ma niezłe wtyczki w Waszyngtonie. Gdzieś tam musi być przeciek o rozmiarach Wielkiego Kanionu.

- Dlaczego akurat w Waszyngtonie? - zapytał gniewnie Dexter.
- A zresztą. - Zaśmiał się wymuszenie. - Niech to diabli. Muszę o tym zawiadomić kwaterę główną. Na razie, panie Bond. Cieszę się, że wyszedł pan bez szwanku.

- Dziękuję - powiedział Bond. - To była po prostu wizytówka.
Muszę odwzajemnić tę uprzejmość.

IV Centrala telefoniczna

Kiedy Dexter i jego kolega wyszli, zabierając ze sobą resztki bomby, Bond wziął wilgotny ręcznik i wytarł okopconą ścianę. Potem zadzwonił na kelnera i nie wdając się w wyjaśnienia, kazał potłuczone szkło zapisać na swój rachunek i uprzątnąć po śniadaniu. Następnie wziął kapelusz i płaszcz i wyszedł na ulicę.

Spędził ranek na Piątej Alei i na Broadwayu, chodząc bez celu, gapiąc się na wystawy i na przepływające tłumy. Stopniowo przyswajał sobie niedbały chód i sposób bycia przybysza z prowincji. Wypróbował to w kilku sklepach, zapytał parę osób o drogę i przekonał się, że nie budzi w nikim zainteresowania.

Wstąpił na typowy amerykański posiłek do jadłodajni pod nazwą BAJECZNICA NA SZYNCE (Jajka Które Podamy Wam Jutro Jeszcze Nie ZOSTAŁY ZNIESIONE) na Lexington Avenue, a potem złapał taksówkę do śródmieścia, gdzie o 14.30 mieli czekać na niego w głównej kwaterze policji Leiter i Dexter.

Niejaki porucznik Binswanger z wydziału zabójstw, podejrzliwy i oschły oficer pod pięćdziesiątkę, oznajmił, że komendant Monahan polecił zapewnić im jak najdalej idącą współpracę Departamentu Policji. Co mógłby dla nich zrobić? Przystudiowali kartotekę Byka, mniej więcej pokrywającą się z informacjami Dextera; pokazano im akta i fotografie większości jego znanych policji współpracowników.

Przewertowali raporty Straży Wybrzeża informujące, kiedy jacht

Secatur zawijał do portu lub wypływał, i notatki Urzędu Celnego, który miał ten statek na oku, ilekroć dokował w St Petersburgu.

Potwierdziło się, że jacht przez ubiegłe sześć miesięcy zawijał do portu w nierównych odstępach czasu i że w St Petersburgu zawsze cumował w przystani należącej do przedsiębiorstwa wysyłkowego Uroboros Robaki i Przynęta SA. Ten z pozoru niewinny koncern zajmował się głównie sprzedawaniem żywej przynęty klubom wędkarskim rozsianym po całej Florydzie, wokół Zatoki Meksykańskiej i jeszcze dalej. Spółka robiła też przy okazji niezły interes na sprzedaży muszli i koralu do dekoracji wnętrz, jak również na dostarczaniu tropikalnych ryb akwariowych, w szczególności rzadkich jadowitych gatunków do badań prowadzonych przez fundacje medyczne i chemiczne.

Jak twierdził właściciel, grecki poławiacz gąbek z pobliskiego Tarpon Springs, *Secatur* robił duże interesy z jego przedsiębiorstwem, przywożąc z Jamajki ładunki muszli przyłbic oraz innych małży, a także cenne odmiany ryb tropikalnych. Przedsiębiorstwo Uroboros kupowało je, składowało w swych magazynach i sprzedawało dużymi partiami hurtownikom i detalistom na całym wybrzeżu. Grek nazywał się Papagos. Nie figurował w rejestrze karanych.

Z pomocą Wywiadu Marynarki Wojennej FBI próbowało podsłuchiwać rozmowy radiowe z *Secatura*. Tych jednak nie prowadzono, jeśli nie liczyć krótkich komunikatów przed wypłynięciem z Kuby czy Jamajki, a potem już nadawano otwartym tekstem w języku nieznanym i całkowicie niemożliwym do rozszyfrowania. Ostatni zapis w aktach informował, że operator posługuje się tak zwanym *langage*, tajnym językiem wudu, który znają tylko wtajemniczeni; dokłada się wszelkich starań, aby przed następnym rejsem zdobyć eksperta z Haiti.

- Ostatnio złoto znów się pokazało - oznajmił porucznik Binswanger, kiedy szli przez ulicę z Biura Identyfikacji z powrotem do jego biura. - Około stu monet na tydzień w samym tylko Harlemie i Nowym Jorku. Czy mamy z tym coś robić? Jeżeli nie mylicie się i to są naprawdę fundusze komuchów, to widać, że się nieźle uwijają, kiedy my siedzimy beczynnienie na tyłku.

- Szef mówi, żeby się wstrzymać - odparł Dexter. - Mam nadzieję, że niedługo się ruszy.

- No cóż, wasza sprawa - rzekł niechętnie Binswanger. - Ale komendant na pewno nie będzie zachwycony, że ten skurwysyn sra mu pod frontowymi drzwiami, a pan Hoover siedzi w Waszyngtonie po zawietrznej od tego smrodu. Dlaczego nie przymkniemy faceta za uchylanie się od płacenia podatków, za nadużywanie poczty, parkowanie przy hydrancie pożarowym albo coś w tym rodzaju? Wsadzić go i dać wycisk. Jeżeli federalni wolą tego nie robić, to my chętnie ich wyręczymy.

- Chcecie mieć rozruchy na tle rasowym? - spytał kwaśno Dexter. - Nic na niego nie mamy, wy o tym wiecie i my też. Albo ten czarny kauzyperda wydobędzie go za pół godziny, albo bębny wudu zadudnią stąd aż po najdalsze południe. A jak się czarni nabuzują, wiadomo, co wtedy nastąpi. Pamiętasz rok trzydziesty piąty i czterdziesty trzeci? Musielibyście wzywać Gwardię Narodową. Nie prosiliśmy się o tę sprawę. Prezydent nam ją przydzielił i koniec.

Znaleźli się znowu w skromnym biurze Binswanger. Zabrali swe płaszcze i kapelusze.

- W każdym razie dzięki za pomoc, poruczniku - rzekł Dexter, siłąc się na serdeczność, kiedy się żegnali. - Bardzo nam się przydała.

- Nie ma za co - odparł lodowato Binswanger. - Winda jest po prawej. - Mocno zamknął za nimi drzwi.

Leiter mrugnął do Bonda za plecami Dextera. W milczeniu zjechali do głównego wyjścia na Centre Street. Na chodniku Dexter zwrócił się do nich.

- Dostałem dziś rano instrukcje z Waszyngtonu - oznajmił, nie okazując emocji. - Wygląda na to, że ja mam się zająć tym, co dotyczy Harlemu, a wy dwaj macie jutro polecieć do St Petersburga. Tam Leiter wywęszy, co się da, po czym uda się z panem prosto na Jamajkę, panie Bond. Oczywiście - dodał - jeżeli pan zechce mieć go przy sobie. To wasze terytorium.

- Oczywiście - rzekł Bond. - Właśnie miałem zapytać, czy może się tam ze mną wybrać.

- Świetnie - rzekł Dexter. - W takim razie przekażę do Waszyngtonu, że wszystko załatwione. Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić? Oczywiście zapewniamy wszelkie kontakty z FBI w Waszyngtonie. Leiter ma nazwiska naszych ludzi na Florydzie, zna procedurę w Służbie Łączności i tak dalej.

- Gdyby Leiter zechciał i jeżeli pan nic nie ma przeciwko temu, chciałbym jeszcze dziś wieczorem wybrać się do Harlemu i rozejrzeć się. Może pomogłoby mi to zorientować się, jak tam wygląda u pana Byka na zapleczu.

Dexter zastanowił się.

- Okej - powiedział wreszcie. - Chyba to nie zaszkodzi. Ale nie rzucajcie się za bardzo w oczy. I żeby się wam nic nie stało - dodał. - Bo tam nie znajdziecie pomocy. Żebyście nie narobili nam kłopotów. Ta sprawa jeszcze nie dojrzała. Zanim dojrzeje, my trzymamy się wobec Byka zasady: żyj i daj żyć.

Bond spojrzął z ukosa na kapitana Dextera.

- W moim fachu - rzekł - kiedy trafiam na ten rodzaj faceta, mam inną zasadę: żyj i daj umrzeć.

Dexter wzruszył ramionami.

- Być może - odparł - ale tu ja wydaję rozkazy i będę wdzięczny, panie Bond, jeśli pan im się podporządkuje.

- Oczywiście - odparł Bond - i dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że dopisze panu szczęście.

Dexter pomachał na taksówkę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Cześć, chłopaki - rzekł krótko Dexter. - Nie dajcie się zabić.

Jego taksówka włączyła się w ruch. Bond i Leiter uśmiechnęli się do siebie.

- Trzeba przyznać, że niegłupi facet - rzekł Bond.

- U nich wszyscy są tacy - powiedział Leiter. - Może trochę skłonni do waźniactwa. Przewrażliwieni na punkcie swych uprawnień. Ciągłe się o coś czepiają nas albo policji. Ale w Anglii macie chyba ten sam problem.

- Och, naturalnie - potwierdził Bond. - Zawsze się czymś narazimy tym z MI 5. A ci z kolei depczą po odciskach Wydziałowi Specjalnemu. Chodzi o Scotland Yard - wyjaśnił. - Więc jak, wybierzemy się dziś wieczorem do Harlemu?

- Chętnie. Podrzucę cię do St Regis i wpadnę po ciebie znów około wpół do siódmej. Spotkamy się w King Cole Bar na parterze. Pewnie chcesz obejrzeć Byka? - Wyszczrzył się w uśmiechu. - Ja też! Ale Dexterowi lepiej było tego nie mówić. - Pomachał na żółtą taksówkę.

- St Regis Hotel. Piąta przy Pięćdziesiątej Piątej.

Wsiadli do rozpalonego pudła cuchnącego dymem z cygar wypalonych w ubiegłym tygodniu.

Leiter odkręcił szybę.

- Co pan robisz? - zapytał przez ramię kierowca. - Mam dostać zapalenia płuc?

- Owszem - odparł Leiter - jeżeli nas to uratuje od śmierci w tej komorze gazowej.

- Cwaniaczek, co? - powiedział szofer, z metalicznym zgrzytem wrzucając biegi. Wyjął zza ucha przeżuty kawałek cygara i podniósł.

- Ćwierć dolca za trzy sztuki - rzekł z urazą.

- O dwadzieścia cztery centy za dużo - rzucił Leiter.

Reszta jazdy upłynęła w milczeniu.

Rozstali się przed hotelem i Bond pojechał do siebie na górę. Była czwarta. Poprosił telefonistkę, żeby go zbudziła o szóstej. Chwilę wyglądał przez okno. Z lewej słońce zachodziło w kolorowej poździe. W drapaczach chmur zapalały się światła, przeobrażając miasto w złocisty plaster miodu. Głęboko w dole ulice były rzekami neonowego blasku, szkarłatne, błękitne, zielone. Wiatr żałośnie wzdychający za oknami w aksamitnym półmroku dodawał jeszcze pokojowi ciepła, bezpieczeństwa i komfortu. Bond zaciągnął zasłony i włączył przyćmione światło nad łóżkiem. Potem rozebrał się i wsunął w delikatną perkalową pościel. Pomyślał o przejmującej słońce na ulicach Londynu, o skąpym ciepłe syczącego piecyka gazowego w swoim gabinecie w kwaterze głównej, o jadłospisie wypisanym kredą na murze pubu, który mijał ostatniego dnia swego pobytu w Londynie: Bycza Zapiekanka z dwoma Jarzynami.

Przeciągnął się rozkosznie. Po chwili zasnął.

Gdzieś w Harlemie, w centrali telefonicznej, Szept podsypiał nad formularzem z wyścigów. Wszystkie linie milczały. Nagle z prawej strony tablicy zapaliło się światełko - ważne światełko.

- Tak, szefie - powiedział cicho do mikrofonu połączonego ze słuchawkami telefonicznymi. Choćby chciał, nie mógłby mówić głośnie. Urodził się w tak zwanym Kwartale Płucnym na Siódmej Alei przy Sto Czerdziestej Drugiej Ulicy, gdzie umiera się na gruźlicę dwa razy częściej niż gdziekolwiek indziej w Nowym Jorku. Teraz miał już tylko część jednego płuca.

- Daj znać wszystkim na oku - odezwał się niski, powolny głos - żeby od tej chwili uważali. Na trzech mężczyzn. - Nastąpił zwięzły opis Leitera, Bonda i Dextera. - Mogą pojawić się dziś wieczór albo jutro. Żeby uważali zwłaszcza na obszarze od Pierwszej do Ósmej Alei, ale i na innych także. W nocnych lokalach też, na wypadek gdyby się przemknęli. Ale nie ruszać ich. Zadzwoń do mnie, kiedy ich namierzą. Jasne?

- Tak jest, szefie - rzekł zadyszany Szept. Głos ucichł. Operator wziął całą garść wtyczek i niebawem tablica centrali rozmigotała się od światełek. Cicho, dobitnie, zaczął szeptać w wieczorne miasto.

O szóstej Bonda obudził cichy brzęczyk telefonu. Wziął zimny prysznic i ubrał się starannie. Zawiązał sobie jaskrawo prążkowany krawat i z kieszonki na piersi wypuścił róg chusteczki. Irchową kaburę założył na koszulę, tak żeby mu zwisała z osiem centymetrów pod lewą pachą. Odciągnął suwadło beretty i powtarzał ten ruch, aż wszystkie osiem nabojów znalazło się na łóżku. Wtedy załadował je z powrotem do magazynka, zabezpieczył pistolet i wsunął do kabury.

Wziął parę mokasynów, zważył je w rękę i obmacał czubki. Następnie sięgnął pod łóżko i wyciągnął parę własnych butów, zapobiegliwie wydobył z walizki z rzeczami, którą FBI zabrało mu tego ranka.

Włożył je i zaraz poczuł się lepiej wyekwipowany na oczekujący ich wieczór.

Pod skórą czubki tych butów były stalowe.

O godzinie 6.25 zszedł do baru King Cole i wybrał stolik pod ścianą blisko wyjścia. Kilka minut później wszedł Felix Leiter.

Bond ledwie go poznał. Jego słomiana czupryna była teraz czarna

jak smoła i miał na sobie olśniewająco niebieski garnitur z białą koszulą i czarnym krawatem w białe grochy.

Leiter usiadł wyszczerzony w uśmiechu.

- Nagle zdecydowałem się traktować ich serio - wyjaśnił. - To tylko płukanka. Rano się zmyje. Mam nadzieję - dodał.

Leiter zamówił średnio wytrawne martini ze skrawkiem skórki cytrynowej. Zażądał w nim ginu House of Lords i Martini Rossi. W ginie amerykańskim, o wiele mocniejszym od angielskiego, Bond wyczuwał cierpkość. Pomyślał, że musi uważać, co pije tego wieczoru.

- Tam, dokąd się wybieramy, trzeba się mieć na baczności - Felix Leiter jakby zawtórował jego myśli. - Teraz Harlem to kawał dzungli. Już nie chodzi się tam jak dawniej. Przed wojną, na zakończenie wieczoru, wyruszało się do Harlemu tak jak w Paryżu na Montmartre. Cieszyli się, że mogą coś zarobić. Chodziło się do Savoy Ballroom oglądać tańce albo poderwać co jaśniejszą Mulatkę, ryzykując później tylko płacenie za lekarza. Wszystko to się zmieniło. Harlem już nie lubi, żeby mu się przyglądać. Większość tych lokali jest pozamykana, a w innych ledwie nas tolerują. Często cię wyrzucają na zbity pysk po prostu za to, że jesteś biały. I na życliwość policji też nie licz.

Leiter wydostał skórkę cytrynową ze swego martini i żuł ją w zadumie. Bar się wypełniał. Atmosfera była ciepła i towarzyska: jakże różna, pomyślał sobie Leiter, niż ten wrogi, pełen elektrycznego napięcia klimat murzyńskich lokali rozrywkowych, gdzie wkrótce będą popijać.

- Całe szczęście - podjął Leiter - że lubię Murzynów i oni to jakoś wyczuwają. Harlem to była swego czasu moja namiętność. Napisałem parę artykułów o dixielandzie do „Amsterdam News”, to

taka miejscowa gazeta. Zrobiłem też dla North American Newspaper Alliance cykl o murzyńskim teatrze w czasach, gdy Orson Welles wystawiał w Lafayette swojego *Makbeta* w całkowicie czarnej obsadzie. Umiem się tam poruszać. I podziwiam, jak oni sobie radzą w tym świecie, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie wyobrażam sobie, do czego to doprowadzi.

Dopili drinki i Leiter poprosił o rachunek.

- Oczywiście złych też nie brakuje - powiedział. - Bywają tacy, że gorszych byś nigdzie nie znalazł. Harlem to stolica świata murzyńskiego. W każdej populacji liczącej pół miliona ludzi, bez względu na rasę, znajdziesz masę parszywców. Cały kłopot z naszym przyjacielem polega na tym, że Byk to jest cholernie dobry fachowiec, dzięki szkoleniu, które przeszedł w OSS i w Moskwie. I musi mieć w Harlemie pierwszorzędną organizację.

Leiter zapłacił. Wzruszył ramionami.

- Idziemy - zarządził. - Trochę się zabawimy i postaramy się wrócić w jednym kawałku. W końcu za to nam płacą. Wsiądziemy w autobus na Piątej Alei. Niewielu taksówkarzy pojechałoby tam po zmroku.

Wyszli z ciepłego hotelu i przeszli parę kroków do przystanku autobusowego na Piątej Alei.

Padło. Bond postawił kołnierz płaszcza i popatrzył w prawo, w kierunku Central Parku, w stronę mrocznej cytadeli będącej siedzibą Byka.

Nozdrza mu się z lekka rozděły. Pragnął wderzeć się tam po niego. Czuł się mocny, zwarty w sobie i pewny. Wieczór tylko czekał, żeby go Bond otworzył i przeczytał, strona za stroną i słowo po słowie.

Przed oczyma miał deszcz spadający w szybkich, ukośnych kreskach: jakby kursywa na nieotwartej czarnej okładce, kryjącej sekret nadchodzących godzin.

V Murzyńskie niebo

Na przystanku autobusowym na rogu Piątej Alei i Cathedral Parkway trzech milczących Murzynów stało w blasku latarni. Wyglądali na przemokniętych i znudzonych. I rzeczywiście. Obserwowali ruch na Piątej od czasu, gdy o czwartej trzydzieści wydano wszystkim takie polecenie.

- Tera ty, Gruby - rzekł jeden z nich, kiedy z deszczu wynurzył się autobus i przystanął z sapnięciem potężnych hamulców próżniowych.

- Sie wie - odrzekł tęgi facet w płaszczu przeciwdeszczowym, naciągnął kapelusz na oczy, wsiadł, wrzucił monety i ruszył wzdłuż przejścia, zerkając na pasażerów. Zamrugał, kiedy zobaczył dwóch białych, przeszedł dalej i usiadł tuż za nimi.

Dokładnie obejrzał sobie ich karki, płaszcze, kapelusze i z profilu. Bond siedział przy oknie. W ciemnej szybie Murzyn dojrzał odbicie jego blizny.

Wstał i nie oglądając się, poszedł do przodu. Wysiadł na pierwszym przystanku i skierował się prosto do najbliższego drugstore'u. Zamknął się w kabinie telefonicznej.

Szept go przepytał i wyłączył się.

Wetknął wtyczkę z prawej strony centralki.

- Tak? - odezwał się niski głos.

- Szeffie, jeden z nich się właśnie pojawił na Piątej. Angol z bliźną. Są we dwóch z kumplem, ale ten chyba nie pasuje na żadnego z tamtych. - Szept przekazał dokładny opis Leitera. - Obaj kierują się na północ. - Podał numer autobusu i przybliżony czas jego przyjazdu.

Chwila milczenia.

- Dobra - rzekł cichy głos. - Odwołaj wszystkich z innych alei. Uprzedź nocne lokale, że jeden z nich wjechał, i daj znać, żeby Hi-Hi Johnson, McThing, Foley Papla, Miami Sam i Flanelowy...

Głos mówił przez pięć minut.

- Wszystko jasne? Powtórz.

- Tak jest, szefie - rzekł Szept. Spojrzał na swój blok stenograficzny i wyszeptał wszystko jednym tchem do mikrofonu.

- Dobra. - Wyłączono się.

Szeptowi oczy zabłyśły. Wziął garść wtyczek i zaczął rozmawiać z miastem.

Od chwili gdy Bond i Leiter przeszli pod arkadą Sugar Raya na Siódmej Alei przy Sto Dwudziestej Trzeciej Ulicy, cały zastęp mężczyzn i kobiet obserwował ich albo czekał w pogotowiu, żeby ich obserwować, po cichu zgłaszając się do Szepta przy jego wielkiej centrali telefonicznej na Riverside Exchange, przekazując ich jedni drugim. W świecie, w którym i tak stanowili siłą rzeczy centrum zainteresowania, ani Bond, ani Leiter nie wyczuwali ukrytej maszynierii ani rosnącego wokół napięcia.

W słynnym lokalu nocnym stołki przy długim barze były zapelnione, ale jeden z małych boksów pod ścianą pozostał pusty, więc Bond i Leiter wśliznęli się na stołki, między sobą mając wąski stolik.

Zamówili whisky z wodą sodową: Haig & Haig Pinchbottle. Bond rozejrzał się po tłumie. Składał się on prawie wyłącznie z mężczyzn. Było wśród nich kilku białych: kibice boksu albo reporterzy z nowojorskich rubryk sportowych, doszedł do wniosku Bond. Atmosfera była gorętsza, głośniejsza niż tam na mieście. Ściany pokrywały zdjęcia z bokserskich ringów - przeważnie Sugar Ray Robinson i sceny z jego sławnych walk. Wesole to było miejsce i znakomicie prosperujące.

- Mądry facet był z tego Sugar Raya - powiedział Leiter. - żebyśmy tak my wiedzieli, kiedy skończyć, jak przyjdzie na to czas. Odłożył kupę forsy i teraz tylko ją powiększa tym, co wyciąga z music-hallów. Na pewno jego udział w tym lokalu jest sporo wart, a na dodatek ma tu również sporo nieruchomości. Nadal ciężko pracuje, ale to nie taka praca, od której człowiek ślepnie albo dostaje wylewu. On wycofał się jeszcze żywy.

- Pewnie zainwestuje w jakiś show na Broadwayu i wszystko straci - wtrącił Bond. - Gdybym się teraz wycofał i zajął sadownictwem w Kent, pewnie trafiłbym w najgorszą pogodę od czasu zamrznięcia Tamizy i splajtowałbym. Człowiek nie może wszystkiego przewidzieć.

- Ale można próbować - rzekł Leiter. - Wiem, o co ci chodzi: lepszy znany deszcz od rynny, której nie znasz. To nie takie złe życie, jeśli na tym polega, że siedzisz sobie wygodnie w barze i pijesz dobrą whisky. Podoba ci się ten zakątek dżungli? - Nachylił się do przodu. - Posłuchaj tej pary za tobą. Z tego, co zdołałem usłyszeć, przyszli tu prosto z „Murzyńskiego Nieba”.

Bond ostrożnie się obejrzał.

W boksie za jego plecami siedział przystojny młody Murzyn w eleganckim płowym garniturze z przesadnie watomowanymi ramionami, niedbale wsparty o ścianę, zjedną stopą opartą na ławie stojącej obok. Przycinał sobie paznokcie lewej dłoni malutkim srebrnym scyzorykiem, spoglądając niekiedy ze znużeniem na ożywienie panujące przy barze. Głowa jego wspierała się o przepierzenie tuż koło Bonda i dolatywał od niego zapach drogiego środka do prostowania włosów. Bond zwrócił uwagę na przedziałek po lewej stronie głowy, w niemalże prostych włosach, świadczących, że od dziecka matka używała gorącego grzebienia do układania mu fryzury. Gładki krawat z czarnego jedwabiu i biała koszula były w najlepszym guście.

Naprzeciw niego, pochylona w przód z wyrazem przejęcia na ślicznej twarzy, siedziała drobna, seksowna Murzynka z lekką domieszką białej krwi w żyłach. Jej czarne jak smoła włosy, przygładzone jak po najlepszej trwałej, otaczały uroczą twarz migdałowego kształtu z nieco skośnymi oczyma pod subtelnie zakreślonymi brwiami. Głęboki szkarłat jej rozchylonych, zmysłowych ust był fascynujący na tle brązowej skóry. Z jej stroju Bond mógł dojrzeć tylko stanik czarnej, satynowej sukni wieczorowej, obcisły i uwydatniający jej drobne, jędrne piersi. Na szyi miała prosty złoty łańcuszek i gładkie złote bransoletki na obu szczupłych przegubach.

Prosiła o coś błagalnie i nie zwróciła uwagi na szybkie spojrzenie, jakim obrzucił ją Bond.

- Posłuchaj i spróbuj, czy zdołasz się w tym połapać - rzekł Leiter. - To najczystsza mowa Harlemu: głębokie Południe ze sporą domieszką gwary nowojorskiej.

Bond sięgnął po jadłospis i oparł się plecami, studiując *Obiad Firmowy z Piezonego Kurczęcia za \$3.75*.

- No cho, skarbie - przyميلała się dziewczyna. - Co je z wami szyskami? Co cię ta dzi zmęczyło?

- Po prostu mię chyba męczy, jak cię słucham - odparł na odczesnego elegant. - Może by się przymkła, żebym se cicho i przyjemnie posiedział.

- Chce, żebym se poszła, skarbie?

- Jak żywnie ci się podoba, sodyczo.

- No ju, skarbie - odezwała się błagalnie dziewczyna. - Nie ściekaj się na mnie, złotko. Tylko chciałam cię dzi zaprosić. Nie posze byś do Małego Rajku? Zobaczyć, jak te śniade trzających i kręcą swinga. Birdie Johnson, ten ich szef sali, no wiesz, obieca mi miejsce przy parkiecie, jakbym znów przyszła.

Mężczyzna odezwał się nagle ostrym głosem.

- A ten Birdie dla ciebie co jest? - rzekł podejrzliwie. - Faktualnie - tu zawiesił głos, żeby to ważne słowo do niej dotarło - faktualnie co tam się mota u ciebie a pomiędzy tym złobem do niczego kawał chama czarnuchem? A może z nim sypiasz? Chyba że bede musiał obadać, co to za drobna sytuacja u ciebie z tym Birdie Johnsonem. Może se poszukam lepszej dziuszki, jak ty. Mnie ino gwiznąć na dziuszki, a zara ich tłum się ino zwija, co bym nie kazał, jak tylko się trafi, zem chwilowo spukany. Abyś wiedziała. Trza obadać, co za sytuacja. - Umilkł z pogroźką. - Szkoda gadać - dorzucił.

- No co ty, skarbie - dziewczyna się zaniepokoiła. - Nie masz o co się na mnie wkurzać. Nic nie zrobiłam, żebyś tak na mnie miał gadać. Ino pomyślałam, że nie lepiej by ci pasowało u stolika zara przy parkiecie w Małym Raju, niż tu styrczeć i obliczać kopoty. Przecie dobrze wiesz, złotko, że ja bym nie poleciała na to hrabskie trucie Birdie Johnsona. Co ty, ja go olewam. Niech mię ściśnie, jak to nie najgorsza łajza w Harlemie. I co z tego, jak mi daje najlepsze miejsca w tym lokalu i uważam, żebyśmy poszli, no siądziemy i każemy se piwo i zabawimy się. No cho, skarbie. Wysuniem stąd! Taki masz elegancki wygląd i bym chciała, żeby przyjaciółki mię z tobą zobaczyli.

- Też nieźle wypadasz, kiciu - rzekł mężczyzna, ugłaskany tym zachwytem, że taki wytworny - to fakt. Ale ani kroku ode mnie się nie ruszysz i okiem nie rzucisz na tego śmiecia i co mu fajczy w gaciach. I od razu ci mówię - dodał z pogroźką - że jak cię złapię na dowalaniu się do tego nygusa, to ci skórę złapię z tej twojej słodkiej dupci.

- Ma się rozumie, skarbie - wyszeptała podekscytowana tą perspektywą czarnulka.

Bond usłyszał, jak stopy mężczyzny zaszurały, kiedy je opuścił z siedzenia na podłogę.

- No to cho, kiciu, idziem. Szefie!

Bond odłożył jadłospis.

- Z grubsza chwyciłem - powiedział. - Zdaje się, że interesuje ich mniej więcej to samo co wszystkich: seks, jak się zabawić i żeby nie odstawać od innych. Dzięki Bogu, że chociaż nie są pretensjonalni.

- Niektórzy z nich są - rzekł Leiter. - Serwisy do herbaty, paprotki i tym podobne. Wielu z nich to metodyści. Harlem roi się od społecznych rozwarstwień jak każde wielkie miasto, tylko dochodzą jeszcze różnice w odcieniu skóry. Zbierajmy się stąd i chodźmy coś zjeść.

Dopili drinki i Bond poprosił o rachunek.

- Za dzisiejszy wieczór ja płacę - powiedział. - Mam kupę forsy do wydania i zabrałem z tego trzy setki.

- Proszę bardzo - zgodził się Leiter, wiedząc, że Bond dostał tyśiąc dolarów.

Kiedy kelner wyłuskiwał resztę, Leiter go zniecierpliwionym zagadnął:

- Nie wiesz, gdzie obraca się dzisiaj pan Byk?

Kelner aż wybałuszył oczy.

Pochylił się do nich i strzepnął serwetką ze stolika.

- Szefie, ja mam żonę i dzieci - wymamrotał kącikiem ust. Ustawił szkło na tacy i umknął do baru.

- Byk zapewnił sobie ochronę najlepszą z możliwych - skomentował Leiter. - Strach.

Wyszli na Siódmą Aleję. Deszcz ustał, ale tak zwany Hawkins, przejmujący do szpiku kości wiatr z północy, o którym Murzyni

mówią z respektem: Hawkins przyszedł! - zastąpił go, aby po wymiatać normalny tłum z ulic. Leiter i Bond szli chodnikiem jedynie w towarzystwie nielicznych par zakochanych. Spoglądano na nich przeważnie pogardliwie lub z otwartą wrogością. Paru mężczyzn, kiedy ich minęli, splunęło do rynsztoka.

Bond odczuł raptem siłę tego, o czym mówił Leiter. Że wdarli się na cudze terytorium. Tu po prostu ich nie chciano. Poczul się tak nieswojo, jak niegdyś w czasie wojny, kiedy działał przez jakiś czas poza liniami wroga. Odpędził to wrażenie wzruszeniem ramion.

- Pójdziemy do Mamy Frazier, tam dalej aleją - powiedział Leiter. - Najlepsze jedzenie w całym Harleemie. Przynajmniej tak było dawniej.

Po drodze Bond przyglądał się wystawom.

Uderzyła go liczba zakładów fryzjerskich i salonów piękności. We wszystkich reklamowano najrozmaitsze środki do prostowania włosów - Apex Glossatina, Stosować na Gorący Grzebień; Prosty Jedwab, Nie Powoduje Zaczerwienienia i Podrażnień - albo jakieś panaceum na wybielenie skóry. Po nich najczęstsze były sklepy z galanterią i odzieżą, pełne fantastycznego obuwia męskiego z wężowej skóry, koszul we wzór z małych samolocików, spodni bufiastych u góry i obcisłych w kostce, do przesady luźnych i długich wdzianek. Księgarnie były pełne poradników - jak nauczyć się tego, jak zrobić tamto - i komiksów. Nie brakowało sklepów specjalizujących się w amuletach i wyposażeniu okultystycznym: *Siedem Kluczy Potęgi, czyli Najcudowniejsza Księga Wszech Czasów* ze śródtytułami w rodzaju *Jak Odwrócić UROK na Rzucającego. Wyśpiewaj Twe Pragnienia w Milczącym Języku. Jak Zaczarować Kogokolwiek i Gdziekolwiek. Jak Zmusić, Aby Cię Pokochano*. Wśród amuletów znajdowały się takie jak *Potężny Korzeń Jana Zdobywcy; Olejek na*

Przyciąganie Pieniędzy; Proszki OD UROKU do noszenia w saszetkach; Kadzidło do Odpędzania Inkluz; i wreszcie Czar Dłoni Szczęsnego Łup Cup Chroniący od Zła. Otumania i Zaskakuje Wrogów.

Bond uświadomił sobie, że nic dziwnego, jeśli wudu okazuje się dla Byka tak potężną bronią przeciw umysłom, które do dzisiaj wzdrygają się na widok białego pióra kurzego lub skrzyżowanych na drodze patyków - w samym środku olśniewającej stolicy świata zachodniego.

- Cieszę się, że tu przyszedłem - rzekł Bond. - Zaczynam coś chwycić z Byka. W kraju takim jak Anglia tego się po prostu nie odbiera. Oczywiście jesteśmy przesądni jak nie wiem co - zwłaszcza Celtowie - ale tu niemalże słycać bębny.

Leiter coś odburknął.

- Najchętniej wróciłbym do łóżka - powiedział. - Ale trzeba namierzyć tego faceta, zanim zdecydujemy, jak najlepiej dobrać mu się do skóry.

Po lodowatych ulicach u Mamy Frazier było wręcz rozkosznie. Wzięli sobie młodziutkie małże wenus i kurczaka Maryland piezonnego z bekonem i słodką kukurydzą; jedno i drugie okazało się wyborne.

- Musimy je zamówić - uprzedził Leiter. - To specjalność narodowa.

W restauracji było ciepło i bardzo przyzwoicie. Kelner okazywał zadowolenie z ich przyjścia i wskazywał im różne znakomitości, ale gdy Leiter mimochodem zapytał o Byka, mężczyzna jak gdyby nie dosłyszał. I trzymał się już od nich z daleka, póki nie poprosili o rachunek.

Leiter powtórzył pytanie.

- Przepraszam pana - uciął kelner. - Nie przypominam sobie

dżentelmena o tym nazwisku.

Zanim wyszli z restauracji, zrobiło się w pół do jedenastej i Siódma Aleja była prawie pusta. Wzięli taksówkę do Savoy Ballroom, zamówili whisky z wodą sodową i przyglądali się tańczącym.

- Tu właśnie wymyślono większość nowoczesnych tańców - powiedział Leiter. - Tacy są dobrzy. Lindy Hop, Truckin', Susie Q, Shag. Wszystkie zaczęły się na tym parkiecie. Każda amerykańska orkiestra, o jakiej w życiu słyszałeś, szczyli się tym, że kiedyś tu grywała: Duke Ellington, Louis Armstrong, Cab Calloway, Noble Sissle, Fletcher Henderson. Tu jest mekka jazzu i jive'a.

Ich stolik znajdował się tuż przy poręczy otaczającej olbrzymi parkiet. Bond patrzył jak urzeczony. Co za mnóstwo przepięknych dziewczyn. Muzyka wbijała mu się w tętno, aż prawie zapomniał, po co tu przyszedł.

- Bierz cię, co? - odezwał się wreszcie Leiter. - Ja mógłbym tu siedzieć przez całą noc. Lepiej ruszajmy. Mały Raj darujemy sobie. Tam jest podobnie jak tutaj, tylko niezupełnie ta klasa. Lepiej zaprowadzę cię do Yeah Man, też na Siódmej. A potem czas już ruszyć do któregoś z klubów samego Byka. Tylko że ich nie otwierają przed północą. Ty płać, a ja wstąpię do garderoby. A nuż uda mi się wyniuchać, gdzie moglibyśmy dzisiaj na niego trafić. Żebyśmy nie musieli obchodzić wszystkich.

Bond zapłacił rachunek i spotkali się z Leiterem na dole, w ciastnym holu.

Leiter wyciągnął go na dwór i poszli wzdłuż ulicy, rozglądając się za taksówką.

- Kosztowało mnie dwadzieścia dolców - powiedział Leiter - ale podobno będzie w The Boneyard. Nieduży lokalik na Lenox Avenue. Tuż koło jego kwatery głównej. Najgorętszy striptiz w całym

mieście. Pokazuje go panienska zwana G-G Sumatra. Strzelimy sobie jeszcze jednego i posłuchamy fortepianu w Yeah Man. I ruszymy stamtąd około dwunastej trzydzieści.

Wielka centrala telefoniczna, teraz już oddalona zaledwie o parę przecznic, prawie zamarła. Zgłoszono, że ci dwaj weszli do Sugar Raya, a potem do Mamy Frazier i Savoy Ballroom. O północy zawitali do Yeah Man. O dwunastej trzydzieści rozległ się ostatni telefon i centralka umilkła.

- Dwaj biali wejda za pięć minut - powiedział mister Big przez wewnętrzny telefon do kierownika sali. - Posadź ich przy stoliku Z.

- Tak jest, szefie - odparł kierownik. Ruszył czym prędzej przez parkiet do stolika po prawej, odgradzonego prawie od całej sali grubym filarem. Stał on tuż przy wejściu służbowym, ale miał dobry widok na parkiet i orkiestrę naprzeciwko.

Przy stoliku siedziały cztery osoby, dwaj mężczyźni i dwie dziewczyny.

- Przepraszam państwa - oznajmił kierownik. - Nastąpiła pomyłka. Ten stolik był zarezerwowany. Dla prasy z miasta.

Jeden z gości zaczął się wyklócać.

- Rusz się, chłopie - uciął szorstko kierownik sali. - Lofty, zaprowadź ich do stolika F. Drinki na koszt firmy. Sam - skinął na drugiego kelnera - sprzątnij z tego stolika. Dwa nakrycia. - Towarzystwo potulnie się wyniosło, udobruchane perspektywą bezpłatnych trunków. Kierownik sali umieścił na stoliku Z tabliczkę: *Zarezerwowane*, przyjrzał się, czy wszystko w porządku, i wrócił na swoje miejsce przy planie stolików leżącym na wysokim biurku obok przysłoniętego kotarą wejścia.

Tymczasem Byk wykonał jeszcze dwa telefony wewnętrzne. Jeden do mistrza ceremonii.

- Z końcem występu G-G wyłącz światła.
- Tak jest, szefie - odparł skwapliwie mistrz.

Drugi telefon skierowany był do czterech mężczyzn grających w podziemiu w kości. Była to rozmowa długa i bardzo szczegółowa.

VI Stolik Z

Za kwadrans pierwsza Bond i Leiter zapłacili za taksówkę i weszli do lokalu z neonowym fioletowo-zielonym szyldem THE BONEYARD.

Dudniący rytm i kwaśno-słodkawa woń uderzyły w nich, gdy się znaleźli w środku, odgarnąwszy ciężkie zasłony w drzwiach wahałowych. Oczy dziewcząt odbierających kapelusze u wejścia błyszczały zapraszająco.

- Czy szanowny pan ma rezerwację? - spytał kierownik sali.
- Nie - odpowiedział Leiter. - Możemy usiąść przy barze.

Kierownik zajął do swojego planu i jakby się zdecydował. Dźgnął stanowczo ołówkiem w puste miejsce na brzegu.

- Zapowiedziane towarzystwo nie przybyło. Chyba nie będę trzymał dla nich stolika przez całą noc. Proszę ze mną. - Z planem uniesionym wysoko nad głową przeprowadził ich wokół niedużego, zatłoczonego parkietu. Odsunął jedno z krzeseł i zdjął ze stolika tabliczkę: *Zarezerwowane*.

- Sam! - przywołał kelnera. - Przyjmij zamówienie od panów. - Oddalił się.

Zamówili po szklance whisky z wodą sodową oraz kanapki z kurczakiem. Bond pociągnął nosem.

- Marihuana - stwierdził.
- Większość tych prawdziwych cwaniaków kurzy trawkę - wyjaśnił Leiter. - Prawie nigdzie by im nie pozwolono.

Bond się rozejrzył. Muzyka umilkła. Nieduża orkiestra złożona z czterech muzyków grających na klarncie, kontrabasie, gitarze elektrycznej i perkusji zabierała się z przeciwnego rogu. Jakies pół tuzina par szło, niektóre podrygując, z powrotem do stolików, a purpurowe światło pod szklaną podłogą parkietu zgasło. Zamiast niego pozapałały się cienkie jak ołówki światła punktowe na suficie, trafiając w czarodziejskie kule z kolorowego szkła, większe niż piłka futbolowa, porozwieszane w odstępach wokół ścian, w różnych kolorach - złociste, niebieskie, zielone, fioletowe, czerwone. Trafione wiązkami światła rozjarzyły się jak kolorowe słońca. Refleksy zaślniły zarówno w czarno lakierowanych ścianach, jak i w kropkach potu na hebanowych twarzach mężczyzn. Bywało i tak, że mężczyzna siedzący między dwoma światłami ukazywał policzki w różnych kolorach, na przykład po jednej stronie zielony, a po drugiej czerwony. Te światła uniemożliwiały rozpoznawanie twarzy, chyba że z odległości metra. Niektóre ze świateł barwiły uszmińkowane wargi dziewcząt na czarno, inne powlekały im całą twarz ciepłym blaskiem z jednej strony, a drugi profil zanurzały w trupiej poświacie topielca.

W sumie była to sceneria sina i makabryczna, jakby El Greco namalował przy świetle księżyca obraz przedstawiający ekshumowanych nieboszczyków na cmentarzu w płonącym mieście.

Sala nie była zbyt duża, stało w niej może pięćdziesiąt stolików, a goście stłoczeni byli jak czarne oliwki w słoiku. Gorące powietrze było ciężkie od dymu i słodkawego, dzikiego zapachu dwustu ciał murzyńskich. Hałas panował przeraźliwy. W ogólnym zgiełku i

paplaninie rozbawionych, w ogóle się niekrępujących Murzynów od czasu do czasu wybuchały krzyki i przenikliwe chichoty, kiedy jedni do drugich wrzeszczeli przez całą salę.

- Jezusie najśłodszy, kogo ja wiidzę...
- Gdzie ty się ukrywałaś, kotku...
- Rrrany Boo... to Pinkus! Eej, Pinkus...
- Cho no tu do naaa...
- A ty się odpie... jak ci mówię, no puu... (Odgłos policzka).
- Dzie ona je... G-G...! Bujaj się...!

Od czasu do czasu jakiś mężczyzna lub dziewczyna wyskakiwali na parkiet i puszczali się solo w dzikiego jive'a. Przyjaciele wykłaskiwali rytm. Wybuhała kocia muzyka i gwizdy. Jeśli to była dziewczyna, wykrzykiwano:

- Rozbieraj się, rozbieraj! Z ogniem, dziecino! No trząchaj, trząchaj!

Po chwili na parkiecie zjawiał się mistrz ceremonii i opróżniał go przy wtórze jęków i szyderczych okrzyków.

Pot zaczął się Bondowi skraplać na czole. Leiter nachylił się do niego, złożywszy dłoń w trąbkę.

- Trzy wyjścia. Od frontu. Służbowe za nami. Za orkiestrą.

Bond kiwnął głową. W tej chwili wydało mu się to bez znaczenia. Dla Leitera nie było w tym nic nowego, ale Bond widział jakby zbliżenie tworzywa, którym posługuje się mister Big, gliny w jego rękach. Ten wieczór po trochu wypełniał ciałem akta przeczytane w Londynie i w Nowym Jorku. Choćby wieczór się zakończył w tej chwili, bez ujrzenia z bliska samego Byka, Bond miał poczucie, że i tak zobaczył już dość. Pociągnął solidny łyk whisky. Na parkiet wyszedł mistrz ceremonii, wysoki Murzyn w nieskazitelnym fraku z czerwonym goździkiem w butonierce. Stał z podniesionymi

rękoma. Padło na niego białe światło punktowe. Reszta sali pograżyła się w mroku.

Zapanowała cisza.

- Ludzie - zaczął mistrz ceremonii, szeroko błysnąwszy złotem i białą zębów. - To jest to.

Rozległy się podniecone oklaski.

Odwrócił się ku lewej stronie parkietu, znajdującej się dokładnie naprzeciwko Leitera i Bonda.

Wyrzucił prawą dłoń. Zapaliła się druga punktówka.

- Pan Jungles Japhet i jego bębny.

Grzmot oklasków, kocia muzyka, gwizdy.

Ukazali się czterej wyszczerzeni w uśmiechu Murzyni w ognistych koszulach i bufiastych u góry, obcistych u dołu białych spodniach, siedzący okrakiem na czterech stożkowatych bębnach obciążonych surową skórą. Bębny były różnej wielkości. Murzyni wszyscy szczupli i żyłaści. Ten kucający przy bębnie basowym podniósł się na chwilę i potrząsnął splecionymi dłońmi do widzów.

- Bębniarze wudu z Haiti - wyszeptał Leiter.

Znów cisza. Czubkami palców muzycy zaczęli wybijać powolny, urywany rytm cicho szurającej rumby.

- A teraz, przyjaciele - oznajmił mistrz, ciągle odwrócony ku bębnom - G-G... Sumatra!

Ostatnie słowo to był wrzask. Zaczął klaskać. W sali wybuchł obłądny hałas, burza oklasków. Drzwi za bębnami eksplodowały i wypadli z nich na parkiet dwaj olbrzymi Murzyni, nadzy aż po złote przepaski, niosąc pomiędzy sobą drobną figurkę, obejmującą ich ramionami za szyje, całkowicie spowitą w czarne strusie pióra, z czarną maseczką na oczach.

Postawili ją na środku parkietu. Skłonili się z obu stron, aż czołami dotknęły posadzki. Ona postąpiła dwa kroki do przodu. Nie

mając na sobie światła reflektorów punktowych, dwaj Murzyni wtopili się w ciemność i znikli za drzwiami.

Mistrz ceremonii także znikł. Zaległa cisza, jeśli nie liczyć cichego dudnienia bębnów.

Dziewczyna uniosła dłoń pod szyję i płaszcz z czarnych piór uleciał sprzed jej ciała, rozpościerając się na półtora metra w czarny wachlarz. Zamiotła nim z wolna za sobą, aż się uniośł jak pawi ogon. Miała na sobie jedynie skąpy trójkąt z czarnej koronki i gwiazdki z czarnych cekinów na środku jednej i drugiej piersi oraz wąską czarną maseczkę na oczach. Jej ciało było drobne, twarde, brązowe, piękne. Lekko naoliwione połyskiwało w białym świetle.

Widownia ucichła. Bębny zaczęły wzmacniać tempo. Basowy łomot wybijał dokładnie rytm ludzkiego tętna.

Nagi brzuch dziewczyny począł z wolna krążyć w takt wybijanego rytmu. Czarnymi piórami zamiałała podłogę to przed sobą, to znowu z tyłu, a biodra zaczęły krążyć w rytm bębna basowego. Górna część jej ciała trwała w bezruchu. Czarne pióra znów zawirowały i teraz już poruszały się także jej stopy i barki. Bębny zatłukły głośniej. Każda z części jej ciała poruszała się jak gdyby w odrębnym rytmie. Odstoniła leciutko zęby. Nozdrza jęły się rozdymać. Oczy się rozjarzyły w otworach wyciętych w romb. Twarzyczka spłaszczona jak u psiaka i pełna seksu - *chienne* to jedyne określenie, jakie przyszło Bondowi do głowy.

Bębny zadudniły szybciej w przeplatających się zawile rytmach. Dziewczyna rzuciła swój pierzasty wachlarz na posadzkę, uniosła ręce nad głowę. Całe jej ciało zadygotało. Brzuch zaczął się szybciej poruszać. W kółko i w kółko, w tył i naprzód. Stała w rozkroku. Biodra zataczały coraz to szersze kręgi. Nagle zerwała rozmigotaną gwiazdkę z prawej piersi i rzuciła w tłum. Widownia po raz pierwszy

odezwała się cichym pomrukiem. Znów umilkła. Zerwała drugą gwiazdkę. Znów pomruk i cisza. Z bębnow zaczął się dobywać grzmot i werbel. Dobosze już ociekali potem. Dłonie ich roztrzepotały się jak szara flanela ponad białością membran. Oczy mieli wybaluszone, nieprzytomne. Głowy lekko przechylone w bok, jakby nadśluchiwali. Prawie nie patrzyli na dziewczynę. Widownia cicho dyszała, tocząc wytrzeszczonymi, błyszczącymi oczyma.

Cała teraz błyszczała od potu. Połyskiwały piersi i brzuch. Zaczęły nią miotać potężne dreszcze. Usta jej rozwarły się w stłumionym wrzasku. Dłonie przewinęły się węzowo ku biodrom i nagle zerwała z siebie koronkową przepaskę. Rzuciła ją widowni. Nic już nie miała na sobie oprócz sznurka z czarnym paseczkiem kryjącym płeć. Z bębnow wyrwał się huragan seksualnego rytmu. Znów cicho krzyknęła i z rękoma wyciągniętymi przed siebie dla równowagi zaczęła na przemian zniżać ciało aż do podłogi i unosić je. Coraz szybciej i szybciej. Bond słyszał, jak widownia dyszy i chrząka niczym świnię przy korycie. Poczul, że jego dłonie wpiły się w obrus. W ustach mu zaschło.

Widownia zaczęła do niej wykrzykiwać.

- Dalej, G-G. Zdejm to, skarbie. No juu. Kręć jeszcze, kochana, kręć.

Osunęła się na kolana i w miarę jak rytm z wolna zamierał, ona też przeszła w ostatnią serię dygotliwych spazmów, cicho pomiaukując do taktu.

Bębny zwolniły w niespieszny rytm tam-tamu i szelest. Rycząca widownia żądała, by zdjęła wszystko. Z różnych kątów sali dolatywały bez ogródek wykrzykiwane sprośności.

Na parkiet wystąpił mistrz ceremonii. Otoczył go snop światła z punktówki.

- No dobra, ludzie, dobra. - Pot ściekał mu z podbródka.

Rozłożył ramiona w geście rezygnacji.

- Nasza G-G się ZGADZA!

Widownia zawyła z zachwytu. Teraz pokaże się zupełnie naga.

- Zdejmuj to, G-G. Pokaż się, skarbie. No już. Bujaj się. Ale już.

Bębny wydały cichy i zająkliwy pomruk.

- Ale, przyjaciele moi - wykrzyknął mistrz - postawiła jeden warunek: że przy zgaszonym świetle!

Widownia jęknęła z rozczarowania. Sala pogrążyła się raptem w całkowitej ciemności.

Na pewno stary numer, pomyślał Bond.

Nagle stał się czujny.

Ryk tłumu szybko się oddalał. Równocześnie poczuł zimny podmuch na twarzy. I jakby spadał.

- Hej ! - wykrzyknął Leiter. Jego z bliska dochodzący głos zabrzmiał jakoś pusto.

Jezu! - pomyślał Bond.

Coś zatrzasnęło mu się nad głową. Sięgnął do tyłu. Jego dłoń dotknęła ściany, poruszającej się za jego plecami w odległości kilkadziesiąt centymetrów.

- Światło - rozległ się cichy głos.

Równocześnie złapano go za obie ręce i wciśnięto w krzesło.

Naprzeciwno, ciągle przy tym samym stoliku, siedział Leiter, a olbrzymi Murzyn go trzymał za łokcie. Znajdowali się w małej kwadratowej celi. Z prawej i z lewej strony stało dwóch innych Murzynów z wymierzonymi w nich pistoletami.

Z ostrym syknięciem jakby podnośnika hydraulicznego w garażu stół osiadł spokojnie na twardym gruncie. Bond spojrzął do góry. Jakiś metr ponad ich głowami można było wypatrzeć zarys szerokiej kłapy zapadni. Żaden odgłos się nie przedostawał.

Jeden z Murzynów wyszczerzył zęby.

- Spokojnie, chłopaki. Fajna przejażdżka?

Leiter zaklął. Bond rozluźnił mięśnie i czekał.

- Który to Angol? - spytał ten sam Murzyn. On chyba dowodził. Rewolwer w jego dłoni, wymierzony od niechcenia w serce Bonda, był nader fantastyczny. Okładzina z masy perłowej na rękojeści prześwitywała spomiędzy czarnych palców, a długa ośmiokątna lufa była wytwornie cyzelowana.

- Chiba ten - rzekł Murzyn trzymający Bonda za ręce. - On ma bliznę.

Uchwyt Murzyna był straszliwy. Jakby założono Bondowi nad łokciami dwie potężnie skręcone opaski uciskowe. Dłonie już zaczynały mu drętwieć.

Ten z ozdobnym rewolwerem obszedł róg stolika. Przytknął wyłot lufy Bondowi do żołądka. Kurek był odciągnięty.

- Z tej odległości nie powinieneś spudłować - rzekł Bond.

- Zamknij się - rzekł Murzyn. Sprawnie obszukał Bonda lewą ręką: nogi od kolan w dół, uda, plecy, boki. Wyłowił pistolet i wręczył go temu drugiemu ze spluwą.

- Oddaj to szefowi, Hi-Hi - powiedział. - Weź Angola na górę. Idź z nimi. Ten drugi zostanie ze mną.

- Ta je! - odparł facet nazwany Hi-Hi, brzuchaty w czekoladowej koszuli i bufiastych u góry, u dołu zaś obcisłych lawendowych spodniach.

Dźwignięto Bonda na nogi. Jedną stopą zahaczył o nogę stolika. Szarpnął. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i zastawy. Leiter w tej samej chwili kopnął w tył obok nogi krzesła. Dobięło miłe łupnięcie, gdy obcas trafił w piszczel strażnika. Bond uczynił to samo, ale chybił. Nastąpiła chwila zamętu, lecz uchwyt żadnego ze strażników nawet nie zelżał. Pilnujący Leitera podniósł go całkowicie z krzesła,

jak dziecko, twarzą do ściany i uderzył o nią. Mało nie zmiażdżył przy tym Leiterowi nosa. Odwrócił go. Krew ściekała Leiterowi na usta.

Dwie spluwy były niezmiennie w nich wycelowane. Wysiłek okazał się daremny, jednakże na ułamek sekundy odzyskali inicjatywę i otrząsnęli się z szoku.

- Szkoda pary - rzekł dowodzący tu Murzyn. - Zabrać Angola - rozkazał pilnującemu Bonda. - Pan Byk czeka. - Zwrócił się do Leiterra. - Pożegnaj się z kumplem. Chiba się już nie zobaczycie.

Bond uśmiechnął się do Leiterra.

- Całe szczęście - powiedział - że umówiliśmy się tu o drugiej z policją. Do zobaczenia na przesłuchaniu.

Leiter wyszczerzył się w odpowiedzi. Zęby miał czerwone od krwi.

- Komendant Monahan ucieszy się, jak zobaczy tę bandę. Do zobaczenia.

- A gównu - z przekonaniem odparł Murzyn. - Jazda.

Pilnujący Bonda okręcił go i pchnął na ścianę. Jej fragment obrócił się na osi, ukazując długi, pusty korytarz. Hi-Hi przepchnął się obok nich i ruszył przodem.

Drzwi się za nimi zamknęły.

VII Mister Big

Ich kroki rozlegały się echem w kamiennym przejściu. Na końcu znajdowały się drzwi. Wyszli przez nie na kolejny długi korytarz, oświetlony tu i ówdzie gołą żarówką na suficie. Znowu drzwi i znaleźli się w wielkim magazynie. Skrzynie i bele poustawiane były w równe stosy. Górą biegły szyny dla dźwigów. Z oznakowań na skrzyniach można było wywnioskować to skład alkoholu. Przeszli pomiędzy nimi do żelaznych drzwi. Facet zwany Hi-Hi nacisnął dzwonek. Otaczała ich kompletna cisza. Bond ocenił, że oddalili się co najmniej jedną przecznicę od klubu.

Ze szczękiem odsuwanych rygli drzwi się otworzyły. Murzyn w stroju wieczorowym i z pistoletem w ręku odstąpił na bok. Wkroczyli do wystanego dywanem przedpokoju.

- Wejdz, F-Hi - powiedział Murzyn w smokingu.

Hi-Hi zapiał do drzwi, przed którymi stanęli, otworzył i wszedł pierwszy do środka.

W fotelu z wysokim oparciem, za kosztownym biurkiem, siedział Byk i spokojnie im się przyglądał.

- Dzień dobry, panie James Bond. - Głos jego był głęboki i cichy. - Proszę siadać.

Strażnik trzymający Bonda poprowadził go po grubym dywanie do niskiego fotela ze skóry i stalowych rurek. Puścił jego ręce i Bond, usiadłszy, znalazł się twarzą w twarz z siedzącym po drugiej stronie szerokiego biurka mister Bigiem.

Cóż to była za ulga, pozbyć się tych dwóch łapsk jak imadła. W przedramionach Bond całkowicie stracił czucie. Zwiesił je bezwładnie i powitał z zadowoleniem tępy ból, kiedy krew zaczęła w nich znowu krążyć.

Mister Big siedział, patrząc na niego, wsparłszy ogromną głowę o wysokie oparcie fotela. Nie odzywał się.

Bond z miejsca uświadomił sobie, że zdjęcia nie dawały żadnego

pojęcia o tym człowieku, o jego potędze i umyśle, jakby emanujących z niego, a nawet o rysach twarzy.

Głowę miał w kształcie ogromnej piłki futbolowej, dwukrotnie większą niż zwykły człowiek. Skóra czarniawo-szara, opięta i błyszcząca jak na obliczu trupa, który tydzień przeleżał w rzece. Bez śladu owłosienia, jeśli nie liczyć odrobiny szaroburego puchu nad uszami. Ani brwi, ani rzęs, oczy zaś były tak szeroko rozstawione, że nie dało się spoglądać w oba równocześnie, co najwyżej w jedno. Ich spojrzenie było niewzruszone i przenikliwe. Kiedy spoczęły na czymś, jakby pożerały to i wchłaniały. Lekko wyłupiaste, o złotych tęczęwkach wokół czarnych źrenic, w tej chwili rozszerzonych. Były to zwierzęce oczy, nie ludzkie, i jakby się jarzyły.

Nos szeroki, ale niezbyt murzyński. Niemający tak rozszerzonych nozdrzy. Wargi tylko z lekka wywinięte, ale grube i ciemne. Rozchyłały się tylko, gdy mówił, ale wtedy ukazywały zęby i bladoróżowe dziąsła.

Prawie nie miał zmarszczek na twarzy, tylko dwie głębokie bruzdy powyżej nosa, które pojawiały się, gdy nad czymś intensywnie myślał. Ponad nimi czoło uwypuklało się z lekka, przechodząc w połyskliwe nagie ciemię.

Dziwna rzecz, ale nie było dysproporcji w tej monstrualnej głowie. Spoczywała na grubej, krótkiej szyi, na barach olbrzyma. Bond już wiedział z przeczytanych akt, że Byk ma metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu, waży sto dwadzieścia siedem kilo, z czego niewiele przypada na tłuszcz. Lecz ogólne wrażenie było wprost przygniatające, nawet przerażające, i Bond wyobrażał sobie, jak ten koszmarny wybryk natury musiał być od dziecka spragniony zemsty na losie i na świecie, który ze strachu otaczał go nienawiścią.

Mister Big odziany był w smoking. W brylantach jarzących mu się na gorsie koszuli i w mankietach zaznaczał się odcień próżności. Ogromne płaskie łapska spoczywały przed nim na stole, z lekka skurczone. Ani śladu papierosów czy popielniczki; nie pachniało tu niczym określonym. Biurko było puste, jeśli nie liczyć dużego inter-

komu i czegoś zupełnie absurdalnego: malutkiego pejcza z kości słoniowej z długim, cienkim, białym bacikiem.

W milczącym i głębokim skupieniu Byk wpatrywał się poprzez biurko w Bonda.

Gdy Bond już mu się przyjrzał, popatrzył po pokoju.

Był on pełen książek, przestronny, zaciszny i tak dokładnie wyciszony jak biblioteka milionera.

Jedno wysokie okno znajdowało się nad głową Byka, lecz poza tym ściany składały się wyłącznie z książek. Bond obrócił się w fotelu. Też nic oprócz regałów pełnych książek. Ani śladu drzwi, ale mogło ich być nie wiadomo ile, zamaskowanych makietą z książek. Dwaj Murzyni, którzy go tu przywlekli, stali jakby niepewnie pod ścianą za jego fotelem. Błyskały białka ich oczu. Nie patrzyli na szefa, tylko na dziwaczny wizerunek stojący na stole w pustej części pokoju na prawo, troszkę z tyłu za Bykiem.

Mimo swej znikomej wiedzy o wudu Bond rozpoznał od razu to, co opisywał Leigh Fermor.

Półtorametrowy biały krzyż na wysokim białym cokole. Jego ramiona wepchnięte w rękawy zakurzonego czarnego fraka, którego poły zwisały ku podłodze aż poza stół. Nad kołnierzem sfatygowany melonik rozdziawiał się na niego, z główką przedziurawioną pionowym ramieniem krzyża. Kilka centymetrów poniżej ronda, w miejscu szyi, krzyż otaczał, wsparty na poprzeczce, sztywno wykrochmalony kołnierzyk duchownego.

U podnóża białego cokołu leżała na stole para starych, cytrynowych rękawiczek. Krótka laska z rotangu o złotej gałce stała, opierając się o lewe ramię wizerunku, a jej okuty koniec spoczywał przy rękawiczkach. Poza tym na stole leżał sfatygowany czarny cylinder.

Ten zły strach na wróble, Bóg Cmentarzy i Wódz Zastępu Zmarłych, Baron Samedi stał i gapił się na pokój. Nawet i Bondowi zdawał się przekazywać w rozdziawieniu swym coś okropnego.

Bond oderwał od niego wzrok i znów spojrzął na wielką czarniawo-szarą twarz za biurkiem.

Byk przemówił.

- Ty zostań, Hi-Hi. - Oczy jego się poruszyły. - A ty możesz odejść, Miami.

- Tak jest, szefie - odrzekli równocześnie.

Bond usłyszał, jak drzwi się otworzyły i zamknęły.

Znów zapadło milczenie. Z początku oczy Byka przyglądały się dokładnie Bondowi. Teraz Bond zauważył, że choć oczy te wciąż na nim spoczywają, lecz jakby nieco zmatowiały. Wpatrywały się w Bonda, ale jakby go nie dostrzegały. Odniósł wrażenie, że mózg olbrzymia zajmuje się czymś gdzie indziej.

Bond postanowił, że nie da się zbić z pantałyku. Powróciło mu czucie w dłoniach i sięgnął, aby wyjąć papierosy i zapalniczkę.

- Może pan zapalić, panie Bond. - rzekł Byk. - W razie gdyby coś chodziło po głowie, może zechce się pan nachylić do przodu i obejrzeć dziurkę od klucza w szufladzie tego biurka, zwróconej do pańskiego fotela. Ja zajmę się panem za chwilę.

Bond nachylił się. Dziurka od klucza była duża. Ocenił jej kaliber na .45. Strzela się, jak przypuszczał Bond, za pomocą nożnego przycisku pod biurkiem. Facet cały się składa z takich sztuczek. Ależ to dziecinne. Czy dziecinne? Może jednak nie brać tego zbyt lekko. Te sztuczki - bomba, znikający stolik - okazywały się niezawodne i skuteczne, aczkolwiek efekciarskie. I ta spluwa też wcale nie jest absurdalna. Może zainstalowanie jej tutaj było pracochłonne, ale technicznie trzeba przyznać, że spełniała swoje zadania.

Bond zapalił papierosa i z ulgą wciągnął dym głęboko w płuca. Nie przejmował się zbyt swym położeniem. Nie wierzył, aby coś złego mogło mu się przydarzyć. Nie byłoby to zżeczne: sprzątnąć go

tak parę dni po przyjeździe z Anglii, chyba że zdołano by sprokurować bardzo wiarygodny wypadek. I musiano by równocześnie usunąć Leitera. Tego już byłoby za dużo dla obydwu ich organizacji. Byk niewątpliwie to sobie uświadamia. Martwił się jednak o Leitera. Wargi mister Biga rozchyliły się z wolna, ukazując zęby.

- Już od wielu lat nie spotkałem się z pracownikiem Secret Service, panie Bond. Od wojny. W czasie wojny wasza służba dobrze się spisywała. Jest u was trochę zdolnych ludzi. Dowiedziałem się od przyjaciół, że pan ma wysoką pozycję w Secret Service. Pański numer jakoby zaczyna się od podwójnego zera: zero zero siedem, jeżeli mnie pamięć nie myli. Taki numer z podwójnym zerem, jak słyszałem, znaczy, że wypełniając pewne zadanie, musiał pan zabić człowieka. W organizacji, która nie posługuje się zabójstwem jako bronią, z pewnością nie ma wielu numerów z podwójnym zerem. Skoro więc tu pana przysłano, kogo ma pan zabić, panie Bond? Czy aby nie mnie?

Głos jego brzmiał cicho i spokojnie, akcent był z lekka pomieszany, amerykański z francuskim, lecz angielszczyzna niemal pedantycznie poprawna, bez cienia slangu.

Bond nie odpowiedział. Zakładał, że to Moskwa przekazała jego personalia.

- Konieczne jest, aby pan odpowiedział, panie Bond. Od tego zależy, co się stanie z wami obydwoje. Moje źródła informacji są pewne. Wiem dużo więcej, niż panu powiedziałem. Wykrycie kłamstwa nie sprawi mi trudności.

Bond mu wierzył. Wybrał wersję dającą się potwierdzić i niekolidującą z faktami.

- W Ameryce są w obiegu angielskie złote monety. Rose Noble Edwarda Czwartego - wyjaśnił. - Niektóre z nich sprzedawano w Harlemie. Departament Skarbu zwrócił się o pomoc w ich wytropieniu,

ponieważ muszą pochodzić ze źródła na terenie brytyjskim. Przybyłem do Harlemu, aby osobiście to sprawdzić, z amerykańskim przedstawicielem Departamentu Skarbu, który teraz już, mam nadzieję, wraca bezpiecznie do hotelu.

- Pan Leiter jest przedstawicielem Centralnej Agencji Wywiadowczej, a nie Departamentu Skarbu - rzekł obojętnie Byk. - Jego sytuacja w tej chwili jest nader niepewna.

Tu przerwał i jak gdyby się zamyslił. Spojrzał gdzieś obok i poza Bonda.

- Hi-Hi.

- Tak jest, szefie.

- Przywiąż pana Bonda do fotela.

Bond się na wpół podniósł.

- Proszę się nie ruszać, panie Bond - odezwał się łagodnym tonem. - Ma pan zaledwie szansę na przeżycie, jeśli pozostanie pan na swoim miejscu.

Bond popatrzył na wielkoluda, w jego złote, beznamiętne oczy.

Opuścił się z powrotem na fotel. Jego ciało natychmiast otoczono szerokim pasem i ciasno przypięto. Dwa krótkie paski ścisnęły mu przeguby, mocując je do poręczy ze skóry i metalu. Jeszcze dwa otoczyły mu kostki. Mógł przewrócić się z fotelem na podłogę, ale nic więcej.

Byk nacisnął przełącznik na interkomie.

- Niech tu przyjdzie panna Solitaire - powiedział.

Po chwili oczekiwania odchylił się fragment regału z książkami na prawo od biurka.

Powoli weszła jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Bond widział w życiu, i zamknęła za sobą drzwi. Stała, nie ruszając się, i patrzyła na Bonda, lustrując go od stóp do głów. Kiedy już dokonała tych drobiazgowych oględzin, zwróciła się do Byka.

- Tak?

Mister Big nawet nie ruszył głową. Zwrócił się do Bonda.

- To niezwykła kobieta, panie Bond - rzekł tak samo cichym, spokojnym głosem - i ja ożenię się z nią, bo nie ma sobie równej. Znalazłem ją w kabarecie, na Haiti, bo tam się urodziła. Wykonywała numer telepatyczny, którego nie rozumiałem. Zbadałem tę sprawę i wciąż nie mogłem zrozumieć. Bo nie było nic do rozumienia. Telepatia i koniec.

Byk przerwał.

- Mówię to, żeby pana uprzedzić. Ona prowadzi u mnie przesłuchania. Tortury są brudne i niezbyt wiarygodne. Ludzie powiedzą ci wszystko, co zechcesz, byle złagodzić ból. Z tą dziewczyną nie ma potrzeby stosować tych prymitywnych metod. Ona potrafi z ludzi wyczytać prawdę. I dlatego będzie moją żoną. Jest zbyt cenna, aby pozostawić jej wolność. Poza tym - dorzucił od niechcienia - ciekawe będzie zobaczyć nasze dzieci.

Byk obrócił się do niej i przyjrzał się jej beznamiętnie.

- Na razie jest jeszcze krnąbrna. Nie chce mieć do czynienia z mężczyznami. Dlatego właśnie na Haiti nazywano ją Solitaire.

- Przysuń sobie krzesło - zwrócił się do niej, nie podnosząc głosu. - Powiedz mi, czy ten człowiek kłamie. Nie wchodź między niego a lufę - dodał.

Dziewczyna nie odezwała się, tylko wzięła spod ściany fotel podobny do tego, w którym siedział Bond, i popchnęła w jego stronę. Usiadła, niemal dotykając jego prawego kolana. Popatrzyła mu w oczy.

Jej twarz miała tę rodzimą błądź białych, od dawna żyjących w tropikach. Jednak nie było w niej śladu znużenia, którym tropiki zwykły się odciskać na skórze i włosach. Jej niebieskie oczy, błyszczące i wzgardliwe, wpatrywały się w niego z odcieniem humoru,

przekazywały mu jednak, co sobie uświadomił, jakieś osobiste przesłanie. Znikło natychmiast, ledwie jego wzrok odpowiedział jej tym samym. Granatowoczarne włosy ciężko spadały na ramiona. Miała wysokie kości policzkowe i szerokie, zmysłowe usta z leciutkim wyrazem okrucieństwa. Zarys szczęki był delikatny i wytworny, przejawiała się w nim stanowczość i żelazna wola, powtórzone w prostym i wąskim nosie. Piękno jej twarzy brało się częściowo z widocznej nieustępliwości. Twarz osoby urodzonej do rozkazywania. Twarz córki właściciela niewolników z kolonii francuskich.

Klasykzny krój długiej wieczorowej sukni z ciężkiego, białego, matowego jedwabiu zakłócony był głębokimi fałdami, które opadały jej z ramion, ukazując górną część piersi. Miała kolczyki z brylantów o prostokątnym szlifie i wąską bransoletkę z brylantów na lewym przegubie. Żadnych pierścionków. Paznokcie krótkie i nielakierowane.

Spostrzegła, jak Bond na nią patrzy, i od niechcienia zbliżyła spoczywające na jej kolanach przedramiona, tak że zagłębienie między jej piersiami jeszcze się pogłębiło.

Przesłanie było jednoznaczne i ściągnięta, chłodna twarz Bonda musiała odpowiedzieć na to jakimś przeblyskiem ciepła, bo Byk nagle sięgnął po leżący obok niego na biurku pejczyk z kości słoniowej i smagnął ją, rzemyk świsnął w powietrzu i uciał ją dotkliwie, trafiając w ramiona.

Bond bardziej się wzdrygnął niż ona. Oczy dziewczyny na moment rozblęły, ale zaraz zmatowiały.

- Usiądź prosto - rzekł cicho Byk. - Zapominasz się.

Z wolna wyprostowała się. W dłoni trzymała talię kart i teraz zaczęła je tasować. Później, chyba z brawury, przesłała mu następny sygnał: zmowy i czegoś więcej.

Odkryła kierowego waleta. Potem królową pik. Zatrzymała obie połówki talii na swych kolanach, tak że dwie figury spoglądały na

siebie. Zbliżyła je, aż się pocałowały. Po czym z furkotem przepuściła obie połówki w palcach i znów zaczęła tasować.

W żadnej chwili tego milczącego pokazu nie spojrzała na Bonda i po sekundzie było już po wszystkim. Ale Bond poczuł, jakby żar podniecenia i przyspieszone tętno. Znalazł się ktoś przyjazny we wrogim obozie.

- Jesteś gotowa, Solitaire? - zapytał Byk.

- Owszem, karty są gotowe - odparła dziewczyna niskim i chłodnym głosem.

- Panie Bond, proszę spojrzeć jej w oczy i powtórzyć ten powód swego przybycia, który mi pan przed chwilą podał.

Bond spojrział jej w oczy. Nie wyczytał w nich żadnego przesłania. W ogóle się nie koncentrowały na jego oczach. Spoglądały przez niego na wskroś.

Powtórzył to, co już raz powiedział.

Na moment przeniknęło go coś niesamowitego. Jakiś dreszcz. Czy ona to rzeczywiście poznaje? A jeśli tak, to czy wypowie się za nim, czy przeciw niemu?

W pokoju zapadła na chwilę martwa cisza. Bond starał się sprawić wrażenie obojętnego. Popatrzył w sufit, a potem znów na nią.

Jej wzrok odzyskał ostrość. Odwróciła się od Bonda i spojrzała na Byka.

- Mówi prawdę - oznajmiła chłodno.

VIII Nie zna się na żartach

Byk zadumał się na chwilę. Jakby coś postanawiał. Nacisnął przełącznik interkomu.

- Papła?
- Tak jest, szefie.
- Trzymasz tego Amerykanina, Leitera.
- Tak jest.
- Teraz go porządnie uszkodzisz. Potem zawieziesz do szpitala

Bellevue i rzucisz gdzieś w pobliżu. Jasne?

- Tak jest, szefie.
- Żeby cię nie zauważyli.
- Oczywiście, szefie.

Byk cofnął przełącznik do środkowej pozycji.

- A żeby cię wszyscy diabli - rzekł nienawistnie Bond. - CIA ci tego nie daruje.

- Pan o czymś zapomina, panie Bond. Ameryka nie podlega ich jurysdykcji. Agencja nie działa na terenie Stanów Zjednoczonych... tylko za granicą! Natomiast FBI nie jest im bynajmniej życzliwe. Hi-Hi, chodź tutaj.

- Tak jest, szefie. - Hi-Hi zbliżył się i stanął przy biurku.

Byk spojrzał na Bonda.

- Którego palca najmniej pan używa, panie Bond?

Bonda zaskoczyło to pytanie. W myślach mu się zakotłowało.

- Jakby się zastanowić, na pewno pan odpowie, że małego palca lewej ręki - kontynuował łagodnym głosem. - Hi-Hi, złam panu Bondowi mały palec u lewej ręki.

Teraz się wyjaśniło, skąd Murzyn wzięło swoje przezwisko.

- Hi hi - zachichotał falsetem. - Hi hi.

Podszedł ochoczo do Bonda. Bond wczepił się wściekle w poręczę swego fotela. Pot zaczął mu występować na czoło. Usiłował

sobie wyobrazić ten ból, ażeby nad nim zapanować.

Murzyn powoli odciągnął mały palec lewej dłoni Bonda, unieruchomionej przy poręczy.

Trzymając jego czubek między palcem wskazującym a kciukiem, zaczął odginać go w tył, chichocząc idiotycznie sam do siebie.

Bond zwinął się i dźwignął z podrzutu, usiłując przewrócić fotel, ale Hi-Hi położył drugie łapsko na oparciu i przytrzymał. Bondowi pot spływał po twarzy. Mimowolnie rozchylił usta, ukazując zęby. Przez potęgujący się ból widział tylko wpatrujące się w niego rozszerzone oczy dziewczyny i jej odrobinę otwarte czerwone usta.

Palec już sterczał pionowo, odgięty od dłoni. Zaczął się z wolna odchylać w stronę przegubu. Aż nagle ustąpił. Rozległ się głośny trzask.

- Wystarczy - powiedział Byk.

Hi-Hi niechętnie puścił złamany palec.

Bond wydał ciche, zwierzęce stęknienie i zemdłał.

- Ten facio nie zna się na żartach - skomentował Hi-Hi.

Solitaire jakby się osunęła w swoim fotelu i zamknęła oczy.

- Miał broń? - spytał Byk.

- Tak jest - rzekł Hi-Hi. Wyjął z kieszeni beretę Bonda i przesunął ją po biurku. Mister Big wziął ją i fachowo obejrzał. Zważył w rękę, sprawdzając, jak mu się układa w dłoni szkieletowa rękojeść, po czym opróżnił magazynek na biurko, upewnił się, że w lufie też nie ma naboju, i pchnął beretę w stronę Bonda.

- Ocuć go - rozkazał, spoglądając na zegarek.

Była godzina trzecia.

Hi-Hi obszedł fotel, stanął za Bondem i wbił mu paznokcie w płatki uszu.

Bond jęknął i unióśł głowę.

Znów skoncentrował wzrok na postaci Byka. Wyrzucił z siebie kilka przekleństw.

- Ciesz się, że jeszcze żyjesz - odrzekł beznamiętnie Byk. -

Każdy ból jest lepszy od śmierci. Zabierz swój pistolet. Naboje wyjąłem. Oddaj mu go, Hi-Hi.

Hi-Hi wziął berettę z biurka i wsunął ją Bondowi z powrotem do kabury.

- Wyjaśnię pokrótce - podjął Byk - dlaczego żyjesz i dlaczego pozwolono ci zakosztować rozkoszy bólu, a nie przyczyniać się do zanieczyszczenia rzeki Harlem tym, co żartobliwie nazywane bywa jesionką z cementu.

Zamilkł, ale po chwili kontynuował:

- Mnie doskwiera nuda, panie Bond. Jestem ofiarą tego, co wcześniej chrześcijanie nazywali *accidia*: śmiertelny letarg ogarniający sytych i niczego już niepożądających. Osiągnąłem absolutny szczyt w obranym przeze mnie zawodzie; cieszę się zaufaniem tych, co posługują się niekiedy moimi uzdolnieniami; boją się i ślepo słuchają mnie ci, którymi ja się posługuję. Nie mam już do zdobycia, dosłownie, żadnych światów na obranej przeze mnie orbicie. Niestety za późno już, abym w życiu mógł zmienić tę orbitę na inną, skoro zaś cel wszelkich ambicji to władza, nie jest prawdopodobne, abym mógł zdobyć większą władzę niż ta, którą już mam, w jakiejś innej dziedzinie.

Bond słuchał tylko częścią swego umysłu. Drugą jego połową już planował. Wyczuwał obecność Solitaire, ale nie spojrzął na nią. Wpatrywał się twardo ponad biurkiem w ogromne szare oblicze o niemrugających złotych oczach.

Cichy głos ciągnął.

- Panie Bond, teraz już znajduję przyjemność tylko w artyzmie, w doszlifowaniu i finezji, które mogę wnieść do mych operacji. Przeprowadzam sprawy z absolutną precyzją i wyszukaną elegancją - stało się to dla mnie pewnego rodzaju obsesją. Z każdym dniem, panie Bond, staram się narzucać sobie wyższe wymagania co do

subtelności i technicznej precyzji, tak aby każde z moich przedsięwzięć było dziełem sztuki, noszącym mój podpis tak wyraźny jak dzieło, powiedzmy, Benvenuto Celliniego. Na razie wystarcza mi, że jestem sam sobie sędzią, ale żywię głębokie przekonanie, panie Bond, że to zbliżanie się do perfekcji, które ciągle uzyskuję w mych przedsięwzięciach, zapewni mi wreszcie uznanie w historii naszych czasów.

Byk przerwał. Bond ujrzał, iż jego wielkie żółte oczy rozszerzyły się, jak gdyby oglądał wizje. To wariat i megaloman! - pomyślał Bond. I tym bardziej przez to niebezpieczny! Skaza większości zbrodniczych umysłów polega na tym, że nie znają innego bodźca niż chciwość. Natomiast umysł poświęcający się idei to coś zgoła innego. Ten człowiek nie jest gangsterem. To istna zgroza. Bond poczuł się zafascynowany i nieco przestraszony.

- Godzę się na anonimowość z dwóch przyczyn - rozległ się znów spokojny głos. - Ponieważ moje przedsięwzięcia z natury tego wymagają i ponieważ autonegacja anonimowego artysty wzbudza mój podziw. Jeśli mi pan wybaczy tę zarozumiałość, patrzę na siebie czasem jak na jednego z tych wielkich egipskich malarzy fresków, którzy poświęcali życie na tworzenie arcydzieł w królewskich grobowcach, wiedząc, że nigdy ich nie będzie oglądać oko żyjących.

Wielkie oczy zamknęły się na moment.

- Wróćmy jednak do chwili obecnej. Nie zabiłem pana dziś rano dlatego, panie Bond, że zrobienie panu dziury w brzuchu nie dałoby mi satysfakcji estetycznej. Za pomocą tego urządzenia - wskazał na broń wycelowaną w Bonda z szuflady biurka - zrobiłem już mnóstwo dziur w mnóstwie brzuchów, dość, aby się przekonać, że ta mechaniczna zabawka sprawdza się jako osiągnięcie techniczne. Poza tym, jak pan niewątpliwie słusznie przypuszcza, byłoby mi trochę niewygodnie ujrzeć tu cały tłum wścibskich dopytujących się

o zniknięcie pana i pańskiego przyjaciela, Leitera. Tylko niewygodnie, ale z różnych przyczyn wolę się skoncentrować obecnie na czymś innym. Dlatego - Byk popatrzył na zegarek - postanowiłem zostawić każdemu z was drobną pamiątkę i jeszcze raz udzielić wam poważnego ostrzeżenia. Pan ma dzisiaj wyjechać z tego kraju, a pan Leiter zając się czym innym. Mam aż nadto spraw na głowie i nie potrzebuję tu żadnych agentów z Europy na dodatek do sporego już zastępu miejscowych psów, z którymi muszę sobie radzić. I to wszystko - zakończył. - Jeśli jeszcze raz pana tutaj zobaczę, umrze pan w sposób tak wymyślny, jaki tego dnia zdołam wykombinować.

- Hi-Hi, zabierz pana Bonda do garażu. Niech dwaj ludzie odstawią go do Central Parku i wrzucą do wody. Gdyby się opierał, można go uszkodzić, byle nie zabić. Zrozumiano?

- Tak jest, szefie - odpowiedział Hi-Hi, przy czym zachichotał falsetem.

Oswobodził Bondowi kostki, a następnie przeguby. Wziął go za uszkodzoną dłoń i wykręcił mu ją na plecy. Następnie odpiął drugą ręką ramię krępujący go w pasie. Szarpnięciem poderwał Bonda na równe nogi.

- Wstawaj - powiedział.

Bond wpatrzył się jeszcze raz w ogromne szare oblicze.

- Kto zasłużył na śmierć - tu przerwał - umrze śmiercią, na jaką zasłużył. Zapisz to sobie - dodał. - To jest najzupełniej oryginalna myśl.

Potem spojrzął na Solitaire. Siedziała z oczyma spuszczoneymi na dłoń leżące na kolanach. Nie podniosła oczu.

- Bujaj się - rzekł Hi-Hi. Obrócił Bonda ku ścianie i popchnął, wykręcając jego przegub na plecy, tak że omal nie wyłamał mu przedramienia. Bond wydał realistyczny jęk i potknął się. Zależało

mu na tym, aby Hi-Hi uwierzył, że jest zastraszony i potulny. Aby dręczący go chwyt na lewej ręce choć troszkę zelżał. Bo tak jak teraz, każdy gwałtowny ruch spowodowałby tylko złamanie ramienia.

Hi-Hi sięgnął ponad ramieniem Bonda i nacisnął jedną z książek na wypełnionym regale. Duża sekcja obróciła się na pionowej osi. Murzyn przepchnął Bonda i kopnięciem zamknął ciężkie drzwi. Zatrzasnęły się z podwójnym szczęknięciem. Z grubości tych drzwi Bond wywnioskował, że są dźwiękoszczelne. Za nimi krótki korytarzyk z wykładziną dywanową kończył się u schodów biegnących w dół. Bond jęknął.

- Łamiesz mi rękę - powiedział. - Uważaj, bo zemdleję.

Znow się potknął, próbując wymierzyć dokładnie odległość, w jakiej Murzyn znajduje się za nim. Przypomniał sobie zalecenie Leitera: „Piszczele, pachwina, brzuch i krtań. Walniesz gdzie indziej i tylko złamiesz sobie rękę”.

- Stul pysk - warknął Murzyn, lecz nieco poluzował chwyt.

Tylko tego Bondowi było trzeba.

Przeszli pół korytarzyka i już tylko z metr został do szczytu schodów. Bond znowu się zachwiał, tak iż Murzyn wpadł na niego, dzięki czemu poznał zasięg i kierunek.

Trochę się schylił i jego prawa dłoń, wyprężona i płaska jak deska, śmignęła po okręgu. Poczuł, jak uderzyła mocno w cel. Murzyn wrzasnął przeraźliwie jak ranny królik. Bond uwolnił lewe ramię. Okręcił się i wyrwał nienabity pistolet. Murzyn, zgięty w pół, trzymając się za krocze, posapywał, cicho jęcząc. Bond rąbnął go mocno pistoletem w potylicę. Łupnęło tępo, jakby stuknął w drzwi, lecz Murzyn stęknął i upadł na kolana, wyrzucając obie ręce w przód, by się podeprzeć. Bond obskoczył go i z całej siły kopnął z tyłu butem o stalowym czubku trochę poniżej siedzenia spodni w lawendowym kolorze.

Murzyn po raz ostatni krótko wrzasnął i poleciał w stronę schodów. Uderzył głową o żelazną poręcz, a potem znikł za krawędzią. Znów łupnęło, kiedy odbił się od jakiejś przeszkody, chwila przerwy, wreszcie donośne łupnięcie i trzask, gdy wylądował na dole. A potem cisza.

Bond otarł pot z oczu i stał, nasłuchując. Uszkodzoną lewą dłoń wsunął za pazuchę. Pulsowała boleśnie, spuchnięta niemal do podwójnych rozmiarów. W prawej dłoni trzymając pistolet, ruszył do szczytu schodów i powoli na dół, cicho stąpając na podbiciu stóp.

Tylko jedno piętro dzieliło go od rozkrzyżowanego ciała tam w dole. Gdy stanął na podeście, znów zatrzymał się i nasłuchiwał. Skądś w pobliżu dochodził wysoki pisk szybko nadającej radiostacji. Stwierdził, że dobiega on zza jednych z dwójga drzwi wychodzących na podest. Musiał to być ośrodek łączności Byka. Korciło go, aby natychmiast tam wejść. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia, ilu ludzi może tam zastać, a broń miał rozładowaną. Radiotelegrafiści nie usłyszeli łoskotu wywołanego upadkiem Hi-Hi, ponieważ mieli słuchawki na uszach.

Czając się, zszedł na dół.

Hi-Hi był martwy lub konający. Leżał rozkrzyżowany na wznak. Prążkowany krawat spoczywał mu na twarzy jak rozgnieciona żmija. Bond nic sobie nie miał do zarzucenia. Obszukał ciało i znalazł rewolwer zatknięty za pasek lawendowych spodni, zboczonych teraz krwią. Był to colt .38 detective special z obciętą lufą. Z nabojami we wszystkich komorach. Bond schował bezużyteczną berettę do kabury. Z ponurym uśmiechem ujął w dłoń wielki rewolwer.

Miał przed sobą nieduże drzwi, zaryglowane od jego strony. Przyłożył do nich ucho. Dobiegł go stłumiony warkot silnika. Wiadocześnie garaż. Ale silnik na chodzie? O tej godzinie? Bond zgrzytnął zębami. Oczywiście! Byk z pewnością dał znać przez telefon, że

Hi-Hi go prowadzi. Może się dziwić, dlaczego tak długo. Pewnie wpatrują się w te drzwi, czekając na pojawienie się Murzyna.

Bond zastanowił się chwilę. Zaskoczenie było jego atutem. Byle zasuwę okazały się dobrze naoliwione.

Lewą rękę miał prawie bezużyteczną. Z coltem w prawej spróbował pierwszej zasuwę kantem uszkodzonej dłoni. Odsunęła się łatwo. Druga też. Pozostała jedynie klamka. Nacisnął ją i ostrożnie pociągnął ku sobie grube drzwi. Hałas silnika wzmógł się znacznie, gdy się uchyliły. Samochód musi stać tuż za nimi. Wszelkie dalsze poruszanie się drzwi może go zdradzić. Szarpnął je, otwierając na oścież, i stanął bokiem jak szermierz, by stanowić jak najmniejszy cel. Kurek w colcie był odciągnięty.

Może z metr od siebie dojrzał czarnego sedana, którego silnik pracował. Samochód stał przodem do otwartych podwójnych drzwi garażu. Jaskrawe lampy łukowe oświetlały lśniąca karoserie kilku innych samochodów. Za kierownicą sedana siedział wielki Murzyn, a drugi stał obok niego, wsparty o tylne drzwi czarnego wozu. Poza tym nikogo nie było widać.

Na widok Bonda usta Murzynów rozdziawiły się ze zdumienia. Papieros wypadł z warg temu przy kierownicy. I natychmiast obaj sięgnęli po broń.

Bond instynktownie strzelił najpierw do stojącego, wiedząc, że on szybciej wyjmie pistolet.

W garażu rozległ się głuchy huk.

Murzyn chwycił się oburącz za brzuch, postąpił dwa kroki w stronę Bonda i runął na twarz, a broń potoczyła się ze szczękiem po betonie.

Mężczyzna przy kierownicy wrzasnął, gdy lufa w rękę Bonda zwróciła się w jego stronę. Kierownica mu przeszkadzała, toteż zdołał tylko wsadzić dłoń pod marynarkę. Bond strzelił mu prosto w

rozdziawione usta i głowa kierowcy rąbnęła o boczną szybę.

Bond obiegł samochód i otworzył drzwi. Górna część ciała Murzyna wysunęła się na zewnątrz. Bond rzucił rewolwer na siedzenie kierowcy i wyciągnął trupa na beton. Zajął jego miejsce, starając się nie zakrwawić. Na szczęście silnik był już na chodzie, a dźwignia skrzyni biegów znajdowała się przy kierownicy. Zatrzasnął drzwi, oparł uszkodzoną dłoń na kierownicy po lewej i wrzucił jedynekę.

Hamulec ręczny był jeszcze zaciągnięty. Musiał schylić się pod kierownicę, aby zwolnić go prawą ręką.

Gdy ciężki wóz już wyjeżdżał przez szeroką bramę na zewnątrz, huknął strzał i kula trafiła w karoserię. Bond obrócił kierownicę szarpnięciem prawej dłoni i drugi pocisk poszedł górą. Po drugiej stronie ulicy rozsypało się z brzękiem okno.

Błysnęło tuż znad podłogi, więc zapewne pierwszy z Murzynów jakoś zdołał jeszcze sięgnąć po broń.

Więcej nie strzelano i żaden odgłos nie dobiegł z tyłu od uspio-nych domów o ciemnych oknach. Wrzucając kolejne biegi, Bond nie widział w lusterku nic oprócz szerokiej smugi światła padającej z garażu na ciemną i pustą ulicę.

Nie miał pojęcia, gdzie jest ani dokąd zmierza. Szeroka ulica nie była zbyt charakterystyczna. Pędził przed siebie. Zorientował się, że jedzie lewą stroną, i czym prędzej przejechał na prawą. Dłoń go strasznie bolała, mimo to jej kciukiem i palcem wskazującym pomagał sobie w trzymaniu kierownicy. Starał się pamiętać o tym, by nie ubrudzić sobie lewego boku krwią. Długą ulicę zaludniały jedynie małe duszki z pary dobywające się chwiejnie z zakratowanych otworów umożliwiających dostęp do miejskiego systemu rur centralnego ogrzewania. Brzydka maska samochodu kosiła je, jednego po drugim, ale w lusterku Bond widział, jak znów za nim powstają łagodnie

gestykulujące białe widziadła.

Jechał ciężkim wozem około osiemdziesiątki. Kilka razy przeskakiwał czerwone światła. Jeszcze parę ciemnych bloków i trafił na oświetloną aleję. Tu był ruch i poczekał na zielone światło. Skręcił na lewo i wynagrodziła go cała sekwencja zielonych światel, a każde przenosiło Bonda coraz dalej od wroga. Na skrzyżowaniu rozejrzał się i przeczytał znaki. Skrzyżowanie Park Avenue i Sto Szesnastej Ulicy. Zwolnił jeszcze raz przy następnej przecznicy. Była to Sto Piętnasta. Czyli jedzie do centrum, oddalając się od Harlemu. Pojechał dalej. Skręcił w Sześćdziesiątą. Była pusta. Wyłączył silnik i zostawił samochód przy hydrancie pożarowym. Wziął z siedzenia rewolwer, wetknął go za pasek i pieszo wrócił na Park Avenue.

Po kilku minutach złapał krążącą taksówkę i nagle okazało się, że wstępuje po schodach St Regis.

- Zostawiono dla pana wiadomość, panie Bond - rzekł portier. Odwracając się od niego lewą stroną, Bond prawą dłonią otworzył kopertę. Kartka od Feliksa Leitera, napisana o czwartej rano: *Zadzwoń do mnie natychmiast.*

Bond wszedł do windy i pojechał na swoje piętro. Otworzył pokój 2100 i wszedł do salonu.

Zatem obaj przeżyli. Bond opadł na fotel koło telefonu.

- Boże Wszechmogący- westchnął, przepelnięny wdzięcznością. - Aleśmy mieli szczęście.

IX Prawda to czy fałsz?

Bond spojrzął na telefon, potem wstał i podszedł do bocznego stolika. Wrzucił do wysokiej szklanki garstkę lekko rozpuszczonych kostek lodu, wlał na cztery palce whisky Haig & Haig i zakręcił tą mieszaniną, żeby się ochłodziła i rozwodniła. Wypił połowę jednym długim łykiem. Odstawił szklankę i wysunął się z płaszcza. Lewa dłoń tak spuchła, że ledwie przeszła przez rękaw. Mały palec ciągle był wyłamany do tyłu i wściekle zabolął przy otarciu o wnętrze rękawa. Był prawie czarny. Ściągnął z szyi krawat i rozpiął koszulę pod brodą. Sięgnął po szklankę, upił jeszcze głęboki łyk i wrócił do telefonu.

Leiter natychmiast odebrał.

- Chwała Bogu. I co ci zrobili?
- Złamali palec - rzekł Bond. - A tobie?
- Dostałem pałką przez łeb. Ogłuszili mnie. Nic wielkiego. Zaczęli od rozpatrywania różnych pomysłowych wariantów. Podłączyć mnie do kompresora w garażu. Albo zacząć od uszu i tak dalej. Kiedy wciąż nie było instrukcji od Byka, znudzilo im się i wdaliśmy się w dyskusję o subtelnościach jazzu, ja i Papla, ten od fantazyjnego sześciostrzałowca. Doszliśmy do Duke'a Ellingtona i okazało się, że obaj jesteśmy za tym, aby perkusja prowadziła w zespole, a nie instrumenty dęte. Zgodziliśmy się, że bębny albo fortepian lepiej scalają zespół niż inne instrumenty solowe. Co do Ellingtona, opowiedziałem mu ten dowcip o klarncie: że to taka fujara, co w ogóle nie nadaje się do dmuchania. O mało nie skonał ze śmiechu. Nagle się zaprzyjaźniliśmy. Temu drugiemu, co go nazywają Flanelowy, to się

nie podobało i Papla powiedział mu, że go zwalnia, że sam się już mną zajmie. Po czym zadzwonił Byk.

- Byłem przy tym - rzekł Bond. - Brzmiało to nieciekawie.

- Papla cholernie się zmartwił. Chodził w kółko i gadał coś do siebie. Nagle rąbnął mnie pałką tak mocno, że straciłem przytomność. Ocknąłem się pod szpitalem Bellevue. Około wpół do czwartej. Papla cały czas mnie przeproszał, tłumaczył się, że już nic mniej nie mógł mi zrobić. Wierzę mu. Błagał, żebym go tylko nie wydał. A on powie, że zostawił mnie na pół martwego. Oczywiście przyrzekłem, że puszczę w obieg trochę makabrycznych szczegółów. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Opatrzono mnie trochę na pogotowiu i wróciłem do domu. Cholernie się o ciebie martwiłem, ale wkrótce rozdzwoniły się telefony. Policja i FBI. Zdaje się, że Byk złożył skargę na jakiegoś zwariowanego Angola, który dzisiaj we wczesnych godzinach rannych wpadł w amok w lokalu zwanym Kostnica, zastrzelił trzech jego pracowników - kelnera i dwóch kierowców, jeżeli chcesz wiedzieć - ukradł jeden z jego samochodów i uciekł, zostawiając w szatni płaszcz i kapelusz. Mister Big głośno się domaga, aby natychmiast podjęto zdecydowane kroki. Oczywiście przystopowałem gliniarzy i FBI, mimo to są wściekli jak wszyscy diabli. Musimy się czym prędzej wynosić z miasta. Do porannych wydań to nie trafi, ale w popołudniowych radiowych i telewizyjnych będzie już głośno o całej sprawie. A niezależnie od tego sam Byk będzie gonił za tobą jak stado wściekłych szerszeni. W każdym razie ja to i owo już zaplanowałem. A teraz gadaj i, jak Boga kocham, cieszę się, że słyszę twój głos!

Bond opowiedział mu szczegółowo, co się zdarzyło. Niczego nie pominął. Kiedy skończył, Leiter cicho zagwizdał.

- Chłopie - rzekł z podziwem. - Uszkodziłeś maszynę Byka. A swoją drogą miałeś szczęście. Ta panna Solitaire chyba rzeczywiście

uratowała ci skórę. Sądzisz, że będziemy mogli ją wykorzystać?

- Owszem, gdybyśmy zdołali do niej trafić - odparł Bond. - Myślę, że on jej dobrze pilnuje.

- Może jutro się nad tym zastanowimy. A na razie zwijajmy się. Teraz rozłączę się i zadzwonię za kilka minut. Przede wszystkim zaraz przyślę ci policyjnego lekarza. Zjawi się u ciebie może za kwadrans. Później sam pogadam z komendantem i uporządkuję trochę sprawy z policją. Mogą się nie spieszyć, kiedy znajdą samochód. FBI trochę ustawi chłopaków z radia i prasy, żeby wyeliminować przynajmniej twoje nazwisko i to gadanie o zwiariowanym Angolu. Inaczej będziemy mieli ambasadora Wielkiej Brytanii wyciągniętego z łóżka i marsze organizowane przez Krajową Ligę Popierania Rozwoju Kolorowych i tym podobne. - Leiter zachichotał do telefonu. - Lepiej porozmawiaj ze swoim szefem w Londynie. U nich teraz jest około dziesiątej trzydzieści. Potrzebna ci będzie ochrona. Ja mogę się zatroszczyć o CIA, ale w FBI dziś rano mieli ostry atak swojego szefa. Potrzeba ci będzie innych ubrań. Zajmę się tym. Nie zaśnij. Wyśpijmy się jeszcze w grobie. Czekaj na mój telefon.

Rozłączył się. Bond się uśmiechnął. Kiedy usłyszał wesoły głos Leitera i dowiedział się, że wszystkim już się zajęto, odeszło zmęczenie i ponure wspomnienia.

Podniósł słuchawkę i zwrócił się do telefonistki w centrali międzynarodowej. Uprzedziła, że potrwa to dziesięć minut.

Bond przeszedł do sypialni i wydostał się jakoś z ubrania. Wziął bardzo gorący prysznic, a potem lodowaty. Ogolił się i zdołał wciągnąć na siebie czystą koszulę i spodnie. Wsunął świeży magazynek do beretty, a colta zawinął w zdjętą koszulę i schował do walizki. Był w trakcie pakowania się, gdy zadzwonił telefon.

Usłyszał bzyknięcie i echo na linii, gadające z daleka głosy operatorów, strzępki nadawane alfabetem Morse'a z samolotów i

statków na morzu, po chwili wyciszone. Już widział duży, szary budynek w pobliżu Regent's Park i wyobraził sobie centralę telefoniczną, filiżanki z herbatą i dziewczynę mówiącą: „Słucham, tu Universal Export” - adres wywołany przez Bonda, jeden z kryptonimów, których używają agenci do nagłych połączeń na liniach otwartych z zagranicy. Ona to przekaże kontrolerowi, który odbierze telefon.

- Ma pan połączenie - oznajmiła telefonistka centrali zamorskiej. - Proszę mówić. Nowy Jork do Londynu.

W słuchawce rozległ się łagodny głos.

- Universal Export. Kto mówi?

- Chciałbym rozmawiać z dyrektorem - powiedział Bond. - Mówi jego siostrzeniec James z Nowego Jorku.

- Chwileczkę. - Bond widział, jak przełączają go do panny Mooney i jak ona wciska przełącznik na interkomie. - Telefon z Nowego Jorku, sir - rzekła zapewne. - Zdaje się, że to zero zero siedem. - Proszę łączyć - mówi na pewno M.

- Słucham - odezwał się chłodny głos, który Bond kochał i któremu był posłuszny.

- Mówi James - rzekł Bond. - Są pewne trudności z wysyłką towaru. Przymuszczenie przyda się pomoc.

- Słucham.

- Wybrałem się zeszłej nocy na peryferie, aby spotkać się z naszym głównym klientem. W czasie mojej wizyty okazało się, że rozchorowali się trzej z jego najbliższych współpracowników.

- Jak poważnie?

- Bardzo poważnie - odpowiedział Bond. - Szaleje tu epidemia grypy.

- Mam nadzieję, że się nie zaraziłeś.

- Lekkie dreszcze, nic więcej. W każdym razie nic poważnego.

Napiszę o tym w liście. Tylko że z powodu tej epidemii Federacja radzi mi wyjechać z miasta. - Bond zdusił śmiech, pomyślawszy, jak M szczyrzy zęby. - Dlatego ja i Felicia zaraz stąd wyjeżdżamy.

- Kto? - zapytał M.

- Felicia - przeliterował Bond. - Moja nowa sekretarka z Waszyngtonu.

- Ach tak.

- Pomyślałem sobie, że zajrzę do tej fabryki w San Pedro, którą mi doradzano.

- To całkiem dobry pomysł.

- Tylko że Federacja może się z tym nie zgadzać, więc liczę na waszą pomoc.

- Rozumiem - rzekł M. - A co tam w interesach?

- Dosyć obiecująco. Ale trzeba się będzie pomęczyć. Felicia jeszcze dziś przepisze mój raport.

- Dobrze - powiedział M. - Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. Dziękuję za pomoc.

- W porządku. Trzymaj się. Do widzenia.

- Do zobaczenia.

Bond odłożył słuchawkę. Zęby wyszczerzył w uśmiechu. Wyobrażał sobie, jak M dzwoni do szefa sztabu. - Zero zero siedem już namieszał z FBI. Polazł ubiegłej nocy dureń do Harlemu i rozwalił trzech ludzi Byka. Sam też chyba jest ranny, ale niegroźnie. Muszą wynieść się z miasta, on i Leiter, ten z CIA. Wyjeżdżają do St Petersburga. Proszę uprzedzić A i C. Pewnie jeszcze dzisiaj będziemy mieć na karku tych z Waszyngtonu. Niechaj w A odpowiedzą im, że bardzo współczuję, ale mam całkowite zaufanie do zero zero siedem i że niewątpliwie działał w samoobronie. To się już nie powtórzy i tak dalej. Czy wszystko jasne? - Bond znowu się uśmiechnął,

pomyślawszy, jak Damon złapie się za głowę, że musi ugłaskać Waszyngton, kiedy na pewno ma do rozplatania wiele innych zawiłych anglo-amerykańskich spraw. Zadzwoił telefon. Znów Leiter.

- Więc posłuchaj - zagaił. - Wszyscy trochę już łagodnieją. Wygląda na to, że ci, których załatwiłeś, to była dość parszywa trójca: Hi-Hi Johnson, Sam Miami i niejaki McThing. Wszyscy za coś tam poszukiwani. FBI cię kryje, a policja miga się ile wlezie. Ważniaki z FBI zwróciły się już do mojego szefa, żeby cię odesłał do Anglii. Wyciągnęli go z łóżka, jeśli chcesz wiedzieć - chyba głównie przez zazdrość - ale poradziliśmy sobie z tym. Jednak obaj musimy czym prędzej wyjechać z miasta. To też załatwione. Razem nie możemy podróżować, więc ty jedziesz pociągiem, a ja lecę. Zanotuj szczegóły.

Bond umieścił słuchawkę między barkiem a szyją. Sięgnął po ołówek i papier.

- Słucham - powiedział.

- Pennsylvania Station. Tor czternasty. Dzisiaj rano o wpół do jedenastej. Pociąg nazywa się Srebrny Fantom. Bezpośredni do St Petersburga przez Waszyngton, Jacksonville i Tampeę. Zarezerwowałem ci przedział. Pełny luksus. Wagon dwieście czterdziesty piąty przedział H. Bilet na nazwisko Bryce wręczy ci konduktor w pociągu. Wejdiesz po prostu bramką numer czternaście i do pociągu. Prosto do swego przedziału i zamknij się w nim, aż pociąg ruszy. Ja mam za godzinę samolot Eastern Airline, więc od tej chwili zostajesz sam. Gdybyś wdepnął w coś, dzwoń do Dextera, tylko nie zdziw się, jeżeli urwie ci głowę. Pociąg będzie na miejscu jutro około południa. Weź taksówkę i jedź do Everglades Cabanas, Gulf Boulevard West, na Sunset Beach nad zatoką. To miejsce nazywa się Wyspa Skarbów i są tam wszystkie plażowe hotele. Połączenie z St Petersburga szosą na grobli. Taksówkarz będzie wiedział. Tam czekam na ciebie. Wszystko jasne? I na miły Bóg - uważaj! Byk cię dopadnie,

byle mu się udało, a ochrona policyjna w drodze na dworzec tylko by cię zdradziła. Bierz taksówkę i nie pokazuj się. Przyślę ci z dołu inny kapelusz i płowy płaszcz. Rachunek w St Regis zapłacony. To wszystko. Masz pytania?

- Brzmi to wszystko nieźle - rzekł Bond. - Rozmawiałem z M i w razie kłopotów ugłaszczę Waszyngton. Też na siebie uważaj - dodał. - Zaraz po mnie ty znajdujesz się na jego liście. Do jutra. Do zobaczenia.

- Będę uważał - rzekł Leiter. - Bywaj.

Zrobiło się wpół do siódmej. Bond odsunął zasłony w salonie i patrzył, jak świt spływa na miasto. Jeszcze mrok zalegał w jaskiniach u dołu, ale czubki wielkich betonowych stalagmitów już zaróżowiły się i słońce rozjarzało okna, piętro za piętrem, jak gdyby w budynkach trudziła się ich zapalaniem armia coraz to niżej schodzących dozorców.

Zjawił się lekarz policyjny, spędził z nim wypełniony bólem kwadrans i poszedł.

- Czyste złamanie - stwierdził. - Za kilka dni się zrośnie. Jak to się stało?

- Przyciąłem sobie drzwiami - rzekł Bond.

- Powinien pan trzymać się z daleka od drzwi - skomentował to lekarz. - Są niebezpieczne. Powinny być prawnie zabronione. Całe szczęście, że nie przyciął pan sobie szyi.

Kiedy wyszedł, Bond skończył się pakować. Zastanawiał się, czy prędko będzie mógł zamówić śniadanie, gdy zadzwonił telefon.

Spodziewał się szorstkiego głosu policjanta albo agenta FBI. Tymczasem usłyszał głos dziewczyny, cichy i natarczywy, pytający o pana Bonda.

- Kto mówi? - zapytał Bond, aby zyskać na czasie. Znał już odpowiedź.

- Wiem, że to ty - odparła i Bond poczuł, że usta mówiącej są przytknięte do słuchawki. - Tu Solitaire. - Imię zabrzmiało w telefonie cicho jak tchnienie.

Bond zaczekał, wszystkie zmysły skupiając na scenie, jaka mogła się rozgrywać po tamtej stronie. Czy jest aby sama? Czy mówi z domowego telefonu z dodatkowymi słuchawkami, do których przyłączyli teraz inni słuchacze? Czy jest w pokoju tylko z Bykiem wpatrującym się w nią bacznie z ołówkiem i blokiem pod ręką, aby mógł podyktować jej następne pytanie?

- Słuchaj - powiedziała - nie ma czasu. Musisz mi uwierzyć. Jestem w drugistorze, ale muszę natychmiast wracać do swego pokoju. Uwierz mi. Proszę.

Bond wyjął tymczasem chustkę i zasłonił słuchawkę.

- Jeżeli spotkam pana Bonda, co mu powiedzieć?

- A niech cię diabli - przemówiła dziewczyna i słychać było, że wpada w histerię. - Przysięgam na moją matkę, na moje nienarodzone dzieci, że muszę się stąd wydostać. I ty również. Musisz mnie z sobą zabrać. Pomogę ci. Znam dużo jego tajemnic. Tylko się pośpiesz. Ryzykuję życie, kiedy z tobą rozmawiam. - Zaszlochala w panice i desperacji. - Na Boga, zaufaj mi. Musisz. Musisz!

Bond ciągle milczał. Jego umysł wściekle pracował.

- Słuchaj - odezwała się znów, ale tym razem głucho, niemalże beznadziejnie. - Jeśli mnie nie zabierzesz, zabiję się. Zrobisz to? Czy chcesz mnie zamordować?

Jeśli gra, pomyślał, to aż za dobrze. Mimo wszystko ryzyko było niewybaczalne, ale Bond się zdecydował. Przemówił cicho prosto w słuchawkę.

- Jeśli to jest podwójna gra, Solitaire, znajdę cię i zabiję, choćby to miała być ostatnia rzecz w moim życiu. Masz ołówek i papier?

- Poczekaj - szepnęła w podnieceniu. - Tak, tak.

Gdyby udawała, zastanowił się Bond, miałyby je przygotowane.

- Bądź na Pennsylvania Station punktualnie o dziesiątej dwadzieścia. Srebrny Fantom do - zawahał się - do Waszyngtonu. Wagon dwieście czterdziesty piąty. Przedział H. Powiedz, że jesteś pani Bryce. Gdyby mnie tam jeszcze nie było, konduktor ma bilet. Idź prosto do przedziału i czekaj na mnie. Jasne?

- Tak - odpowiedziała - dziękuję ci, dziękuję.

- Żeby cię nikt nie widział - przypomniał Bond. - Załóż woalę czy coś w tym rodzaju.

- Oczywiście. Obiecuję. Naprawdę. Muszę już iść. - Rozłączyła się.

Bond popatrzył na głuchą słuchawkę i odłożył ją na widełki.

- No, to już jest koniec.

Wstał i przeciągnął się. Podszedł do okna i wyjrzał. W głowie miał mętlik. Potem wzruszył ramionami i znów podszedł do telefonu. Spojrzał na zegarek. Siódma trzydzieści.

- Tu obsługa. Dzień dobry - odezwał się aksamitny głos.

- Poproszę śniadanie - polecił Bond. - Podwójny sok ananasowy. Płatki kukurydziane ze śmietanką. Jajka na bekonie. Podwójna kawa z ekspresu. Tost i dżem.

- Służę panu - rzekła dziewczyna. Powtórzyła jego zamówienie.
- Natychmiast.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Bond uśmiechnął się sam do siebie.

- Skazaniec zjadł z apetytem solidne śniadanie - mruknął zamyślony. Usiadł przy oknie i zapatrzył się w przezroczyste niebo... w przyszłość.

Szept rozmawiał z miastem, znów przekazując rysopis Bonda wszystkim na oku:

- Szyskie stacje kolejowe, szyskie lotniska. Oba wyjścia z San Regis, na Piątą i na Pięsiątą Piątą. Mister Big przykazał, że z wyłotowemi szosami trza zaryzykować. - I znowu: - Szyskie stacje kolejowe, szyskie lotniska...

X Srebrny Fantom

Nie zauważono Bonda, kiedy w nowym płaszczu przeciwdeszczowym, z podniesionym aż na uszy kołnierzem, wychodził z drugstore'u St Regis na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, który miał wewnętrzne połączenie z hotelem.

Poczekał w wejściu i wyskoczył do przejeżdżającej taksówki, kciukiem uszkodzonej ręki przytrzymał jej drzwi, aby wrzucić najpierw lekką walizkę. Taksówka prawie nie musiała się zatrzymać. Murzyn z puszką zbierający na kolorowych weteranów wojny z Koreą oraz jego kolega, grzebiący pod maską unieruchomionego samochodu nie przerwali swych zajęć, aż za jakiś czas odwołał ich facet, który przejeżdżając, zatrąbił dwa razy krótko i raz długo.

Natychmiast jednak zauważono Bonda, kiedy wysiadał z taksówki na podjeździe Pennsylvania Station. Przechadzający się Murzyn z wiklinowym koszykiem prędko wszedł do budki telefonicznej. Była dziesiąta piętnaście.

Do odjazdu pozostało tylko piętnaście minut, jednakże na chwilę przedtem, nim pociąg ruszył, w wagonie restauracyjnym jeden z kelnerów nagle się rozchorował i trzeba go było zastąpić innym, który otrzymał przez telefon pełne i wyczerpujące instrukcje. Szef kłął, że coś mu to brzydko pachnie, ale wystarczyło, że zmiennik szepnął mu parę słów, aby szef, błysnąwszy wytrzeszczonymi oczami, umilkł i tylko skrycie dotknął paciorka na szczęście, który nosił zawieszony na szyi na sznurku.

Bond szybko przeszedł wielką halę dworcową ze szklanym dachem, minął bramkę czternastą i ruszył do pociągu.

Pociąg stał spokojnie, czterysta metrów srebrzystych wagonów, w półmroku podziemnej stacji. Gdzieś z przodu pracowały pomocnicze generatory bliźniaczych diesli, każdy o mocy czterech tysięcy koni mechanicznych. Pod gołymi żarówkami poziome purpurowe i

złote pasy, barwy kolei Seaboard Railroad, jarzyły się po królewsku na opływowych lokomotywach. Maszynista i palacz, którzy poprowadzą ten wielki pociąg przez pierwsze trzysta kilometrów na południe, siedzieli rozparci w nieskazitelnej aluminiowej kabinie, prawie cztery metry powyżej torowiska, patrząc na amperomierz i manometr, gotowi do odjazdu.

Cisza zaległa w wielkiej betonowej jaskini pod miastem i każdy odgłos odbijał się echem.

Pasażerów było niewiele. Przybędzie ich więcej w Newark, Filadelfii, Baltimore i Waszyngtonie. Bond przeszedł sto metrów po pustym peronie, zanim odnalazł wagon 245 w tylnej części składu. U drzwi stał konduktor Pullmana, w okularach, z czarną twarzą znużoną, ale przyjazną. Pod oknami wagonu, szerokimi literami w brązie i złocie, biegł napis RICHMOND FREDERICKSBURG & POTOMAC, a pod nim: BELLESYLVANIA, nazwa tego wagonu. Cieniutka smużka pary unosiła się ze złącza centralnego ogrzewania przy drzwiach.

- Przedział H - rzekł Bond.

- Tak jest, proszę pana. Pan Bryce? Pani Bryce dopiero co wsiadła. Korytarzem i w głębi wagonu.

Bond wsiadł i ruszył oliwkowym korytarzem. Gruba wykładzina dywanowa. Zwykła w amerykańskich pociągach woń dymu ze starych cygar. Wywieszka: *Czy nie trzeba ci drugiej poduszki? Po dodatkowe wygody proszę dzwonić do Samuela D. Baldwina z obsługi wagonu.*

Do przedziału H przeszedł więcej niż pół wagonu. W przedziale E siedziało nobliwie wyglądające amerykańskie małżeństwo, poza tym wszędzie pusto. Drzwi przedziału H były zamknięte. Pociągnął, ale się nie otworzyły.

- Kto tam? - spytał zaleźniony głos dziewczyny.

- To ja - powiedział Bond.

Drzwi się otwarły. Bond wszedł, położył walizkę i z powrotem zablokował drzwi.

Dziewczyna miała na sobie szyty na miarę czarny kostium, wo-

alka o dużych oczkach zwisała z runda czarnego słomkowego kapelusika. Jedną dłoń w rękawiczce unosiła pod szyję. Przez woalkę Bond widział pobladałą twarz i oczy rozszerzone ze strachu. Wyglądała nadzwyczaj pięknie.

- Dzięki Bogu - wyrwało jej się.

Bond szybko rozejrzał się po przedziale. Otworzył drzwi garderoby i zajrzał. Pusto.

Na peronie zawołano: „Wsiadać!”. Szczęknięty podnoszone przez konduktora żelazne stopnie i zatrzasnięte drzwi. Pociąg z wolna potoczył się naprzód. Ostrzegawczy dzwon bił monotonicznie przy mijaniu automatycznego sygnalizatora. Koła lekko zaturkotały na jakimś przejeździe i pociąg zaczął przyśpieszać. Na dobre czy na złe, w każdym razie już byli w drodze.

- Gdzie wolisz siedzieć? - zapytał Bond.

- Wszystko mi jedno - odrzekła lekko. - Sam wybierz.

Bond wzruszył ramionami i usiadł tyłem do kierunku jazdy, choć wolał twarzą do lokomotywy.

Zdenerwowana dziewczyna zajęła miejsce naprzeciwko. Milczeli przez całą długość tunelu, którym pociągi do Filadelfii wydostają się z miasta.

Zdjęła kapelusz i odpięła woalkę. Położyła je obok siebie. Wyjęła kilka szpilek do włosów i potrząsnęła głową, aby ciężkie, czarne włosy opadły do przodu. Miała sine cienie pod oczyma i Bond pomyślał, że ona też z pewnością nie spała tej nocy..

Dzielił ich stolik. Solitaire nagle sięgnęła i przyciągnęła do siebie jego dłoń. Trzymając oburącz, nachyliła się i pocałowała ją. Bond zmarszczył się i chciał wyrwać rękę, ale przez chwilę utrzymała ją w zaciśniętych dłoniach.

Podniosła wzrok i spojrzała mu otwarcie w oczy.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Dziękuję, że mi zaufałeś. To nie było dla ciebie łatwe. - Puściła jego dłoń i odchyliła się na oparcie.

- Cieszę się z tego - rzekł Bond, usiłując się w myśli uporać z tajemnicą tej kobiety. Sięgnął do kieszeni po papierosy i zapalnicz-

kę. Była to świeża paczka chesterfieldów. Prawą dłonią starał się rozerwać na niej celofan.

Wyciągnęła rękę i odebrała mu paczkę. Rozcięła ją paznokciem dużego palca, wyjęła papierosa, zapaliła i wręczyła mu. Bond przyjął go i roześmiał się, smakując pozostały na nim cień szminki z jej ust.

- Wypalam jakieś trzy paczki dziennie - powiedział. - Czekaj cię nie lada robota.

- Ograniczę się do pomocy przy otwieraniu świeżych paczek - odparła. - Nie obawiaj się, że będę cię niańczyć przez całą drogę aż do St Petersburga.

Bond zmrużył oczy i zgasł w nich uśmiech.

- Chyba nie sądziłeś, że uwierzę w podróż nie dalszą niż do Waszyngtonu - powiedziała. - Trochę wolno mówiłeś dziś rano przez telefon. Zresztą Byk z góry był przekonany, że pojedziesz na Florydę. Słyszałam, jak uprzedzał swoich ludzi stamtąd. Odbył międzymiastową rozmowę z kimś noszącym przezwisko Zbój. Może powinniśmy wysiąść z tego pociągu wcześniej, w Tarpon Springs albo na jednej z małych stacji wzdłuż wybrzeża. Czy widzieli, jak wsiadałeś?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Z oczu Bonda znikło napięcie. - A ty? Nie miałaś kłopotu z wydostaniem się?

- To mój dzień lekcji śpiewu. On chce ze mnie zrobić prawdziwą piosenkarkę. Żebym występowała w The Boneyard. Jeden z jego ludzi odstawił mnie jak zwykle na lekcję i miał po mnie przyjechać w południe. Nie zdziwiło go, że lekcja się zaczyna tak wcześnie. Często jem śniadanie z nauczycielką, żeby nie jeść z Bykiem, który każe mi towarzyszyć przy wszystkich posiłkach. - Spojrzała na zegarek wart majątek. Brylanty i platyna, pomyślał cynicznie Bond.

- Moją nieobecność zauważą mniej więcej za godzinę. Poczekałam, aż samochód odjedzie, a potem od razu wyszłam i zadzwoniłam do ciebie. Pojechałam taksówką do centrum. W drugistorze kupiłam szczoteczkę do zębów i parę innych rzeczy. Poza tym mam tylko biżuterię i to, co zawsze chowałam przed nim na czarną godzinę.

Jakieś pięć tysięcy dolarów. Nie będę dla ciebie ciężarem finansowym. - Uśmiechnęła się. - Byłam pewna, że któregoś dnia będę miała szansę. - Pokazała ręką w stronę okna. - Dafeś mi nowe życie. Prawie rok spędziłam zamknięta z nim i jego czarnymi zbójami. Tu jest mi jak w niebie.

Pociąg jechał przez jałowe, zaniedbane równiny i bagna między Nowym Jorkiem a Trenton. Nie był to ładny widok. Przypominał Bondowi niektóre odcinki przedwojennej Kolei Transsyberyjskiej, jeśli nie liczyć olbrzymich, samotnych billboardów reklamujących aktualne przedstawienia na Broadwayu i pojawiających się od czasu do czasu hańd żelaznego złomu lub starych samochodów.

- Może znajdę ci coś lepszego. - Uśmiechnął się. - Tylko nie dziękuj mi. Jesteśmy kwita. Tej nocy uratowałaś mi życie. To znaczy - tu spojrzął na nią dziwnie - jeśli rzeczywiście masz to drugie widzenie.

- Tak - odrzekła. - Coś w tym rodzaju. Często widzę to, co ma się zdarzyć, zwłaszcza z innymi ludźmi. Oczywiście koloryzuję przy tym i kiedy żyłam z tego na Haiti, bez trudu robiłam z tego niezły numer kabaretowy. Oni tkwią po uszy w wudu i różnych zabobonach, więc nie wątpili, że jestem czarownicą. Ale słowo daję, że jak tylko cię zobaczyłam w tym pokoju, od razu wiedziałam, że zesłano cię, abyś mnie ocalił. I jeszcze - tu zarumieniła się - różne inne rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Och, bo ja wiem. - Przewróciła oczami. - Różne. A zresztą zobaczymy. Ale będzie to trudne - dodała poważnie - i niebezpieczne. Dla nas obojga. Czy będziesz na nas uważał? - spytała po chwili.

- Postaram się - rzekł Bond. - Przede wszystkim musimy się trochę przespać. Zamówimy po drinku, kanapki z kurczakiem i kaweemy sobie rozestać łóżka. Nie masz się co krępować - dodał, widząc, że odwróciła wzrok. - Tkwimy w tym oboje. Następną dobę spędzimy we wspólnej sypialni, więc nadmierna wstydlivość i tak na nic. Poza tym jesteś panią Bryce - pokazał zęby w uśmiechu - i

musisz zachowywać się jak ona. Przynajmniej do pewnych granic.

Roześmiała się. Po oczach było widać, że nad czymś myśli. Zamiast odpowiedzi nacisnęła dzwonek pod oknem.

Konduktor i mężczyzna z obsługi zjawili się równocześnie. Bond zamówił cygara Old Fashioned, bourbona Old Grand Dad, kanapki z kurczakiem i kawę Sanka bez kofeiny, żeby im nie zakłócała snu.

- Muszę pobrać od pana za dodatkowy bilet, panie Bryce - oznajmił konduktor.

- Naturalnie - rzekł Bond. Solitaire wykonała ruch w stronę torebki. - Nie trudź się, kochanie - powiedział Bond, wyciągając portfel. - Zapomniałaś, że przed wyjściem z domu oddałaś mi pieniądze pod opiekę.

- Będzie pani chyba sporo potrzebować na letnie sukienki - zauważył konduktor. - Ceny sklepowe w St Pete są dosyć wysokie. A upał tam nieludzki. Państwo byli już na Florydzie?

- Zawsze jeździmy o tej porze roku - rzekł Bond.

- To życzę przyjemnego pobytu - odparł konduktor.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Solitaire aż roześmiała się z zachwytu.

- Nie wprawisz mnie w zakłopotanie - powiedziała. - Uważaj, bo wymyślę coś potwornego. Na początek udam się tam. - Wskazała na drzwi za głową Bonda. - Muszę okropnie wyglądać.

- Nie krępuj się, kochanie. - Bond zaśmiał się, kiedy zniknęła.

Odwrócił się do okna i patrzył, jak migają miłe domki oszalowane drewnem, kiedy się zbliżali do Trenton. Uwielbiał jazdę pociągami i z góry cieszył się na resztę podróży.

Pociąg zwalniał. Mijali bocznicę pełne pustych wagonów towarowych, noszących nazwy z całych Stanów Zjednoczonych: Lackawanna, Chesapeake & Ohio, Lehigh Valley, Seaboard Fruit Express i jakby z piosenki: Acheson, Topeka and Santa Fe - nazwy zawierające cały romantyzm kolei amerykańskich.

Jak to się ma do British Railways? - pomyślał Bond. Westchnął i skierował myśli z powrotem ku czekającej ich przystanku.

Na dobre czy na złe, postanowił zaakceptować Solitaire, albo, raczej na swój zimny sposób, jak najlepiej ją wykorzystać. Na wiele pytań musi uzyskać odpowiedź, ale teraz nie pora je zadawać. Na razie jedno było najważniejsze: Bykowi zadano kolejny bolesny cios... ugodzono w jego próżność.

A jeśli chodzi o dziewczynę, pomyślał, że miło będzie, gdy tak się trochę wzajemnie podrażnią, i cieszył się, że już się trochę spoufalili.

Czy to prawda, co mówił Byk, że nie chciała mieć do czynienia z mężczyznami? Wątpił w to. Chyba nie miała nic przeciwko miłości i pożądaniu. Przynajmniej wiedział, że ma u niej szansę. Zapragnął, by już wróciła i usiadła naprzeciw, żeby mógł na nią patrzeć, igrać z nią i z wolna ją odkrywać. Solitaire. To ładne imię. Nic dziwnego, że tak ochrzcili ją w tych podrzędnych klubach nocnych w Port-au-Prince. Nawet i w tej obecnie docierającej doń zapowiedzi ciepła było wiele dystansu i tajemniczości. Wyczuwał jakieś samotne dzieciństwo na wielkiej, upadającej plantacji, odbijający echo wielki dom coraz to bardziej zaniedbany i znikający wśród bujnej tropikalnej roślinności. Śmierć rodziców i sprzedaż majątku. Życie w towarzystwie jednej czy dwóch służących w mieszkaniu wynajętym w stolicy. Uroda jako jedyny majątek i opieranie się podejrzanym ofertom zatrudnienia w roli „guwernantki”, „panny do towarzystwa”, „sekretarki”, za którymi bez wyjątku kryłaby się tolerowana forma prostytutki. Pierwsze niewiadome, niepewne kroki w świecie rozrywki. Wieczorne *engagement* w klubie nocnym z tajemniczym występem, który w narodzie opanowanym przez magię musiał od niej wielu odstraszać i stworzyć wokół niej barierę lęku. I wreszcie któregoś wieczoru olbrzym o szarej twarzy zasiadł przy osobnym stoliku. Obiecał, że zapewni jej wejście na Broadway. Dał szansę

nowego życia, ucieczki z tego świata upału, brudu i samotności.

Bond odwrócił się od okna. Może i romantyczny obraz. Lecz musiało to być coś w tym rodzaju.

Usłyszał, jak otwiera się zamek w drzwiach. Dziewczyna wróciła i usiadła naprzeciw. Wyglądała świeżo i wesoło. Przyjrzała mu się uważnie.

- Zastanawiałeś się nade mną - powiedziała. - Czułam to. Nic się nie martw. Nie kryje się tu nic szczególnie złego. Któregoś dnia ci o tym opowiem, jak przyjdzie na to czas. Na razie chciałabym zapomnieć o przeszłości. W rzeczywistości nazywam się Simone Latrelle, ale nazywaj mnie, jak ci się podoba. Mam dwadzieścia pięć lat. A w tej chwili jestem szczęśliwa. Podoba mi się ten malutki pokoik. Tylko jestem głodna i śpiąca. Które łóżko ci bardziej odpowiada?

Bond uśmiechnął się na to pytanie. Zastanowił się.

- Nie jest to zbyt uprzejme - odparł - ale chyba powinienem spać na dole. Wolę mieć bliżej do podłogi... na wszelki wypadek. Nie żeby się było czego bać - dodał, widząc, że się zasępiła - ale Byk przypuszczalnie ma długie ręce, zwłaszcza w murzyńskim świecie. I na pewno ma swoich ludzi na kolei. Odpowiada ci to?

- Oczywiście - odrzekła. - Sama to chciałam zaproponować. A ze swoją chorą ręką i tak nie mógłbyś się wdrapywać na górę.

Przyniesiono jedzenie. Dostarczył je zaaferowany murzyński kelner z wagonu restauracyjnego. Jakby zależało mu na tym, żeby pobrać opłatę i wrócić do swoich zajęć.

Gdy skończyli jeść i Bond zadzwonił na obsługującego, ten również był jakby roztargniony i starał się nie patrzeć na Bondę. Stanie łóżek szło mu strasznie powoli. Udawał, że nie ma jak się ruszać w tej ciasnocie.

Wreszcie jakby zebrał się na odwagę.

- Może pani Bryce by zechciała usiąść w tem przedziale obok, zaczem ja tu obrządę - rzekł, patrząc nad głową Bonda. - Ten drugi przedział będzie wolny aż do St Pete. - Wyjął klucz i nie czekając na odpowiedź Bonda, otworzył drzwi między przedziałami.

Posłuszna gestowi Bonda Solitaire wyszła. Usłyszał, jak zablokowała tam wyjście na korytarz. Murzyn zatrzasnął drzwi między przedziałami.

Bond chwilę odczekał. Przypomniatł sobie nazwisko Murzyna.

- Coś cię gryzie, Baldwin? - zapytał.

Tamten z ulgą odwrócił się i spojrział mu w oczy.

- Jeszcze jak, panie Bryce. Ta jest. - Kiedy się przełamał, słowa już popłynęły jak wezbrany potok. - Nie powinien żem gadać, panie Bryce, ale tym razem w pociągu jest masa kłopotu. Pan ma wroga w tem pociągu, panie Bryce. Ta jest. Słyszałem takie rzeczy, co zupełnie mi się nie podobały. Dużo nie powiem, bo dopiero też miałbym kłopot. Ale uważajta dobrze, co robicie. Ta jest. Jeden taki zagiął na was palec, panie Bryce, a to jest taki facet, że nie daj Boże. Masz pan tutaj. - Wyjął z kieszeni dwa drewniane kliny do okien. - Pan je wbije pode drzwi - doradził. - Nic więcej nie mogę zrobić. Gardło by mię poderznęli. Ale nie lubię, jak się ktoś w moim wagonie przywala do gości. Co to, to nie.

Bond przyjął od niego kliny.

- Ale co takiego...

- Więcej nie mogę pomóc, przepraszam - rzekł Murzyn stanowczo, z dłońią na drzwiach. - Jak pan zadrynda na mnie dziś wieczór, przyniesę państwu obiad. Nikogo innego proszę do tego przedziału nie wpuszcząć.

Jego dłoń wysunęła się po banknot dwudziestodolarowy. Zmiał go i wsadził w kieszeń.

- Zrobię, co się da, psze pana - powiedział. - Ale muszę uważać, bo mię dopadną. I to jak! - Wyszedł i czym prędzej domknął za sobą drzwi.

Bond chwilę pomyślał, po czym otworzył drzwi przejściowe. Solitaire czytała książkę.

- Ze wszystkim już się uporał - rzekł Bond. - Ale się guzdrał. W dodatku próbował mi opowiedzieć całe swoje życie. Zejdę ci z drogi, aż się wdrapiesz do swego gniazdko. Jak będziesz gotowa, zawołaj.

Usiadł w sąsiednim przedziale na zwolnionym przez nią miejscu i przyglądał się, jak posępne przedmieścia Filadelfii pokazują swe wrzody, niby żebracy, bogatym pociągom.

Po co ją straszyć, póki to niepotrzebne? Jednak nowe zagrożenie pojawiło się szybciej, niż się spodziewał, a gdyby zbir czuwający w pociągu odkrył jej tożsamość, znalazłaby się w równie wielkim niebezpieczeństwie jak Bond.

Zawołała i wszedł.

Przedział pogrążony był w mroku, paliła się tylko lampka przy jego głowie.

- Śpij dobrze - powiedziała.

Bond z trudem zdjął marynarkę. Po cichu wbił kliny mocno pod jedno i drugie drzwi. Następnie ułożył się ostrożnie na prawym boku, na wygodnym łóżku, i wcale nie myśląc o przyszłości, zapadł w głęboki sen, ukołysany przez dudniący galop pociągu.

W opustoszałym już wagonie restauracyjnym, kilka wagonów dalej, murzyński kelner jeszcze raz odczytał to, co napisał na blankiecie telegraficznym, i usiadł, czekając na dziesięciominutowy postój w Filadelfii.

XI Allumeuse

Jasnym popołudniem luksusowy pociąg dalej pędził ku swemu przeznaczeniu. Zostawili za sobą Pensylwanię i Maryland. Na długim postoju w Waszyngtonie dolatywało do Bonda przez sen miarowe pobrzękiwanie ostrzegawczych dzwonek manewrujących lokomotyw i ciche komunikaty podawane przez dworcowe głośniki. A potem Wirginia. Tu powietrze było już łagodniejsze i zmierzch, zaledwie o pięć godzin od świetlistego, mroźnego tchnienia Nowego Jorku, już niemalże pachniał wiosną.

Tu i ówdzie gromadka Murzynów wracająca z pola do domu słuchała odległego hurgotu zbliżającego się po wzdychających w ciszy srebrnych szynach i któryś z nich wyjmował zegarek, spoglądał nań i oznajmiał: - Fantom nadjeżdża. Szósta. Moja stara cebula chodzi jak po sznurku. - Wiadomo - potwierdzał inny Murzyn, gdy potężne dudnienie diesli przybliżało się i smuga oświetlonych wagonów przelatywała dalej ku Karolinie Północnej.

Zbudziło ich około siódmej ostrzegawcze pobrzękiwanie dzwonek na przejeździe kolejowym, kiedy ogromny pociąg odnajdywał już drogę z pól na przedmieścia Raleigh. Bond wyciągnął kliny spod drzwi, a potem zapalił światła i zadzwonił na obsługę.

Zamówił wytrawne martini. A kiedy przyniesiono im dwie małutkie, tak zwane małpki, buteleczki ze szklankami i lodem, wyglądały tak niepozornie, że zamówił od razu cztery następne.

Podyskutowali nad jądłospisem. Ryba figurowała w nim jako Przyrządzona z Kruchych jak Płatek Filetów bez Ości, a drób jako Smakowite Porcje z Przysmażonymi na Złoty Brąz Frytkami.

- Lipa - oświadczył Bond i zamówili w końcu jajecznicę na

bekonie i kielbaski, sałatkę oraz miejscowy ser Camembert, będący jedną z najmilszych niespodzianek w amerykańskim menu.

Była dziewiąta, kiedy Baldwin przyszedł uprzątnąć ze stołu. Spytał, czy nic więcej nie trzeba.

Bond zastanowił się.

- O której będziemy w Jacksonville? - zapytał.
- Około piątej rano, sir.
- Czy na tym peronie jest metro?
- Ta jest, pszepana. Ten wagon zatrzymuje się tuż obok.
- Czy mógłbyś bardzo szybko otworzyć drzwi i opuścić stopnie?

Murzyn uśmiechnął się.

- Ta jest, pszepana. Już ja bym się o to zatroszczył.

Bond wsunął mu dziesięć dolarów.

- To na wszelki wypadek, jakbyśmy się nie spotkali w St Petersburgu.

Murzyn wyszczerzył zęby.

- Szanowny pan bardzo łaskaw. Dobranoc szanownemu panu.

Dobranoc szanownej pani.

Wyszedł i zamknął drzwi.

Bond wstał i mocno zaklinował jedne i drugie drzwi.

- Aha - odezwała się Solitaire. - Więc to tak.
- Tak - odpowiedział Bond. - Niestety. - Powtórzył jej ostrzeżenie od Baldwina.

- Wcale mnie to nie dziwi - rzekła, kiedy skończył. - Musieli cię wypatrzeć na dworcu. On ma cały tłum wywiadowców, tak zwanych oczu, i kiedy ich uruchomi, przemkniecie się niezauważonym jest prawie niemożliwe. Ciekawe, kogo ma tu w pociągu. Możesz być pewien, że to Murzyn: albo z obsługi pullmana, albo któryś w

wagonie restauracyjnym. On potrafi sprawić, że ci ludzie zrobią dla niego absolutnie wszystko.

- Na to wygląda - rzekł Bond. - Ale jak to działa? Co on ma na nich?

Spojrzała przez okno w tunel mroku, w którym oświetlony pociąg wypalał sobie z grzmotem ścieżkę. Potem popatrzyła znów ponad stolikiem w chłodne, czujnie otwarte, szarobłękitne oczy angielskiego agenta. Jak to wytłumaczyć komuś duchowo tak pewnemu sobie, z taką dawką zdrowego rozsądku, wychowanemu w dobrobycie wśród ciepłych domów i oświetlonych ulic? Jak wytłumaczyć takiemu, co nie żył w bliskości serca tropików, na łasce ich gniewu i trucizny; nie zaznał tajemnicy bębnow, nie widział szybkiego działania magii ani śmiertelnej trwogi, do której pobudza? Cóż on może wiedzieć o katalepsji, o przekazywaniu myśli, o szóstym zmysle u ryb, u ptactwa, u Murzynów; o śmiertelnej wymowie pióra z białej kury, skrzyżowanych patyków na drodze, skórzanego woreczka ziół i kostek? A coż o mializmie, o pozbawianiu cienia, o śmierci przez opuchnięcie albo przez wychudzenie?

Dreszcz ją przebiegł i ożyły mroczne wspomnienia. Przypomniała sobie zwłaszcza ten pierwszy raz w Houmfor, dokąd zabrała ją w dzieciństwie czarna piastunka. „To ci nie zaszkodzi, panienko. To je mocne i dobre dzudzu. Ono cię będzie wspierać i pomagać przez resztę życia”. Pamiętała odrażającego starca i budzący wstręt napój, którym ją uraczył. Jak piastunka otworzyła jej usta przemocą i zmusiła ją do wypicia ostatniej kropli, i jak potem nie mogła zasnąć i krzyczała noc w noc przez tydzień. Jak się gryzła tym jej piastunka; i nagle zaczęła znów dobrze sypiać, aż po tygodniach, układając się na poduszce, wyczuła w niej coś twardego i wygrzebała z powłoczki mały, brudny pakiecik czegoś obrzydliwego. Wyrzuciła go przez

okno, ale rano już go nie znalazła. Sypiała w dalszym ciągu wybor-
nie i wiedziała, że piastunka musiała to świństwo znaleźć i ukryć
gdzieś pod deskami podłogi.

Po latach dowiedziała się, czym jest napój wudu: miksturą z ru-
mu, prochu strzelniczego, błota z grobu i ludzkiej krwi. Omal nie
zwymiotowała, znowu czując jego smak w ustach.

Co ten człowiek może wiedzieć o takich rzeczach lub o tym, jak
ona w nie na wpół uwierzyła?

Podniosła oczy i ujrzała wbity w nią ironiczny wzrok Bonda.

- Myślisz, że nie zrozumie - rzekł. - I do pewnego stopnia
masz rację. Ale wiem, co może z ludźmi uczynić strach, i wiem, że
strach można wywołać na wiele sposobów. Czytałem sporo książek
o wudu i nie wątpię, że ono działa. Nie sądzę, żeby podziało na
mnie, bo ciemności przestałem się bać jako dziecko i nie jestem
podatny na sugestię ani na hipnozę. Ale terminologię znam i bądź
pewna, że śmiać się nie będę. Badacze i lekarze, którzy pisali te
książki, nie znajdują w tym nic śmiesznego.

Solitaire uśmiechnęła się.

- Dobrze - odparła. - Wystarczy więc, jeśli ci powiem, że oni są
przekonani, że Byk to zombi Barona Samedi. Zombi już same przez
się są wystarczająco złe. To ożywione trupy, które zmuszono do
powstania z martwych i wykonywania rozkazów tego, kto nimi wła-
da. Baron Samedi to najstraszniejszy duch w całym kulcie wudu. Jest
duchem ciemności i śmierci. Tym samym pomysłem, że Baron Samedi
władą własnym zombi, jest przeokropny. Widziałeś, jak wygląda
Byk. Szary olbrzym o wielkiej mocy psychicznej. Nietrudno które-
mukolwiek Murzynowi uwierzyć, że to zombi, w dodatku jeszcze
wyjątkowo zły. Stąd już tylko krok do Barona Samedi. Byk sam do
tego zachęca, trzymając pod ręką wizerunek Barona. Widziałeś ten
fetysz w jego pokoju.

Umilkła. Po chwili podjęła z pośpiechem, niemal bez tchu.

- I mogę cię zapewnić, że to skutkuje i w zasadzie nie znajdziesz Murzyna, który by go widział i słyszał tę opowieść, a nie wierzył, i który nie podchodziłby do niego z pełną i absolutną trwogą. I słusznie - dodała. - Sam byś to przyznał, gdybyś wiedział, jak on załatwia tych, którzy go ślepo nie posłuchali, w jaki sposób ich torturuje i zabija.

- A co ma do tego Moskwa? - zapytał Bond. - Czy to prawda, że jest agentem Smierszu?

- Nie wiem, co to Smiersz, ale wiem, że pracuje dla Rosjan, a przynajmniej słyszałam, jak czasem rozmawiał po rosyjsku ze swoimi gośćmi. Zdarzało się, że kazał mi siedzieć w pokoju i później pytał, co sędzę o tych ludziach. Na ogół wydawało mi się, że nie kłamią, choć nie rozumiałam, co mówią. Ale pamiętaj, że znałam go tylko przez rok i że to człowiek niewiarygodnie skryty. Jeżeli jest na usługach Moskwy, to mają w nim jednego z najpotężniejszych ludzi w Ameryce. Potrafi dowiedzieć się niemal wszystkiego, a jak nie dostanie, czego chce, ktoś to przypłaca śmiercią.

- Dlaczego ktoś go nie zabije? - spytał Bond.

- Jego się nie da zabić - odrzekła. - Przecież on już nie żyje. To zombi.

- Aaa, rozumiem! - rzekł z wolna Bond. - Bardzo to efektywnie urządzone. Ty byś nie spróbowała?

Spojrzała przez okno i znów na niego.

- Chyba w ostateczności - przyznała niechętnie. - Ale pamiętaj, że ja pochodzę z Haiti. Rozum podpowiada mi, że mogłabym go zabić, ale - jej dłonie poruszyły się bezradnie - instynkt mówi, że to niemożliwe.

Uśmiechnęła się do niego potulnie.

- Na pewno uważasz mnie za beznadziejnie głupią.

Bond zastanowił się.

- Już nie, odkąd przeczytałem te wszystkie książki - przyznał. Sięgnął przez stół i dłonią przykrył jej dłoń. - Kiedy już przyjdzie na to czas - rzekł, uśmiechając się - wytnę krzyż na kuli. Niegdyś to skutkowało.

Spojrzała nań w zamyśleniu.

- Myślę, że jeśli ktokolwiek potrafi go zabić, to ty. Ubiegłej nocy porządnie mu odpłaciłeś za to, co ci zrobił. - Ujęła jego dłoń oburącz i ścisnęła. - Teraz powiedz mi, co mam zrobić.

- Posłać łóżko - rzekł Bond. Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta. - Przydałoby się przespać. W Jacksonville wymkniemy się z pociągu i jak się uda, może nas nie zauważą. Znajdziemy inną drogę na wybrzeże.

Oboje się podnieśli. Stali twarzami do siebie w kołyszącym się pociągu.

Nagle Bond sięgnął i objął ją prawym ramieniem. Jej ramiona otoczyły mu szyję i pocałowała go namiętnie. Przycisnął ją do rozkołysanej ściany i tak trzymał. Ujęła jego twarz w dłonie i odsunęła ją, dysząc. Oczy jej błyszczały i płonęły. Potem znów przycisnęła swoje wargi do jego i całowała go długo, lubieżnie, jak gdyby to ona była mężczyzną, a on kobietą.

Bond przeklinał swoją okaleczoną dłoń, przeszkadzającą mu w odkrywaniu jej ciała. Oswobodził prawą dłoń i wsunął między ich ciała, dotykając jej twardych piersi ze sterczącymi już sutkami. Potem przeciągnął dłonią po jej plecach aż do podstawy kręgosłupa i tam zatrzymał, mocno je do siebie przyciskając, póki się nie nasycili pocałunkiem.

Zdjąwszy mu z szyi ramiona, odsunęła go.

- Spodziewałam się, że któregoś dnia będę tak całować mężczyznę - rzekła. - Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, wiedziałam, że ty nim będziesz.

Stała z opuszczonymi ramionami, gotowa na jego przyjęcie.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział Bond. - Całujesz tak cudownie, jak żadna dziewczyna mnie nie całowała. - Spojrzał na zbandażowaną lewą dłoń. - Przeklęta ręka. Nie mogę cię nawet porządnie trzymać ani pieścić. Za bardzo boli. Jeszcze i za to Byk mi zapłaci.

Roześmiała się.

Wyjęła chusteczkę z torebki i wytarła mu szminkę z ust. Potem odgarnęła mu włosy z czoła i znów go pocałowała, lekko i czule.

- Tym lepiej - powiedziała. - Mamy za dużo innych spraw na głowie.

Szarpnięcie pociągu znów rzuciło go na nią.

Oparł się dłonią o jej lewą pierś i ucałował piękną szyję. Potem ucałował jej usta.

Poczuł, jak łomotanie krwi łagodnieje. Wziął ją za rękę i wyciągnął na środek małego, zataczającego się pokoiku.

Uśmiechnął się.

- Może masz rację - zgodził się. - Kiedy przyjdzie już na to czas, chcę być z tobą sam i żeby nic nas nie ponaglało. A tu co najmniej jeden człowiek w nocy prawdopodobnie by nam przeszkadzał. Poza tym musimy wstać o czwartej rano. Po prostu nie ma czasu na to, byśmy się teraz kochali. Szykuj się do snu, a ja tam się wdrapię i pocałuję cię na dobranoc.

Jeszcze raz się pocałowali, a potem się odsunął.

- Sprawdzę tylko, czy nie mamy obok towarzystwa - powiedział.

Po cichu wyciągnął klin spod drzwi przejściowych i leciutko przekręcił zamek. Wyjął spod pachy beretę, kciukiem odsunął bezpiecznik i gestem kazał jej otworzyć szybko drzwi, tak żeby mogła się za nimi ukryć. Na jego znak szarpnięciem rozwarła je na oścież. Pusty przedział rozdziawił się na nich szyderczo.

Bond uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Zawołaj mnie, kiedy będziesz gotowa - powiedział, wchodząc tam, i zamknął za sobą drzwi.

Drugie drzwi na korytarz były zablokowane. Przedział taki sam jak ich. Bond sprawdził go drobiazgowo, szukając słabych punktów. Wylot klimatyzacji znajdował się na suficie i Bond, biorąc pod uwagę każdą możliwość, wykluczył wprowadzenie gazu w jej system, bo zabiłby wszystkich w tym wagonie. Pozostały jedynie odpływy kanalizacji w malutkiej garderobie, ale chociaż można by tamtędy niewątpliwie wprowadzić jakieś zabójcze substancje, byłyby do tego potrzebny desperat i świetny akrobata. Wywietrznika na korytarz nie było.

Bond wzruszył ramionami. Jeśli się ktoś pojawi, to wejdzie przez drzwi. Po prostu musi czuwać.

Solitaire zawołała go. Zapach Vent Vert firmy Balmain unosił się w przedziale. Wsparta na łokciu patrzyła na niego przez krawędź górnego łóżka.

Podciągnęła sobie pościel aż na ramiona. Domyślał się, że pod spodem jest naga. Czarne włosy opadały jak mroczny wodospad. Twarz dziewczyny kryła się w cieniu, jedynie z tyłu podświetlona lampką do czytania. Bond wspiął się po aluminiowej drabince i nachylił do Solitaire. Wyciągnęła ręce i nagle przykrycie zsunęło jej się z ramion.

- A niech cię - rzekł Bond. - Ty...

Położyła mu dłoń na ustach.

- *Allumeuse* - powiedziała - tak się to ładnie nazywa. Bawi mnie, że mogę drażnić się z takim silnym i milczącym mężczyzną. Palisz się takim gniewnym płomieniem. To jedyna gra, jaką z tobą prowadzę, ale długo nie zdołam. Czy wiele dni upłynie, zanim ci się ta dłoń zagoi?

Bond ugryzł ją w dłoń, którą położyła mu na ustach. Wydała cichy okrzyk.

- Niewiele - rzekł Bond. - I pewnego dnia, bawiąc się w te gierki, nagle znajdziesz się przybita jak motyl.

Objęła go i pocałowali się długo, namiętnie. Wreszcie opadła na poduszki.

- Pośpiesz się i wyzdrowiej - powiedziała. - Mnie już zmęczyła ta gra.

Bond zszedł na podłogę i zaciągnął u niej zasłonkę.

- Spróbuj się trochę przespać - poradził. - Jutro czeka nas długi dzień.

Wymamrotała coś i usłyszał, jak się przewraca. Zgasiła przy swym łóżku światło.

Bond sprawdził kliny pod drzwiami. Potem zdjął marynarkę i krawat i położył się na dolnym łóżku. Zgasił swoją lampkę i leżał, myśląc o *Solitaire*, zasłuchany w równomierny galop kół pod głową i w drobne swojskie odgłosy przedziału, w te łagodne turkoty i poskrzypywania, i szmery wnętrza, co tak szybko usypiają w nocy podróżujących w pociągu.

Była jedenasta i pociąg pokonywał teraz długi odcinek od Dystryktu Kolumbii do Savannah w Georgii. Około sześciu godzin zostało do Jacksonville, jeszcze sześć godzin ciemności, w którym to czasie mister Big niemal na pewno polecił swojemu zbirowi coś przedsięwziąć, podczas gdy cały pociąg śpi i krążącemu po korytarzach nikt nie wejdzie w drogę.

Wielki pociąg wił się w mroku, pokonując kilometr za kilometrem. Sunął przez puste równiny i ubogie wioski Georgii, Brzaskwiniowego Stanu, poczwórny ton jego syreny rozbrzmiewał nad stepem, a długi snop światła z reflektora rozpruwał czarny perkal nocy.

Bond znów zapalił nad głową lampkę i trochę poczytał, ale natrętne myśli nie dawały mu spokoju, toteż niebawem poddał się i zgasił światło. Myślał o Solitaire, o przyszłości, o tym, co wkrótce czeka go w Jacksonville i St Petersburgu, o niedalekim spotkaniu z Leiterem.

Dużo później, około pierwszej, był już na krawędzi snu, gdy cichy, metaliczny odgłos przy samej głowie spowodował, że oprzytomniał i ujął pistolet.

Ktoś na korytarzu ostrożnie próbował otworzyć drzwi.

Bond zsunął się na podłogę i boso, po cichu, usunął klin spod drzwi do sąsiedniego przedziału. Tak samo po cichu odciągnął zasuwkę i otworzył drzwi. Przemknąwszy bezgłośnie, zaczął otwierać tamte drzwi na korytarz.

Zasuwa puściła z ogłuszającym szczęknięciem. Szarpnął drzwi na oścież i wypadł na korytarz, aby ujrzeć już tylko uciekającą postać z przodu wagonu.

Gdyby miał sprawne dwie ręce, mógłby go zastrzelić, niestety przy otwieraniu drzwi musiał wetknąć pistolet za pasek spodni. Wiedział, że pościg mija się z celem. Nie brakuje po drodze pustych przedziałów, do których ten człowiek może uskoczyć i cichutko zamknąć za sobą drzwi. Bond wszystko to już sobie ułożył w głowie. Wiedział, że jedyna jego szansa to zaskoczenie i albo odda szybki strzał, albo tamten się podda.

Zawrócił parę kroków do przedziału H. Spod drzwi wystawał trójkącik papieru.

Wrócił przez sąsiedni do ich przedziału, blokując za sobą drzwi.

Po cichu zapalił lampkę do czytania. Solitaire się nie zbudziła. Reszta papieru, pojedynczy arkusz, leżała na dywanie u drzwi na korytarz. Podniósł go i usiadł na brzegu łóżka.

Był to arkusz z taniego, liniowanego bloku. Pokrywały go nieregularne linijki pisma, duże litery z grubsza nabazgrano czerwonym atramentem. Bond dotykał tej kartki ostrożnie, choć z niewielką nadzieją, że da się wykryć na niej odciski palców. Nie z takimi ma do czynienia.

*Czarownico! [prze czytał] nie zabijaj mnie
Oszczędź mnie. To ciało jest jego.*

*Boski do bosz zapowiedział że
Gdy wstanie o świcie
Zagra na swych bębnach rano dla CIEBIE
Skoro świt. Skoro świt. Skoro świt. Skoro świt.
Czarownico ludzkie dzieci mordująca nim dorosną
Czarownico ludzkie dzieci mordująca nim dorosną
Boski do bosz zapowiedział że
Gdy wstanie o świcie
Zagra na swych bębnach rano dla CIEBIE
Skoro świt. Skoro świt. Skoro świt. Skoro świt.
Błagamy CIEBIE
TY nas zrozumiesz.*

Bond wyciągnął się na swym łóżku i zamyślił.
Potem złożył papier i schował go do portfela.
Leżał na wznak i wpatrywał się w pustkę, czekając na świt.

XII Everglades

Około piątej rano wymknęli się z pociągu w Jacksonville.

Było jeszcze ciemno i pusty peron wielkiej stacji węzłowej był skąpo oświetlony. Zaledwie parę metrów dzieliło wagon 245 od zejścia do metra i w uśpionym pociągu nie było widać znaku życia, gdy oboje ruszyli pospiesznie schodami. Bond kazał Baldwinowi pozostawić drzwi ich przedziału zamknięte, kiedy wysiądą, i zasłony zaciągnięte, była więc niemała szansa, że ich nieobecność zostanie wykryta dopiero w St Petersburgu.

Z przejścia wyszli do sali z kasami. Bond sprawdził, że najbliższy ekspres do St Petersburga to Srebrny Meteor, bliźniak Fantoma, przychodzący około dziewiątej, i zarezerwował w nim dwa miejsca. Następnie wziął Solitaire pod rękę i wyszli z dworca na ciepłą i ciemną ulicę.

Wybrali z kilku pobliskich barów nocnych taki, gdzie neon na drzwiach najjaśniej zachwalał DOBRE JADŁO. Pchnąwszy je, ujrzeli zwykłą, tandetną machinę do żywienia typu wagonowego: dwie znużone kelnerki za cynkowanym kontuarem pełnym papierosów, cukierków, książek w miękkich okładkach i komiksów. Duży ekspres do kawy i rząd palników gazowych na butan. Drzwi z napisem TOALETA ukrywały swe okropne sekrety obok drzwi z napisem WSTĘP WZBRONIONY, będących zapewne tylnym wyjściem. Gromadka mężczyzn w kombinezonach przy jednym z poplamionych stolików z kompletami przypraw spojrzała na nich przelotnie, kiedy weszli, i wróciła do przyciszonej rozmowy. Zmiennicy od diesli, domyślił się Bond.

Na prawo od wejścia znajdowały się cztery wąskie boksy. Bond i

Solitaire wsunęli się do jednego z nich. Zapatrzyli się posępnie na brudny jadłospis.

Po jakimś czasie przyczłapała jedna z kelnerek i stanęła wsparta o przepierzenie, lustrując strój Solitaire.

- Sok pomarańczowy, kawa, jajecznica, dwa razy - zamówił zwięźle Bond.

- Dobra - bąknęła dziewczyna. Pantofle jej letargicznie zaszurały po podłodze, kiedy się powlekła z powrotem.

- Jajecznica będzie upichcona z mlekiem - rzekł Bond. - Jajka na miękko w Ameryce są niejadalne. Tak obrzydliwie wyglądają zrobione po tutejszemu, bez skorupki, rozbełtane w filiżance. Bóg raczy wiedzieć, gdzie oni to podpatrzyli. Może w Niemczech. A zła kawa amerykańska jest najgorsza na świecie, gorsza nawet niż w Anglii. Sok pomarańczowy chyba trudno zepsuć. Bądź co bądź jesteśmy na Florydzie. - Nagle przygnębiła go myśl o czterech godzinach czekania w tym brudnym, obskurnym pomieszczeniu.

- Każdy w Ameryce teraz ugania się za łatwymi pieniędzmi - skomentowała Solitaire. - To zawsze bije w klienta. Im chodzi wyłącznie o to, żeby jak najszybciej zedrzeć z ciebie dolara i won. Jak będziesz na wybrzeżu, to dopiero zobaczysz. O tej porze roku Floryda jest największą w świecie pułapką na frajerów. Na Wschodnim Wybrzeżu łupi się milionerów. A tu, gdzie my jedziemy, skubie się szarego człowieka. I dobrze mu tak. On przybywa tam, żeby umrzeć. Przecież nie zabierze tej forszy do grobu.

- Na litość boską, gdzie my jedziemy? - spytał Bond.

- W St Petersburgu wszyscy są prawie martwi - wyjaśniła mu Solitaire. - To jest Wielki Amerykański Cmentarz. Kiedy urzędnik bankowy albo pracownik poczty, albo konduktor dobiegnie sześćdziesiątki, zgarnia swoją rentę czy emeryturę i udaje się do St

Petersburga, żeby przed śmiercią zażyć jeszcze kilku lat słońca. Nazywają go Miastem Słonecznym. Pogoda jest taka piękna, że miejscową popołudniówkę „Independent” rozdaje się za darmo każdego dnia, kiedy w momencie jej ukazania się nie świeciło słońce. Zdarza się to co najwyżej trzy, cztery razy do roku, ale co za reklama! Wszyscy kładą się spać około dziewiątej wieczór, a w dzień staruszkowie masowo grają w shuffleboard i w brydża. Jest parę drużyn bejsbolowych, takich jak Szczeniaki i Szczyle, wszyscy zawodnicy mają powyżej siedemdziesięciu pięciu lat. Grają także w bowling na trawnikach tymi krzywo toczącymi się kulami, ale poważnie wysiadują stłoczeni w całe stada na szeregach ławek, tak zwanych Sidewalk Davenport, powyżej i poniżej chodników przy głównych ulicach. Po prostu siedzą sobie na słończku, plotkują i drzemią. To przerażający widok, te tłumy starców w okularach, aparatach słuchowych i klekocących sztucznymi zębami.

- Brzmi to dosyć ponuro - rzekł Bond. - Dlaczego Byk, u diabła, wybrał sobie to miejsce jako bazę wypadową?

- Dla niego idealne - odparła poważnie Solitaire. - Nie istnieje tam w praktyce żadna działalność przestępcza oprócz szachrowania przy brydżu i kanaście. Dlatego prawie nie ma policji. Z wyjątkiem dużego posterunku Straży Wybrzeża, ale ta zajmuje się głównie przemytem pomiędzy Tampa i Kubą oraz połowem gąbek w okresie ochronnym w Tarpon Springs. Właściwie nie mam pojęcia, co on tam robi, tylko że ma ważnego agenta o przydomku Zbój. Może coś związanego z Kubą? - Zamyśliła się. - Pewnie łączy się to z komunizmem. Zdaje mi się, że Kuba podlega Harlemowi i ma czerwonych agentów na całych Karaibach. - W każdym razie - kontynuowała - St Petersburg to chyba najbardziej niewinne miasto w całej Ameryce. Wszystko tam jest takie „miłe” i „swojskie”. Co prawda istnieje

zakład zwany Restorium: szpital dla alkoholików. Ale sądzę, że dla bardzo starych - zaśmiała się - i chyba niemogących już nikogo skrzywdzić. Spodoba ci się. - Uśmiechnęła się przewrotnie do Bonda. - Podejrzewam, że zechcesz się tam osiedlić na resztę życia i też zostać seniorem. To jest tam podstawowe określenie... „senior”.

- Boże uchwaj! - wykrzyknął żarliwie Bond. - Wygląda mi to na jakieś Bournemouth albo Torquay. Tylko że milion razy gorsze. Mam nadzieję, że nie wdamy się w strzelaninę z tym Zbójem i jego chłopakami. Pewnie zapędzilibyśmy na cmentarz paruset seniorów z atakiem serca. Czy tam nie ma nikogo młodszego?

- Ależ są - zaśmiała się Solitaire - i to mnóstwo. Na przykład wszyscy ci miejscowi, którzy doją seniorów. Choćby ci od moteli i parkingów dla przyczep. Możesz tam zrobić majątek na turniejach bingo. Ja będę twoją naganiaczką: stanę na zewnątrz i będę ściągała frajerów. Kochany panie Bond - sięgnęła po jego dłoń i uścisnęła ją - czy zechciałby pan osiedlić się ze mną i godziwie postarzyć w St Petersburgu?

Bond odchylił się na oparcie i przyjrzał się jej bardzo krytycznie.

- Najpierw chciałbym z tobą niegodziwie spędzić dłuższy czas. - Uśmiechnął się. - Chyba w tym jestem lepszy. Natomiast odpowiada mi chodzenie do łóżka o dziewiątej.

Obrzuciła go wesołym spojrzeniem. Cofnęła dłoń, kiedy przyniesiono śniadanie.

- Dobrze - zgodziła się. - Ty pójdziesz do łóżka o dziewiątej, a ja wymknę się tylnymi drzwiami i pójde hulać ze Szczylami i Szczeniakami.

Śniadanie okazało się tak złe, jak przepowiedział. Zapłacił i wrócili do poczekalni dworcowej.

Słońce wzeszło i światło zakłębiło się w pustej, sklepionej sali snopami rozjarzonego kurzu. Usiedli w kącie i aż do przybycia Srebrnego Meteoru Bond wypytywał ją o Byka i o wszystko, co by mogła wiedzieć o jego przedsięwzięciach.

Niekiedy zapisywał jakąś datę lub nazwisko, w sumie jednak niewiele mogła dodać do tego, co już wiedział. Zajmowała w Harlemie własny apartament w tym samym kwartale co Byk i tam przez ubiegły rok trzymano ją właściwie jak więźnia. Miała „do towarzysstwa” dwie atletyczne Murzynki i wychodzić mogła jedynie pod strażą.

Od czasu do czasu Byk polecał ją sprowadzić do pokoju, w którym poznał go Bond. Tam kazano jej wyczuwać, czy jakiś mężczyzna lub kobieta, zwykle przywiązani do fotela, kłamie czy mówi prawdę. Odpowiedzi swe modyfikowała według tego, czy wyczuła w delikwencie dobro, czy zło. Uświadamiała sobie, że jej werdykt może nieraz być równoznaczny z wyrokiem śmierci, lecz obojętny był jej los tych, których uznała za złych. Biali zdarzali się wśród nich bardzo rzadko.

Bond notował daty i szczegóły tych przesłuchań.

Wszystko, co mu opowiedziała, składało się na obraz Byka jako człowieka bardzo potężnego i aktywnego, okrutnego i nieznającego litości, który dysponuje olbrzymią siatką operacyjną.

O złotych monetach wiedziała tylko tyle, że kilka razy kazano jej przepytować kogoś, ile sztuk puścił w obieg i jaką cenę za nie dostał. Bardzo często, dodała, w obu tych sprawach kłamali.

Bond pilnował się, aby jak najmniej ujawniać z tego, co sam wie albo się domyśla. Coraz większa serdeczność, jaką odczuwał dla Solitaire, i pragnienie jej ciała mieściły się jakby w osobnej przegródce, niekontaktującej się z obszarem jego profesjonalnego

życia jako agenta.

Srebrny Meteor przyjechał zgodnie z rozkładem i oboje z ulgą ruszyli dalej, pozostawiając za sobą posępny świat wielkiej stacji węzłowej.

Ekspres popędził dalej w głąb Florydy, przez puszcze i bagna, nietknięte i zakłete w nawisach oplątwy, przez kilometrami ciągnące się gaje cytrusowe.

Przez cały środek stanu te zwisające z drzew ogromne epifity przydawały krajobrazowi martwego, widmowego charakteru. Nawet miasteczka, przez które przejeżdżali, miały coś z wyglądu szarych szkieletów z domami o pokryciu z deszczulek wysuszonych, wysuszonych przez słońce. Tylko te gaje cytrusowe, ciężkie od owoców, wyglądały zielono i żywo. Wszystko inne sprawiało wrażenie wyschniętego z gorąca.

Patrząc na ponure, milczące, przywiedłe lasy, Bond pomyślał, że nie może w nich żyć nic oprócz nietoperzy i skorpionów, czarnych wdów i frynosom rogatych.

Zjedli lancz i nagle okazało się, że pociąg pędzi wzdłuż Zatoki Meksykańskiej, przez bagna mangrowe i gaje palmowe, obok szeregu moteli i kempingów dla wozów mieszkalnych, i Bond odetchnął zapachem innej Florydy, tej Florydy z reklam, kraju Miss Kwiatu Pomarańczowego roku 1954.

Z pociągu wysiedli w Clearwater, na ostatniej stacji przed St Petersburgiem. Bond wziął taksówkę i podał odległy o pół godziny jazdy adres na Wyspie Skarbów. Była druga i słońce przypiekało z bezchmurnego nieba. Solitaire uparła się, że zdejmie kapelusz i wólkę.

- Przylepia mi się do twarzy! - powiedziała. - Żywa dusza mnie tutaj nie widziała.

Zwalisty Murzyn z twarzą dziobatą od dawno przebytej ospy

ugrzązł, jadąc taksówką, w tym samym co oni czasie i miejscu na skrzyżowaniu Park Street i Central Avenue, gdzie ta ostatnia w dalszym odcinku przechodzi w długi przejazd po nasypie ciągnącym się przez płytką zatokę Boca Ciega.

Na widok profilu Solitaire Murzyn otworzył usta ze zdziwienia. Zjechał do krawężnika i wpadł do drugstore'u. Wykręcił numer telefoniczny w St Petersburgu.

- Tu Ospowaty - rzekł nagłaco do słuchawki. - Daj mi Zbója, ino raz dwa. Zbój, to ty? Suchaj no, Big musi być w mieście. Co znaczy dopiero z niem gadałeś w Niu Jorku? Tylko co żem widział jego brzanę w taksie z Clearwater od Stassena. Jechali na groblę. Pewnie że na pewno. A jak. To cudo bym pomylił? Co ty. Z nią facet w niebieskim garniturze. Szary stetson. Jakby z blizną na twarzy. Co znaczy mam śledzić? Tylko zdziwiło mnie, że Big je w mieście, a ty mi nie powiesz. Może lepiej sprawdzę i się przekonam. Dobra, dobra. Złapię te gablotę, jak będzie wracać po grobli, a nie, to w Clearwater. No dobra, dobra. Nie podniecaj się. Nic złego ci nie zrobiłem.

Człowiek nazwany Zbójem za pięć minut połączył się z Nowym Jorkiem. O przybyciu Bonda go uprzedzono, ale nie pojmował, co ma do tego Solitaire. Po rozmowie z Bykiem nadal nie wiedział, lecz instrukcje dostał bardzo dokładne.

Rozłączył się i przez chwilę siedział, bębniąc palcami o biurko. Robota za dziesięć tysięcy. Jeszcze dwóch ludzi. To dla niego zostanie osiem. Oblizał się i zadzwonił do sali bilardowej pewnego baru w śródmieściu Tamy.

Bond odprawił taksówkę przy Everglades, gdzie białe-żółte schludnie odeskowane domki skupiły się po trzech stronach kwadratowego placu, porośniętego trawą bermudzka i zbiegającego

pięćdziesiąt metrów do białej jak kość plaży i dalej do morza. Stąd ciągnęła się już w dal cała Zatoka Meksykańska, gładka jak lustro, aż tam gdzie rozedrgane powietrze na horyzoncie przechodziło w bezchmurne niebo.

Po Londynie, Nowym Jorku, Jacksonville zmiana była wręcz oszałamiająca.

Bond wszedł przez drzwi oznaczone BIURO z Solitaire depcząca mu potulnie po piętach. Trącił dzwonek z napisem KIEROWNICZKA: MRS STUYVESANT i zjawiła się kobieta podobna do zeschniętej krewetki z włosami ufarbowanymi na niebiesko i uśmiechem na wargach.

- Tak?

- Pan Leiter?

- Ach tak, pan Bryce! Domek numer jeden. Przy samej plaży. Pan Leiter oczekuje pana od południa. I...? - Jej *pince-nez* błysnęło jak heliograf ku Solitaire.

- Pani Bryce - rzekł Bond.

- Ach tak - odparła pani Stuyvesant, nie chcąc w to uwierzyć. - Proszę się wpisać do rejestru. Nie wątpię, że pan i małżonka zechcecie się odświeżyć po podróży. Proszę o dokładny adres. Dziękuję.

Wprowadziła ich na dwór i powiodła wycementowaną ścieżką aż do ostatniego domku na lewo. Zapukała i ukazał się Leiter. Bond spodziewał się serdecznego powitania, jednakże Leiter był wyraźnie wstrząśnięty jego widokiem. Szczęka mu opadła. Jego słomiane włosy, wciąż jeszcze trochę czarne u nasady, wyglądały jak siera siana.

- Chyba jeszcze nie znasz mojej żony - powiedział Bond.

- Tak, owszem, to znaczy nie. Jak się masz?

Sytuacja go zupełnie przerosła. Zapomniawszy o Solitaire, mało nie wciągnął Bonda do środka. Ledwie w ostatniej chwili

przypomniał sobie o dziewczynie i ją też chwycił drugą ręką i wciągnął, drzwi zatrzasnął obcasem, tak iż uprzejma odzywka pani Stuyvesant:

- Życzę państwu przyjemnego... - ucięta została przed: - ...pobytu.

Już wewnątrz domku Leiter ciągle nie mógł się połapać, o co chodzi. Stał i gapił się na nich na przemian.

Bond postawił walizkę na podłodze w małym przedpokoju. Było tam dwoje drzwi. Pchnął te z prawej i przytrzymał otwarte przed Solitaire. Znaleźli się w małym saloniku biegnącym przez całą szerokość domku. Został przyjemnie umeblowany fotelami plażowymi z bambusa o poduszkach z gumy piankowej, pokrytych czerwonym i zielonym perkałem hibiskusowym. Podłogę pokrywały maty z liści palmowych. Na każdej ze ścian w błękicie kaczego jaja wisiała pośrodku barwna reprodukcja kwiatów tropikalnych w ramce z bambusa. Wystrój dopełniał wielki bambusowy stół w kształcie bębna o szklanym blacie, mający trzy nogi. Na nim stała waza z kwiatami i biały telefon. Szerokie okna wychodziły na morze, a na prawo od nich drzwi wiodły na plażę. Białe plastikowe żaluzje podciągnięto do połowy okien, aby przysłonić blask odbity od piasku.

Bond i Solitaire usiedli. Bond zapalił papierosa i rzucił paczkę razem z zapalniczką na stół.

Zadzwoił telefon. Leiter ocknął się z transu i oderwał od drzwi. Podeszedł i podniósł słuchawkę.

- To ja - powiedział. - Z porucznikiem. To pan, poruczniku? Właśnie przyjechał. W tej chwili. Nie, zdrów i cały. - Posłuchał przez moment i zwrócił się do Bonda. - Gdzie wysiadłeś z Fantoma? - spytał. Bond mu powiedział. - Jacksonville - rzekł Leiter do słuchawki. - Tak, powiem. Jasne. Dowiem się wszystkich szczegółów i oddzwonię. Odwoła pan wydział zabójstw? Będę ogromnie wdzięczny. Jak

również Nowy Jork. Bardzo dziękuję, poruczniku. Orlando dziewięć tysięcy. W porządku. I jeszcze raz dzięki. Cześć. - Odłożył słuchawkę. Otarł sobie pot z czoła i usiadł naprzeciw Bonda.

Nagle spojrzął na Solitaire i uśmiechnął się przepaszająco.

- Pani jest chyba Solitaire - powiedział. - Proszę mi darować niegościnne przyjęcie. To był dzień jakich mało. Już po raz drugi w ciągu doby spodziewałem się, że nie ujrzę tego faceta. - Zwrócił się znów do Bonda. - Można? - zapytał.

- Tak - odparł Bond. - Solitaire jest teraz po naszej stronie.

- To wspaniale - rzekł Leiter. - Oczywiście nie czytałeś gazet i nie słuchałeś radia, więc najpierw same nagłówki.

Srebrny Fantom zatrzymany tuż za Jacksonville. Pomiędzy Waldo i Ocala. Twój przedział rozniesiony w strzępy z broni maszynowej i wysadzony w powietrze. Zginął jeden z obsługi pullmana, stał na korytarzu. Innych ofiar nie było. Potworny rejdach. Kto to zrobił? Kim byli pan Bryce i pani Bryce? Gdzie znikli? Oczywiście byliśmy pewni, że cię porwano. Sprawą zajmuje się policja z Orlando. Wytropili, że bilet kupiono w Nowym Jorku. I że załatwiło to FBI. Wszystko spada na moją głowę. Po czym ty wchodzisz z piękną dziewczyną pod rękę i cały w skowronkach.

Leiter wybuchnął śmiechem.

- Chłopie, żebyś tak przed chwilą posłuchał Waszyngtonu! Można by pomyśleć, że to ja wysadziłem ten cholerny pociąg.

Wziął papierosa z paczki Bonda i zapalił.

- Tak wygląda - rzekł - streszczenie. Cały skrypt przekażę ci, kiedy usłyszę, co masz do powiedzenia. Kolej na ciebie.

Bond opisał mu szczegółowo, co zaszło, odkąd zadzwonił do niego z St Regis. Mówiąc o nocy w pociągu, wyjął z portfela kartkę i podsunął mu ją po stole.

Leiter aż gwizdnął.

- Wudu - stwierdził. - To zapewne miało być znalezione na zwłokach. Mord rytualny popełniony przez kumpli tych, których zabiłeś w Harleemie. Tak to miało wyglądać. Odwrócić natychmiast podejrzenia od Byka. U nich każdy szczegół jest przemyślany, to fakt. Postaramy się dopaść tego zbira z pociągu. Pewnie jakiś pomocnik w restauracyjnym. To niewątpliwie on dobierał się do waszego przedziału. Ale dokończ. Później powiem ci, jak on to zrobił.

- Proszę mi to pokazać - odezwała się Solitaire. Sięgnęła przez stół i wzięła kartkę.

- Tak - rzekła ściszym głosem - to jest *ouanga*, fetysz wudu. Inwokacja do Czarownicy Bębna. Posługuje się nią w Afryce plemię Aszanti, kiedy chcą kogoś zabić. Czegось podobnego używa się na Haiti. - Zwróciła kartkę Bondowi. - Miałam szczęście, że nie powiedziałeś mi o tym. Do tej pory bym histeryzowała.

- Też mi się to nie podobało - odparł Bond. - Czułem, że to coś niedobrego. Całe szczęście, że wysiedliśmy w Jacksonville. Biedny Baldwin. Wiele mu zawdzięczamy.

Dokończył opowieść o dalszym ciągu podróży.

- Czy ktoś was zauważył, gdy wysiadaliście z pociągu? - zapytał Leiter.

- Nie sądzę. Ale trzymajmy lepiej Solitaire w ukryciu, zanim uda się ją stąd wydostać. Pomyślałem, że powinniśmy ją wyprawić jutro samolotem na Jamajkę. Załatwię, żeby jej tam pilnowali do naszego przybycia.

- Owszem - zgodził się Leiter. - Wsadzimy ją w samolot czarterowy w Tampie. Jutro przed południem zawiozłoby się ją do Miami. Stamtąd mogłaby wziąć któryś lot popołudniowy, KLM albo Panam. Przed kolacją byłaby na miejscu. Bo dziś już nie da się nic zrobić. Za późno.

- Czy odpowiada ci to, Solitaire? - spytał ją Bond.

Dziewczyna wpatrywała się w okno. Oczy jej miały ten nieobecny wyraz, który Bond już widział.

Nagle zadygotała.

Jej spojrzenie powróciło do Bonda. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego rękawa.

- Tak - odrzekła. Zawahała się. - Tak, chyba tak.

XXIII Jak umarł pelikan

Solitaire wstała.

- Pójdę się doprowadzić do porządku - oznajmiła. - Wy na pewno macie mnóstwo do omówienia.

- Oczywiście. - Leiter zerwał się. - Ależ ze mnie dureń! Musisz być śmiertelnie zmęczona. Po prostu zajmij pokój Jamesa, a on może przenocować ze mną.

Solitaire wyszła za nim do przedpokoiku i Bond usłyszał, jak Leiter wyjaśnia jej układ mieszkania.

Niebawem Leiter wrócił z butelką Haig & Haig i lodem.

- Zapominam o dobrym wychowaniu - powiedział. - Obu nam przyda się po drinku. Obok łazienki jest mała spiżarka, którą zaopatrzyłem we wszystko, co może nam być potrzebne.

Przyniósł wody sodowej i obaj wzięli po dużym łyku.

- A teraz szczegóły - odezwał się Bond, odchylając się wygodnie na oparcie. - Musiała to być koronkowa robota.

- I była - potwierdził Leiter - jeżeli pominąć za mało trupów.

Oparł nogi na stole i zapalił papierosa.

- Fantom odjechał z Jacksonville około piątej - rozpoczął. - Do Waldo przybył około szóstej. Zaraz po wyjeździe z Waldo (tu już zdany jestem na domysły) ten od Byka przechodzi do twojego wagonu, dostaje się do przedziału sąsiadującego z twoim i zawiesza ręcznik między zaciągniętą zasłoną a oknem, co znaczy - a po drodze musiał dużo telefonować z kolejnych stacji - on jest na prawo od tego ręcznika.

Między Waldo a Ocala tor biegnie przez dłuższy czas prosto - ciągnął Leiter - przez lasy i bagna. A równolegle do niego szosa stanowa. Jakies dwadzieścia minut za Waldo, bach!, ostrzegawczy ładunek dynamitu wybucha pod pierwszą lokomotywą. Maszynista zwalnia do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Bach! i jeszcze

raz: bach! Trzy razy z rzędu! Sygnał oznacza: zatrzymać się! Maszynista zatrzymuje pociąg i dziwi się: co u diabła? Tor biegnie prosto. Ostatni sygnał był zielony i zielony. Niczego nie widać. Mniej więcej kwadrans po szóstej i właśnie się rozjaśnia. Stoi sedan, widać rąbnięta bryka (Bond uniósł brew. - Znaczy ukradziony samochód - przetłumaczył Leiter) koloru szarego, prawdopodobnie buick, bez świateł, silnik na chodzie, i czeka obok na szosie, na wysokości środkowych wagonów. Wsiada z niego trzech mężczyzn. Kolorowi. Chyba Murzyni. Idą z wolna, w równym szeregu, po trawiastym poboczu między torowiskiem a szosą. Dwaj po bokach niosą rozpylacze... thompsony. Środkowy niesie coś w ręku. Po dwudziestu metrach zatrzymują się przy wagonie dwieście czterdzieści pięć. Faceci z rozpylaczami oddają dwie krótkie serie w twoje okno. Żeby ci tamtędy wrzucić granat. Środkowy wrzuca go i wszyscy trzej biegną z powrotem do wozu. Zapalnik ustawiony na dwie sekundy. Dopadają samochodu i BUM! Mielonka z przedziału H. Jak również mielonka, w założeniu, z pana i pani Bryce. W istocie zaś mielonka z twojego Baldwina, który wybiegł i przykucnął na korytarzu, gdy tylko zobaczył, że ci faceci podchodzą do jego wagonu. Nikt więcej nie ucierpiał, jeśli nie liczyć mnóstwa rozhisteryzowanych pasażerów w całym pociągu. Bryka odjeżdża z wielką szybkością i zapada się w otchłań, z której dotąd nie wyjrzała i już chyba nie wyjrzy. Zapada cisza pomieszana z wrzaskiem. Bieganina tam i z powrotem. Pociąg ostrożnie jedzie do Ocala. Porzuca tam wagon dwieście czterdzieści pięć. Po trzech godzinach wolno mu ruszać dalej. Scena druga. Leiter siedzi samotnie w domku, pocieszając się, że nie powiedział w życiu złego słowa do swego przyjaciela Jamesa i zastanawiając się, jak przyrządzonego pana Leitera pan Hoover skonsumentuje dziś na kolację. I na tym koniec, proszę państwa.

Bond się roześmiał.

- Co za organizacja! - rzekł z podziwem. - Założę się, że temu wszystkiemu towarzyszy piękne alibi. Co za facet! Naprawdę wygląda na to, że on rządzi tym krajem. Jak widać, demokracja daje

sobą pomiatać ile wlezie, mimo *habeas corpus*, Deklaracji Praw Człowieka i tak dalej. Chwała Bogu, że w Anglii nie mamy go na głowie. Nawet łomot drewnianymi pałami nie zostawiłby na nim śladu.

- No cóż - zakończył - to już trzeci raz mi się udało. Zaczyna się robić gorąco.

- Owszem. - Leiter się zadumał. - Zanim tu przyjechałeś, do policzenia błędów Byka starczyłby kciuk. Teraz już popełnił trzy z rzędu. Nie będzie tym zachwycony. Należałoby mu dołożyć, póki jest ogłuszony, i w nogi, ale to migiem! Wiesz, co mam na myśli? Nie ulega wątpliwości, że złoto właśnie tędy przecieka do Stanów. Raz po raz tropiliśmy *Secatur* i zawsze płynie prosto z Jamajki do St Petersburga, a tu zawija do tej wytwórni robaków i przynęty: *Rumbarbarus* czy jak tam ona się nazywa.

- Uroboros - poprawił Bond. - Mitologiczny wielki robak. Niezła nazwa dla wytwórni robaków i przynęty. - Nagle uderzyła go myśl. Walnął w szklany blat dłonią. - Felix! Przecież to oczywiste. Uroboros - czyli Robber - co znaczy Zbój. Rozumiesz? To musi być on! Tutejszy człowiek Byka.

Leiter się rozpromienił.

- Jezu Wszechmogący! - wykrzyknął. - Oczywiście! Ten Grek, niby właściciel firmy, ten w Tarpon Springs, co figuruje w raportach, które w Nowym Jorku pokazał nam ten cymbał Binswanger. Pewnie atrapa. Może nawet nie wie, co się za tym ukrywa. Musimy się dobrać do kierownika jego interesu. Zbój z Uroborosa. No tak! Oczywiście.

Leiter zerwał się z miejsca.

- Idziemy. Szkoda czasu. Obejrzymy sobie to miejsce. I tak miałem to zaproponować, skoro *Secatur* przybija zawsze do ich przystani. Nawiasem mówiąc, teraz jest na Kubie - dodał - w Hawanie. Wyłynęli stąd przed tygodniem. Przeszukano statek dokładnie, kiedy tu zawinął i kiedy wypływał. Oczywiście nic się nie udało znaleźć. Podejrzewano, że może mieć fałszywy kil. Omal go im nie

oderwano. Trzeba było *Secatur* naprawiać w doku, żeby w ogóle mógł popłynąć. I nic. Ani śladu czegoś podejrzanego. Nie mówiąc już o stosie złotych monet. Ale chodźmy powęszyć. Może uda się nam rzucić okiem na kochanego Zbója. Muszę tylko zadzwonić do Orlando i do Waszyngtonu. Przekazać im wszystko, co wiemy. Żeby jak najprędzej dopadli tego z pociągu. I tak chyba za późno. Idź, zobacz, co słychać u Solitaire. Zapowiedz jej, że ma się stąd w ogóle nie ruszać do naszego powrotu. Zamknij ją na klucz. W Tampie zabierzemy ją na kolację. Mają tam najlepszą restaurację na całym wybrzeżu, kubańską, Los Novedades. Po drodze zatrzymamy się na lotnisku i załatwimy jej lot na jutro.

Leiter sięgnął po telefon i zamówił międzymiastową.

Po dziesięciu minutach byli już w drodze.

Solitaire domagała się, żeby jej nie zostawiać. Chwyciła Bonda.

- Chcę stąd wyjechać - powiedziała z obawą. - Mam takie uczucie... - Nie dokończyła zdania.

Bond ją pocałował.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił. - Wrócimy mniej więcej za godzinę. Tutaj nic ci nie grozi. A potem nie odstąpię cię, aż znajdziesz się w samolocie. Możemy nawet przenocować w Tampie i wyprawić cię skoro świt.

- Tak, proszę! - odrzekła trwożnie Solitaire. - Zależy mi na tym. Boję się tu czegoś. Czuję niebezpieczeństwo. - Objęła go za szyję. - Nie uważaj mnie za histeryczkę. - Pocałowała go. - Teraz już możesz iść. Tylko musiałam cię zobaczyć. Wracaj jak najprędzej.

Leiter zawołał go i Bond zostawił ją za drzwiami. Zamknął je i przekręcił klucz.

Poszedł za Leiterem do jego samochodu na Parkway, czując się odrobinę nieswojo. Nie wyobrażał sobie, jak dziewczynie mogłoby się coś stać w tym zacisznym, bezpiecznym miejscu, albo że Byk mógłby ją w jakiś sposób wytropić w Everglades, będącym jednym ze stu podobnie urządzonych plażowisk na Wyspie Skarbów. Ale odczuwał respekt przed jej niezwykłą intuicją i ten atak nerwów u

Solitaire przyprawił go jednak o niepokój.

Myśli te odbiegły go na widok samochodu Leitera.

Bond lubił prowadzić szybkie wozy. Amerykańskie samochody przeważnie go nudziły. Brakowało im charakteru, którym wyróżniają się samochody europejskie. Są to zwykłe pojazdy, wszystkie podobne z kształtu i koloru, a nawet z dźwięku klaksonów. Przeznaczone do używania przez rok i następnie do wymiany z rabatem na model z kolejnego roku. Cała uciecha z prowadzenia ich znikła, gdy wprowadzono automatyczną skrzynię biegów, hydrauliczne wspomaganie kierownicy i miękkie zawieszenie. Europejczyk nie mógł już się cieszyć z bliskiego kontaktu z maszyną. Dla Bonda amerykańskie samochody były po prostu żukowatymi pojazdami na kablu, jak te w lunaparkach, którymi sunie się z jedną ręką na kierownicy, z radiem na cały regulator i z elektrycznie opuszczonymi szybami, na ogół zamkniętymi na głucho, żeby się nie narażać na przeciągi.

Jednakże Leiter wystarał się o starego corda, jeden z nielicznych amerykańskich samochodów z charakterem, i Bonda aż podniosło na duchu, kiedy wsiadł do tej nisko zawieszanej limuzyny, usłyszał solidnie wchodzące biegi i męski ton dobywający się z szerokiej rury wydechowej. Ma już z piętnaście lat, pomyślał, a to wciąż jeden z najnowocześniejszych prezentujących się wozów na świecie.

Wyjechali na szosę i ruszyli po nasypie biegnącym przez nawet niemarszczącą się wodę, która oddziela trzydzieści kilometrów wąskiej wyspy od szerokiego półwyspu zajętego przez St Petersburg i jego przedmieścia.

Już kiedy jechali niespiesznie po Central Avenue, zmierzając przez miasto ku basenowi jachtowemu i głównej przystani z wielkimi hotelami, Bond uchwycił coś z atmosfery czyniącej to miasto amerykańską siedzibą starych ludzi. Wszyscy spacerujący mieli białe włosy, białe lub niebieskawe, a słynne Sidewalk Davenport, które opisywała mu Solitaire, pełne były staruszków obsiadających je rzędami niczym szpaki na Trafalgar Square.

Bond zwrócił uwagę na ściągnięte z niechęcią usta kobiet, na ich

wypatrujące *pince-nez* z odbłyskami słońca; na żylaste, zapadłe klatki piersiowe i ramiona mężczyzn, wychylające się do słońca z kwiecistych koszul. Skąpe, mechate koczeki na głowach kobiet z prześwitującą, różową skórą czaszki. Kościste łysiny mężczyzn. I wszędzie to rozaplane kumplostwo, wymienianie nowin i plotek, to swojskie umawianie się na shuffleboard z rzucaniem krążków i na brydżyka, podawanie sobie z rąk do rąk listów od dzieci i wnucząt, utyskiwanie na ceny w sklepach i motelach.

Słyszało się to wszystko, nawet nie będąc wśród nich. Wystarczyło samo kiwanie i jazgot tych koków z sinego puchu, to klepanie się w plecy, odkastywanie i spluwanie łysych, małych staruszków.

- Chciałoby się wleźć prosto do grobu i zasunąć nad sobą wieko - skwitował Leiter wyrrywające się Bondowi okrzyki zgrozy. - Poczekaj, aż wysiadziemy i przejdziemy się. Kiedy zobaczą twój cień na chodniku, zachodzący ich od tyłu, uskakują ci z drogi, jak gdyby to Główny Księgowy szedł zajrzeć im przez ramię do ich rachunku. To upiorne. Przypomina mi się ten kasjer, co w południe wpadł znienacka do domu i zastał dyrektora swojego banku rypiącego mu żonę. Wraca i mówi do kolegów z działu rozliczeń: „Rany boskie, chłopaki, o mało mnie nie przyłapał!”.

Bond się roześmiał.

- Słysząc, jak wszystkie te pamiątkowe złote zegarki cykają im w kieszeniach - rzekł Leiter. - To miasto jest pełne zakładów pogrzebowych, a lombardy pełne złotych zegarków, pierścieni masonskich, kawałków gagatu i medalionów z kosmykami włosów. Skóra cierpnie, jak się o tym pomyśli. Poczekaj, aż wstąpisz do Ciotki Milly i tam zobaczysz całe ich stada, jak mamrocą nad swoim kołtlem z wołowej mielonki albo cheeseburgerami, usiłując dożyć do dziewięćdziesiątki. Dopiero się na śmierć przestraszysz. Ale nie wszyscy są tu starzy. Spójrz na to ogłoszenie! - Wskazał na ogromny billboard na pustym placu.

Była to reklama ubrań dla przyszłych matek. Bijący w oczy napis głosił: STUTZHEIMER & BLOCK. NOWOŚCI! *Nasz Dział dla*

Przewidujących na Teraz i na Potem! UBRANKA DLA PULPE-TÓW(od roczku do czterech) jak również DLA PATYKÓW (od czterech do ośmiu). Bond aż jęknął.

- Uciekajmy stąd - rzekł. - To już wykracza poza obowiązki służbowe.

Zjechali na nabrzeże i kierowali się w prawo, aż w końcu dotarli do bazy hydroplanów i posterunku Straży Wybrzeża. Tu na ulicach nie było już starców, toczyło się zwykłe życie portu: doki, magazyny, biuro maklerskie, łodzie przewrócone do góry stępką, rozwieszane do schnięcia sieci, krzyki mew, nieco smrodliwa woń dobiegająca od zatoki. Po rojąącym się cmentarzu miasta szyld nad garażem: DRIVE-UR-SELF. PAT GRADY. WESOŁY IRLANDCZYK. UŻYWANE SAMOCHODY radośnie przypominał o żywszym, pracowitym świecie.

- Lepiej wysiąść i dalej iść pieszo - powiedział Leiter. - Zbój rezyduje w sąsiednim domu.

Zostawili samochód koło przystani i poszli wolno wzdłuż składu drewna i kilku zbiorników oleju napędowego. Potem skręcili znów na lewo ku morzu.

Boczna uliczka zaprowadziła ich na małe, drewniane moło na obrosłych pąklami słupach, wrzynające się może na siedem metrów w głąb zatoki. Do jego otwartej bramy przylegał długi, niski magazyn z blachy falistej. Nad szerokimi, podwójnymi drzwiami wymalowano czarno na białym: UROBOROS SA. SPRZEDAŻ ROBAKÓW I ŻYWCA. KORALE, MUSZLE, RYBY TROPIKALNE. *Nie Prowadzimy Sprzedaży Detalicznej.* W jednym skrzydle podwójnych drzwi znajdowały się mniejsze drzwi z błyszczącym zamkiem yale. Na drzwiach widniała tabliczka: WSTĘP WZBRONIONY.

Wsparty o nie siedział na kuchennym krześle mężczyzna, tak odchylony, że ciężar jego spoczywał na oparciu i drzwiach. Czyścił

karabin wyglądający na remington 30. Drewniana wykałaczką sterowała mu z ust, a sfatygowaną czapkę bejsbolową zsunął do tyłu. Ubrany był w poplamiony biały podkoszulek, ukazujący kępki czarnych włosów pod pachami, wymiętoszone od sypania w nich spodnie z białego płótna i pantofle na gumowej podeszwie. Miał około czterdziestki, a twarz równie pobrużdżoną i sękatą, jak słupki cumownicze na molo. Była to twarz chuda jak ostrze siekiery, wargi też miał wąskie i bezkrwiste. Cera przypominała pokruszony tytoń, beżowa jakby z żółtawym odcieniem. Wygląd miał zimny i okrutny, jak czarny charakter z filmu o pokerzystach i kopalniach złota.

Bond i Leiter minęli go i weszli na molo. Nie podniósł oczu znad czyszczonego karabinu, gdy przechodzili obok, za to później Bond wyczuł jego baczne spojrzenie.

- Jeśli to nie Zbój we własnej osobie - odezwał się Leiter - to jego najbliższy krewny.

Na jednym ze słupków u krańca mola przysiadł zgarbiony pelikan, siwy o bladożółtej głowie. Pozwolił im podejść całkiem blisko, a potem niechętnie machnął kilka razy skrzydłami i poszybował w dół ku wodzie. Dwaj mężczyźni stanęli, przyglądając się, jak leci z wolna tuż nad powierzchnią. Wtem runął niezgrabnie w dół, jego długi dziób zanurzył się, i po chwili wrócił, ściskając rybkę, którą markotnie połknął. Potem ciężkie ptaszysko znów się wzbiło i dalej łowiło ryby, lecąc przeważnie pod słońce, aby jego wielki cień ich nie płoszył. Kiedy Bond i Leiter, zawróciwszy na molo, poszli z powrotem, ptak zaprzestał polowania i poszybował na swe miejsce. Usadował się z łopotem skrzydeł i znów zadumał nad schyłkiem tego popołudnia.

Mężczyzna wciąż pochylał się nad swoim karabinem i przecierał jego mechanizmy szmatką zanurzoną w oleju.

- Dobry wieczór - zagadnął Leiter. - Czy to pan zarządza tą przystanią?

- Owszem - odparł tamten, nie unosząc głowy.

- Pomyślałem sobie, czy nie dałoby się przycumować tu mojej łodzi. W basenie jest dosyć tłoczno.

- Nie.

Leiter wydobył portfel.

- A za dwudziestkę?

- Nie. - Facet przeciągle zakasłał i splunął akurat między Leiterra i Bonda.

- Ej - obruszył się Leiter. - Zachowuj się pan.

Drab nad czymś tam podumał. Popatrzył z dołu na Leiterra. Jego małe, blisko siebie osadzone oczka spoglądały z okrucieństwem dentysty, który musi stosować znieczulenie.

- Jak się nazywa ta łajba?

- *Sybil* - rzekł Leiter.

- Nie ma takiej łodzi w tutejszym basenie - rzekł facet. Szczękając, zasuwał zamek karabinu. Trzymał go od niechcenia na kolanach, wymierzony w podejście do magazynu, odwrócony od morza.

- Ślepy czy co? - zirytował się Leiter. - Przecież stoi tu od tygodnia. Dwadzieścia metrów. Diesel z dwiema śrubami. Biała z zieloną plandeką. Z całym wyposażeniem do połowu.

Karabin zaczął się leniwie przesuwac po niskim łuku. Lewa dłoń zbira spoczywała na spuście, prawa tuż przed kabłąkiem prowadziła broń ruchem okrężnym.

Stali bez ruchu.

Facet siedział leniwie, patrząc w dół na zamek broni. Odchylone do tyłu krzesło wciąż opierało się o małe drzwi z polyskującym złotym zamkiem yale.

Lufa przesunęła się z wolna po żołądki Leiterra, potem Bonda.

Obydwaj stali jak posągi, nie ryzykując nawet ruchu dłoni. Karabin przestał się obracać. Teraz mierzył wzdłuż mola. Zbój zerknął przełotnie, zmrużył oczy i pociągnął za spust. Pelikan wydał tylko słabe skrzeknięcie i usłyszeli, jak jego ciężkie ciało plasnęło o wodę. Echo strzału przetoczyło się po przystani.

- Po coś to zrobić? - ze wściekłością zapytał Bond.
- Dla wprawy - rzekł facet, ładując świeży nabój do komory.
- Jest chyba w tym mieście oddział Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami - powiedział Leiter. - Chodźmy złożyć skargę na tego faceta.

- Chcecie odpowiadać za wtargnięcie? - zapytał Zbój, podnosząc się wolno i wtykając karabin pod ramię. - To jest posiadłość prywatna. A teraz - wypluł z siebie te słowa - spieszcie do diabła. - Odwróciwszy się plecami, odsunął krzesło od drzwi, otworzył je kluczem i zwrócił się do nich już ze stopą na progu. - Obydwaj macie spluwy - rzekł. - Śmierdzą mi z daleka. Jeszcze raz mi się tutaj pokażcie, to szlag trafi was jak tego ptaka, a ja powiem, że to w samoobronie. Od jakiegoś czasu rzygam już wami, wy świńskie plarfusy, jak łazicie za mną, sapiąc mi w szyję. Gówno, a nie *Sybil!* - Odwróciwszy się pogardliwie, znikł za drzwiami i tak nimi huknął, aż framuga zadygotała.

Popatrzyli na siebie. Leiter markotnie uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Pierwsza runda dla Zbója - podsumował.

Oddalili się zapyłoną uliczką. Słońce już zachodziło i morze za nimi było kałużą krwi. Gdy znaleźli się na głównej ulicy, Bond się obejrzał. Wielkie łukowe światło zapaliło się nad wejściem i wymiotło cienie z podejścia do magazynu.

- Nie ma co próbować od frontu - rzekł Bond. - Ale nie ma magazynów z jednym wejściem.

- O tym właśnie myślałem - powiedział Leiter. - Odłożymy to do następnej wizyty.

Wsiadli do samochodu i ruszyli Central Avenue z powrotem do siebie.

Po drodze Leiter zadał wiele pytań na temat Solitaire. Wreszcie rzekł od niechcienia:

- Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że zaplanowałem te pokoje w twoim guście.

- Lepiej być nie może - odparł radośnie Bond.

- Cieszę się - rzekł Leiter. - Po prostu odniosłem wrażenie, że wy dwoje moglibyście się pisać z łącznikiem w środku.

- Za dużo się naczytałeś Winchella - odparował Bond.

- Nie mam na myśli pogodzenia wiary i wiedzy ściśle. To tylko mój elegancki sposób wyrażania się - powiedział Leiter. - Nie zapomnij, że ściany w tych domkach są cieniutkie. A ja używam uszu raczej do słuchania niż do zbierania szminki.

Bond chwycił swoją chusteczkę.

- Detektyw się znalazł - burknął ze złością.

Leiter popatrzył kątem oka, jak Bond, zajadłe trąc, doprowadza się do porządku.

- Co robisz? - spytał niewinnie. - Przez myśl mi nie przeszło, że czerwień twoich uszu może nie być ich barwą naturalną. Ale skoro już... - Zawiesił głos znacząco.

- Jeżeli znajdziesz się tej nocy w łóżku nieżywy - zaśmiał się Bond - to będziesz znał sprawcę.

Wciąż jeszcze się przekomarzali, dojeżdżając do Everglades, i zaśmiali się obaj na widok pani Stuyvesant, witającej ich na trawniku z twarzą jak chmura gradowa.

- Panie Leiter - zagaiła - bardzo pana przepraszam, ale nie mogę tolerować tu głośnej muzyki. Inni goście muszą mieć zapewniony

spokój o różnych porach.

Popatrzyli na nią zdumieni.

- Nie rozumiem, pani Stuyvesant - rzekł Leiter - o co pani właściwie chodzi.

- Ta ogromna radiola, którą pan tu sprowadził - odrzekła pani Stuyvesant. - Tym ludziom ledwie udało się przepchać skrzynię przez drzwi.

XIV Zaszkożiło mu jakieś żarcie

Dziewczyna prawie nie stawiała oporu.

Kiedy Leiter i Bond, zostawiwszy kierowniczkę z rozdziawionymi ustami na trawniku, dopadli ostatniego domku, znaleźli pokój nietknięty i łóżko tylko trochę zmięte.

Zamek od jej pokoju sforsowano zapewne błyskawicznie za pomocą łomu i dwaj mężczyźni stanęli przed nią ze spluwami w ręku.

- No jazda, paniusiu. Ubieraj się. Jedna sztuczka z twojej strony i zrobimy ci parę dziurek.

Następnie niewątpliwie ją zakneblowali czy też ogluszyli, zgiętą wpakowali do skrzyni, którą zabili gwoździami. Za domkiem były ślady opon, tam gdzie zaparkowała ciężarówka. Przedpokój niemal wypełniała ogromna, staroświecka radiola. Pewnie kosztowała ich z drugiej ręki mniej niż pięćdziesiąt dolarów.

Bond mógł wyobrazić sobie grozę na twarzy stojącej przed nimi Solitaire. Gorzko przeklął się, że ją tu zostawił samą. Nie pojmował, jakim cudem zdołali ją tak szybko wytropić. Po prostu jeden więcej przykład, jak działa maszynieria Byka.

Leiter już dzwonił do wydziału FBI w Tampie.

- Lotniska, dworce kolejowe i szosy - mówił. - Dostaniecie potwierdzenie tego z Waszyngtonu, jak tylko połączę się z nimi. Zaręczam, że ta sprawa będzie miała priorytet. Wielkie dzięki. Doceniam to. Wkrótce u was będę.

W porządku.

Odłożył słuchawkę.

- Dzięki Bogu, że idą na rękę - powiedział do Bonda, który stał wpatrzony niewidzącym wzrokiem w morze. - Zaraz wyślą paru swoich i zarzucają jak najszerszej sieci. Teraz ja załatwię formalności z Waszyngtonem i Nowym Jorkiem, a ty zobacz, co się da wycisnąć z tego starego harpagona.

Dokładny czas, rysopis tych dwóch itd. Najlepiej powiedz, że to było włamanie i że Solitaire z nimi uciekła. Ona zrozumie. To sprowadzi rzecz do normalnego wymiaru przestępstw hotelowych. Powiedz, że policja jest już w drodze i że nie zgłaszamy pretensji do Everglades. Będzie jej zależeć na uniknięciu rozgłosu. Powiedz, że nam tak samo.

Bond kiwnął głową.

- Uciekła z nimi? - Też niewykluczone. Mimo wszystko nie wierzył w to. Wrócił do pokoju Solitaire i przeszukał go drobiazgowo. Jeszcze się unosił zapach jej perfum Vent Vert, przypominając mu o wspólnej podróży. Kapelusz i woalka zostały w szafie, a trochę drobiazgów toaletowych na półce nad umywalką. Niebawem znalazł jej torbę i już wiedział, że słusznie jej zaufała. Torba leżała pod łóżkiem i wyobraził sobie, jak ona ją tam wkopuje, stojąc pod lufami rewolwerów. Wysypał na łóżko zawartość i obmacał podszewkę. Sięgnął po szczyryk i rozpruł kilka szwów. Wyjął pięć tysięcy dolarów i schował je do portfela. U niego będą bezpieczne. Gdyby okazało się, że Byk ją zabił, zużyje te pieniądze na pomśczenie jej. Ukrył rozprute szwy, ile się dało, resztę rzeczy włożył z powrotem i znów kopnął torebkę pod łóżko.

Poszedł do biura.

Zanim skończyli te rutynowe czynności, zrobiła się ósma. Wypili obaj po głębszym i przeszli do głównej jadalni, gdzie garstka innych gości już kończyła kolację. Wszyscy przyglądali się im ciekawie i trochę lękliwie. Co tu robią ci dwaj młodzi ludzie o dość niebezpiecznym wyglądzie? A gdzie kobieta, która z nimi przybyła? Którego z nich to żona? Co tu się właściwie działo tego wieczora? Biedna pani Stuyvesant biegała jak szalona! I czy nie wiedzą, że kolację się podaje o siódmej? Przecież personel z kuchni już wychodzi do domu. Na pewno dostali wszystko zimne i dobrze im tak! Powinni się trochę liczyć z ludźmi. Pani Stuyvesant mówiła, że to jakieś rządowe figury z Waszyngtonu. Co to właściwie znaczy?

Zgodzono się, że to dość wątpliwe postacie i nieprzynoszące za-

szczytu ekskluzywnej klienteli Everglades.

Bonda i Leitera posadzono przy gorszym stoliku koło przejścia do kuchni. Firmowe menu składało się z nadętej angielszczyzny oraz łamanej francuszczyzny. Sprowadzało się to do soku pomidorowego, ryby sauté z białym sosem, pasemka mrożonego indyka ze śladem żurawiny i trój kącika cytrynowego twarożku zdobnego w sztywne kędzior ze sztucznej śmietany. Łykali to posępnie, a tymczasem jadalnia opróżniała się ze zgrzybiałych par i lampy na stolikach gasły jedna po drugiej. Czarki do obmycia palców, w których pływał jeden płatek hibiskusa, stanowiły gustowny akcent na zakończenie tej uczy.

Bond zjadł w milczeniu i gdy skończyli, Leiter uczynił szaleńczy wysiłek, aby go rozweselić.

- Chodź się upić - powiedział. - To było fatalne zakończenie jeszcze gorszego dnia. Czy wolisz zagrać w bingo ze staruszkami? Ogłoszono, że w „sali rozrywkowej” odbędzie się dziś wieczorem turniej bingo.

Bond tylko wzruszył ramionami, toteż wrócili do swego saloniku, posiedzieli trochę w ponurym nastroju, pijąc i gapiąc się ponad piaszczystą plażą, przypominającą w blasku księżycy zbiełałą kość, na ciemne bezkresne morze.

Kiedy już Bond wypił dość, aby utopić swe ponure myśli, powiedział „dobranoc” i udał się do pokoju Solitaire, który stał się teraz jego sypialnią. Wsunął się między prześcieradła, gdzie spoczywało jej ciepłe ciało, i przed zaśnięciem podjął decyzję. Jak tylko się rozwidni, pójdzie do Zbója i wydusi z niego prawdę. Za bardzo był zaprzątnięty, by omówić tę sprawę z Leiterem, ale nie wątpił, że Zbój poważnie przyłożył ręki do porwania Solitaire. Przypomniał sobie małe, okrutne oczka tego zbira i blade, wąskie wargi. Pomyślał też o jego żylastej szyi wynurzającej się jak u żółwia z brudnego podkoszulka. Mięśnie ramion napięły mu się pod kocem. Po czym, już zdecydowany, rozluźnił się i zasnął.

Spał do ósmej. Spojrzał na zegarek i zaklął. Szybko wziął przys-

nic, nadstawiając otwarte oczy pod igły wodne, aż go zabolalo. Potem owinął się w pasie ręcznikiem i wszedł do pokoju Leitera. Zasunięte listewki żaluzji przepuszczały jednak dość światła, by dostrzec, że w jednym ani drugim łóżku nikt nie spał.

Uśmiechnął się, pomyślawszy, że widać Leiter wykończył butelkę whisky i zasnął na kanapie w saloniku. Przeszedł tam. Było puisto. Butelka whisky, do połowy opróżniona, stała na stoliku, a stos petów nie mieścił się w popielnicze.

Bond podniósł żaluzje i otworzył okna. Przez chwilę chłonał piękny, świetlisty poranek, a następnie obrócił się do wnętrza.

Wtedy zauważył kopertę. Leżała na krześle na wprost drzwi, przez które tu wszedł. Podniósł ją. Zawierała kartkę z kilkoma linijkami nagryzmołonymi ołówkiem.

Zacząłem rozmyślać i nie chce mi się spać. Jest około piątej. Idę zajrzeć do tego magazynu z przynętą i robakami. Ranny ptaszek itd. Czy to nie dziwne, że ten artysta musiał tam siedzieć i pokazywać swoje cyrkowe numery akurat wtedy, jak porwali S. Jakby wiedział, że jesteśmy w mieście i był w pogotowiu na wypadek, gdyby coś nie wyszło. Jeśli nie wrócę do dziesiątej, wezwij Gwardię Narodową. Tampa 88.

Felix

Bond nie czekał dłużej. Goląc się i ubierając, zamówił kawę z bułeczkami i taksówkę. Wszystko to zjawilo się niemalże w dziesięć minut i jeszcze zdążył się oparzyć kawą. Już wychodził, gdy w saloniku zadzwonił telefon. Rzucił się z powrotem.

- Pan Bryce? Tu szpital w Mound Park - odezwał się jakiś głos.
- Oddział wypadków. Mówi doktor Roberts. Jest u nas niejaki pan Leiter i pyta o pana. Czy może pan zaraz przyjechać?

- O mój Boże - powiedział przerażony Bond. - Co mu się stało? Czy coś poważnego?

- Proszę się nie obawiać - odparł głos. - Wypadek samochodowy. Chyba ktoś go potracił i uciekł. Lekkie wstrząśnienie mózgu.

Może pan przyjechać? On chyba chce się z panem zobaczyć.

- Naturalnie - odparł Bond z ulgą. - Zaraz będę.

Co u diabła? - zastanawiał się, biegnąc przez trawnik. Na pewno pobili go i zostawili na ulicy. W sumie Bond ucieszył się, że Leitera nie spotkało nic gorszego.

Kiedy taksówka skręcała, przecinając szosę biegnącą po nasypie do Wyspy Skarbów, minęła ją karetka pogotowia na sygnale.

Mamy następny kłopot, pomyślał Bond. Kroku nie mogę zrobić, żeby mi się coś nie przydarzyło.

Przejechali St Petersburg po Central Avenue i skręcili na prawo w ulicę, którą poprzedniego dnia jechali z Leiterem. Podejrzenia Bonda jak gdyby potwierdziły się, gdy wyszło na jaw, że szpital położony jest zaledwie o parę przecznic od firmy Uroboros.

Bond zapłacił taksówkarzowi i wbiegł po schodach imponującego budynku. W przestronnym holu widniało biurko recepcji. Siedziała przy nim śliczna pielęgniarka, czytając ogłoszenia w „St Petersburg Timesie”.

- Doktor Roberts? - zapytał Bond.

- Doktor... jak nazwisko? - odpowiedziała pytaniem dziewczyna i spojrzała na niego przychylnym okiem.

- Doktor Roberts. Oddział wypadków - rzekł niecierpliwie Bond. - Nazwisko pacjenta Leiter, Felix Leiter. Przywieziony dziś rano.

- Nie ma u nas doktora o tym nazwisku - odparła dziewczyna. Przebiegła palcem po leżącej przed nią liście. - Ani też pacjenta o nazwisku Leiter. Jedną chwileczkę. Zadzwoń na oddział. Nie dośłyszałam pańskiego nazwiska?

- Bryce - powiedział Bond. - John Bryce. - Cały się spocił, mimo że było tu dosyć chłodno. Wtarał zwilgotniałe dłonie o spodnie, starając się zapanować nad przerażeniem. Ta cholerna dziewczucha po prostu nie ma pojęcia o swej pracy. Zbyt ładna jak na pielęgniarkę. Przy biurku powinien siedzieć ktoś kompetentny. Zazgrzytał zębami, kiedy rozmawiała przez telefon.

Odłożyła słuchawkę.

- Przepraszam, panie Bryce. To jakieś nieporozumienie. Tej nocy ani potem nie przywieziono nikogo z wypadku i oni też nie słyszeli o żadnym doktorze Robertsie ani panu Leiterze. Czy na pewno chodzi o ten szpital?

Bond odwrócił się bez słowa. Ocierając pot z czoła, ruszył do wyjścia.

Dziewczyna zrobiła minę za jego plecami i sięgnęła po swoją gazetę.

Na szczęście w tym momencie podjechała taksówka wioząca tu kogoś innego. Bond wszedł i kazał się wieźć jak najszybciej do Everglades. Wiedział tylko, że dopadli Leitera i że jego chcieli odciągnąć od domku. Bond nie widział w tym sensu, ale zdawał sobie sprawę, że nagle wszystko zaczęło się psuć i inicjatywę znów przejęli Byk i jego ludzie.

Pani Stuyvesant wybiegła na dwór, gdy zobaczyła wysiadającego z taksówki Bonda.

- Co za nieszczęście z pańskim przyjacielem - odezwała się bez śladu współczucia. - Naprawdę powinien być trochę bardziej uważać.

- Tak jest, pani Stuyvesant. A co się stało?

- Karetka przywiozła go zaraz po pańskim odjeździe. - Oczy kobiety rozbliły, gdy przekazywała złe wiadomości. - Wygląda na to, że pan Leiter miał wypadek samochodowy. Musieli go wnieść na noszach. Kierował nimi taki sympatyczny Murzyn. Powiedział, że panu Leiterowi nic nie będzie, tylko pod żadnym pozorem nie wolno go ruszać. Biedny chłopak. Cała twarz obandażowana. Powiedzieli, że go wygodnie ułożą, a doktor zjawi się trochę później. Jeżeli mogę w czymś...

Bond nie czekał dłużej. Pognał przez trawnik i wpadł do sypialni Leitera.

Na łóżku Leitera leżała jakaś postać przykryta w całości prześcieradłem. Na poziomie twarzy w ogóle nic się nie poruszało.

Zgrzytając zębami, Bond pochylił się nad łóżkiem. Czyżby coś

leciutko zadrgało?

Zerwał mu z twarzy płachtę. Twarzy nie było. Tylko coś grubo i wielokrotnie spowitego w brudne bandaże. Coś na kształt białawego gniazda os.

Ściągnął ostrożnie prześcieradło jeszcze niżej. Znow bandaże, jeszcze niedbałej owinięte, i sącząca się przez nie krew. Potem górny brzeg worka, w którym tkwiła dolna połowa ciała. Wszystko to przesiąknięte krwią.

W miejscu, gdzie powinny być usta, ze szparki w bandażach sterczała kartka.

Bond wyciągnął ją i nachylił się. Prawie niewyczuwalny cień oddechu musnął mu policzek. Chwycił za telefon przy łóżku. Całe minuty upłynęły, zanim to, co mówi, przebiło się do świadomości tych w Tampie. Wreszcie dotarł do nich jego natarczywy głos. Zjawia się za dwadzieścia minut.

Odłożył słuchawkę i spojrzał mimo woli na kartkę trzymaną w rękę. Był to oddarty kawałek białego papieru pakowego. Na nim krzywo nagryzmołono drukowanymi literami:

ZASZKODZIŁO MU JAKIEŚ ŻARCIE

A pod tym w nawiasie:

PS TAKICH ŻARTÓW MAMY JESZCZE DUŻO W ZAPASIE

Poruszając się jak lunatyk, Bond odłożył kartkę na stolik przy łóżku. Potem znow się odwrócił do spoczywającego na łóżku ciała. Nie śmiał go dotknąć w obawie, żeby to leciutkie drganie oddechu nagle się nie urwało. Ale coś musiał sprawdzić. Jego palce rozgrzebały jak najdelikatniej bandaże na czubku głowy. Po chwili obnażył kilka pasemek włosów. Były mokre. Podniósł palce do ust. Były słone. Wyciągnął kilka pasemek włosów i przyjrzał im się. Już nie było żadnej wątpliwości.

Znów ujrzał przed sobą czuprynę koloru jasnej słomy prawie zawsze w nieładzie spadającą na prawe oko, szare i wesole, a pod nią krzywo uśmiechniętą, jastrzębią twarz chłopaka z Teksasu, z którym przeżyli wspólnie tyle przygód. Chwilę pomyślał o nim, jaki był przedtem. Później wetknął kosmyk włosów z powrotem pod bandażę i siedząc na krawędzi drugiego łóżka, czuwał w bezruchu nad ciałem przyjaciela, zastanawiając się, ile z niego da się uratować.

Kiedy przyjechali dwaj detektywi i lekarz policyjny, opowiedział im spokojnym, bezbarwnym głosem wszystko, co wiedział. Opierając się na tym, co im Bond przekazał przez telefon, wysłali już wcześniej wóz policyjny do Zbója i czekali na zgłoszenie, gdy w sąsiednim pokoju pracował lekarz.

On pierwszy skończył. Wrócił do saloniku z zatroskanym wyrazem twarzy. Bond zerwał się na nogi. Lekarz policyjny osunął się na fotel i podniósł na niego wzrok.

- Chyba przeżyje - oznajmił. - Ale ma pięćdziesiąt procent szans. Załatwili tego biedaka jak rzadko. Nie ma jednej ręki i połowy lewej nogi. Twarz doszczętnie poharatana, ale powierzchownie. Nie wiemy, co się z nim tak obeszło. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to jakieś zwierzę albo ogromna ryba. Coś go szarpało. Dowiem się więcej, kiedy go dowiozę do szpitala. Cokolwiek to było, znajdą się ślady zębów. Karetka będzie tu za chwilę.

Siedzieli w ponurym milczeniu. Od czasu do czasu dzwonił telefon. Z Nowego Jorku. Z Waszyngtonu. Komenda policji w St Petersburgu chciała wiedzieć, co się dzieje na przystani, i powiedziano im, żeby się trzymali z daleka. Ta sprawa należy do FBI. Wreszcie z budki telefonicznej zadzwonił kierujący akcją porucznik z radiowozu z raportem.

Przetrzęsnieli u Zbója całą posesję. Nie znaleźli nic oprócz zbiorników z rybami oraz żywą przynętą i skrzyń zawierających korale i muszle. Zbój oraz dwóch innych facetów od pomp i podgrzewania wody zostali zatrzymani i przez godzinę ich maglowano. Sprawdzone alibi wszystkich trzech i okazały się niewzruszone jak Empire State Building. Zbój wściekł się i zażądał swego kauzyperdy, więc kiedy wreszcie dopuszczono do nich adwokata, zostali automatycznie zwolnieni. Nie znaleziono podstaw do oskarżenia i żadnego dowodu, żeby je na nim oprzeć. Wszystko ugrzęzło w ślepym zaułku, ale samochód Leitera znaleziono po drugiej stronie basenu portowego, półtora kilometra od firmowej przystani. Niezliczone odciski palców, ale żadnego, który by pasował do tej trójki. Co mają robić?

- Nie przerywać - rozkazał kierujący akcją w Everglades, który się przedstawił jako kapitan Franks. - Wkrótce się tam zjawię. Waszyngton każe złapać tych facetów za wszelką cenę. Dwóch z samej góry przyleci jeszcze dziś wieczór. Już czas, żeby policja też nam pomogła. Każę im uruchomić w Tampie informatorów. Ta sprawa nie kończy się na St Petersburgu. Na razie.

Była trzecia. Policyjna karetka pogotowia zjawiała się i odjechała, zabierając lekarza i ledwie żywego Leitera. Dwaj funkcjonariusze pożegnali się, zapowiadając, że będą w kontakcie. Zależało im na dowiedzeniu się, co Bond chce zrobić. Bond wykręcił się od odpowiedzi. Oświadczył, że musi porozumieć się z Waszyngtonem. Czy na razie może wziąć samochód Leitera? Oczywiście, przyślą go, gdy tylko dopełnią formalności.

Po ich odjeździe Bond siadł i zadumał się. Pozostały kanapki, do których składników dostarczyła im dobrze zaopatrzona spiżarnia. Bond je zjadł i wypił drinka.

Zadzwonil telefon. Rozmowa zamiejscowa. To szef Leitera z jego sekcji CIA zwracal sie do Bonda. Chcial, azeby Bond udal sie niezwlocznie na Jamajke. Przekazal to z uprzedzajaca grzecznoscia. Dzwonili do Londynu, ktory sie zgadza. Co przekazac Londynowi? Kiedy sie maja spodziewac Bonda na Jamajce?

Bond wiedzial, ze nazajutrz ma samolot linii Transcarib przez Nassau. Oznajmil, ze tym wlasnie poleci. Czy poza tym jest cos nowego? O tak! - powiedzial ten z CIA. Wiadomy pan z Harlemu i jego przyjaciotka odlecieli tej nocy do Hawany. Wynajeli prywatny samolot w malej miejscowosci na Wschodnim Wybrzezu, zwanej Vero Beach. Dokumenty mieli w porzadku, a firma przelotowa byla tak malutka, ze FBI nie wzieto jej pod uwage, kiedy zarzadzilo kontrole wszystkich lotnisk. Czlowiek CIA na Kubie dal znac o ich przybyciu. Owszem, fatalnie sie stalo. Tak, *Secatur* jeszcze tam jest. Nie wiadomo, kiedy ma odplynac. No coz, fatalnie to wyszlo z Leiterem. Wspanialy pracownik. Miejmy nadzieje, ze sie z tego wyliże. A wiec jutro mozna spodziewac sie Bonda na Jamajce? Okej. Szkoda, ze sie tak glupio potoczylo. To cześć.

Bond przez chwile pomyslal, a nastepnie siegnal po sluchawke i odbyl krotka rozmowe z jakimis pracownikiem akwarium w Eastern Garden w Miami, zeby dowiedziec sie, gdzie moze kupic zywego rekina do umieszczenia w ozdobnej lagunie.

- Jedyne miejsce, o jakim slyszalem, ma pan akurat pod reka, panie Bryce - doradzil uczynny glós. - Uroboros. Oni prowadza sprzedaz robakow i zywej przynety. Mają takze rekiny. Te duze. Dostarczają je za granice ogrodow zoologicznym i tym podobnym. Żarłaczki białe, tygrysy, nawet rekiny mloty. Chętnie panu pomoga. Ale ich karmienie jest bardzo drogie. Proszę bardzo. Kiedy tylko

będzie pan tu przejeżdżał. Do widzenia.

Bond wyjął swój pistolet i zabrał się do czyszczenia go, czekając na zmrok.

XV Północ u robaków

Około szóstej Bond spakował torbę i zapłacił za pobyt. Pani Stuyvesant z przyjemnością go pożegnała. Takiego zamętu nie było w Everglades od czasu ostatniego huraganu.

Samochód Leitera stał już z powrotem na bulwarze. Bond pojechał nim do miasta. Wstąpił do sklepu żelaznego i kupił rozmaite rzeczy. Potem zjadł olbrzymi befszytk z rusztu, słabo wysmażony, z frytkami. Do befszytka wypił setkę bourbona Old Grand Dad i potem dwie filiżanki bardzo mocnej kawy. Po posiłku i drinku trochę poprawił mu się nastrój.

O dziewiątej przyjrzał się planowi miasta, wsiadł do samochodu i wykonał daleki objazd, po którym znalazł się o jedną przecnicę na południe od przystani Zbója. Podjechał na brzeg morza i wysiadł.

Noc była księżycowa i budynki oraz składy rzucały wielkie czworokątne cienie w kolorze indygo. Cała dzielnica zdawała się wyludniona i nie rozlegał się w niej żaden odgłos prócz cichego pluskania drobnych fal o nabrzeże i bulgotania wody pod opróżnionymi pomostami.

Szczyt niskiego obmurowania, mający około metra szerokości, pogrążony był w cieniu na długości co najmniej stu metrów dzielących Bonda od wydłużonej, czarnej sylwetki magazynów spółki Uroboros.

Bond wspiął się nań i ostrożnie, po cichu ruszył przed siebie między budynkami a morzem. W miarę zbliżania się słyszał coraz głośniejszy wysoki pisk i kiedy zeskoczył na rozległy betonowany parking na tyłach budynku, odgłos ten przeobraził się w stłumiony wrzask. Bond spodziewał się czegoś w tym rodzaju. Był to hałas pomp tłoczących powietrze i urządzeń ogrzewczych, nieodzownych, jak wiadomo, aby chłód nocny nie zaszkodził rybom. Miał nadzieję, że większa część dachu będzie oszklona, by za dnia docierało do

wnętrza światło słoneczne, a także że budynek będzie dobrze przewietrzony.

Nie zawiódł się. Cała południowa ściana magazynu, poczynając od linii tuż nad jego głową, była wykonana z grubego szkła i zobaczył przez nie, jak księżyc oświeca wnętrze, wpadając przez jakieś cztery tysiące metrów kwadratowych szklanego dachu. Wysoko nad głową Bonda znajdowały się otwarte na nocne powietrze wielkie okna, niestety nie było do nich dostępu. Zgodnie z przewidywaniami Bonda i Leitera na dole były małe drzwi, ale zamknięte na klucz, zaryglowane i zaopatrzone przy zawiasach w kable w ołowianym pancerzu, co świadczyło o zamontowaniu urządzeń alarmowych.

Drzwi Bonda nie interesowały. Przewidując zaopatrzył się w narzędzia do cięcia szkła. Rozejrzał się za czymś, na czym mógłby stanąć. W tym kraju, gdzie rupiecie i odpadki stanowią nieodłączną część krajobrazu, wkrótce znalazł, czego potrzebował. Była to potężna, zużyta opona. Zatoczył ją pod ścianę magazynu z dala od drzwi i zdjął buty.

Cegłami podparł z boków dół opony, by ją unieruchomić, i wszedł na nią. Nieustanny skrzek pomp zagłuszał hałas, i Bond natychmiast zabrał się do roboty, wykorzystując małe urządzenie do cięcia szkła, które razem z bryłą kitu nabył po drodze do jadalni. Naciąwszy dwa pionowe boki jednej z kwadratowych, metrowych szyb, przycisnął kit do jej środka i uformował go w wystający uchwyt. Po czym zabrał się do nacinania poziomych brzegów.

Pracując, przyglądał się księżycowemu pejzażowi olbrzymiego wnętrza. Niekończące się szeregi zbiorników stały na drewnianych podporach, porozdzielane wąskimi przejściami. Przez środek budynku biegło szersze przejście. Poniżej drewnianych podpór Bond widział dalsze zbiorniki i pojemniki wpuszczone w posadzkę. Tuż pod nim sterczały ze ścian szerokie półki zastawione całymi regimentami muszli morskich. Zbiorniki były przeważnie ciemne, ale z niektórych dobywało się wąskie pasemko elektrycznego światła, jarząc się widmowo i migocząc na małych fontannach bąbelków unoszących

się nad wodorostami i piaskiem. Lekkie metalowe pomosty były podwieszane u dachu nad każdym szeregiem zbiorników i Bond się domyślił, że każdy zbiornik z osobna można wyjąć i przetransportować do wyjścia czy to w celu załadowania go na statek, czy dla wydobycia chorych ryb, żeby przeszły kwarantannę. Było to jakby okno do dziwnego świata i dziwnych spraw. Dziwnie było myśleć o tych ruszających się w mroku wszystkich robakach, węgorzach i innych przeróżnych rybach, o mnóstwie poruszających się skrzeli, o tysiącach czułków, które dygocą i śledzą po omacku, i przekazują sygnały do ośrodków nerwowych.

Po kwadransie precyzyjnej roboty rozległ się cichy trzask i szyba wyszła, przyczepiona do bryły uformowanej z kitu, trzymanej przez Bonda.

Zszedł na ziemię i ostrożnie położył wyjętą szybę z dala od opony. Włożył buty za koszulę. Może to być niezła broń, skoro tylko jedną dłoń ma w pełni sprawną. Nasłuchiwał. Nic oprócz regularnego dźwięku pracujących pomp.

Spojrzał do góry, czy przypadkiem jakieś chmury mu nie przysłonią księżycy, lecz niebo wciąż było czyste, jeśli nie liczyć całego sklepienia jarzących się gwiazd. Wspiął się znów na oponę i lekko podciągnawszy się, wsunął połowę ciała w zrobiony przez siebie szeroki otwór.

Przekręcił się i chwycił za metalową ramę nad sobą, cały ciężar przeniósł na ręce i podkurczywszy nogi, przycisnął je przez otwór i wyprostował, tak że zwisały teraz parę centymetrów powyżej półek wypełnionych muszlami. Z wolna opuścił się na rękach, aż stopami wymacał grzbiety muszli, a następnie porozsuwał je, robiąc na półce wolne miejsce. Później ostrożnie przeniósł cały ciężar ciała na półkę. Utrzymała go i po chwili był już na dole, wszystkimi zmysłami starając się wyczuć najbliższy odgłos poza skowitem aparatury.

Ale nic nie usłyszał. Wyjął zza pazuchy buty ze stalowymi czubkami i położył je na miejscu opróżnionym na półce, a potem ruszył po betonowej podłodze z kieszonkową latarką w rękę.

Znajdował się w sekcji ryb akwariowych. Patrząc po tabliczkach z nazwami, dostrzegał błyski kolorowego światła w głębi zbiorników i czasami materializował się jakiś żywy klejnot, aby przez chwilę wybałuszyć na niego oczy i odpłynąć.

Było tu wszystko: mieczyki, gupiki, brzany, neony, pielęgnice, gurami, wielkopłetwy i wszelkie odmiany złotych rybek. Poniżej, wpuszczone w podłogę i na ogół przykryte gęstą siatką, ciągnęły się jeden za drugim płaskie pojemniki rojące się i kłębiące od robaków i wszelkiego żywca, białych robaków i rureczników, krewetek, roz-wielitek i grubych nereid. Z tych zbiorników leżących przy samej ziemi całe lasy malutkich oczek wpatrywały się w blask jego latarki. W powietrzu wisiała cuchnąca woń bagien mangrowych i temperatura musiała wynosić co najmniej 21°C. Bond niebawem zaczął się trochę pocić i pragnął odetchnąć świeżym, nocnym powietrzem.

Dopiero gdy dotarł do środkowego przejścia, znalazł jadowite ryby stanowiące jeden z obiektów jego poszukiwań. Czytał o nich w aktach komendy głównej policji w Nowym Jorku i zapamiętał, że warto by się bliżej zapoznać z tą uboczną formą działalności osobliwego przedsiębiorstwa Uroboros SA.

Tu zbiorniki były mniejsze i na ogół zawierały tylko po jednej rybie. Leniwie spoglądające na Bonda oczy były zimne i na wpół przysłonięte, a czasami w świetle latarki błyskały zęby lub na grzbiecie unosiły się z wolna kolce.

Na każdym pojemniku widniał narysowany kredą złowróżbny symbol trupiej czaszki ze skrzyżowanymi kośćmi i duże tabliczki informowały **BARDZO NIEBEZPIECZNE** albo **NIE ZBLIŻAĆ SIĘ**.

Musiało tam być co najmniej sto pojemników różnej wielkości, od tak dużych, że mieściły się w nich drętwy elektryczne i posępne rochy, aż do mniejszych, gdzie przebywały węgorz elektryczny, sumiki z Pacyfiku i potworna skrzydlica karaibska, której kolce zaopatrzone są w gruczoły jadowe równie śmiertcionośne jak u grzechotnika.

Bond zmrużył oczy, gdy zauważył, że w każdym z tych niebezpiecznych pojemników muł albo piasek na dnie sięgają prawie do połowy ich wysokości.

Wybrał szklany zbiornik z piętnastocentymetrową skorpeną. Znał się trochę na zwyczajach tego śmiercionośnego gatunku i wiedział, że same nie atakują.

Brzeg zbiornika miał na wysokości pasa. Wyjął mocny składany nóż, który kupił, i otworzył najdłuższe ostrze. Potem schylił się nad zbiornikiem i podwinąwszy rękaw, starannie wymierzył nożem w środek kostropatego łba pomiędzy nawisłymi grotami oczodołów. Gdy jego dłoń przebiła powierzchnię wody, białe kolce ustawiły się groźnie i pstrokate pręgi na rybim tułowiu przebarwiły się na jednolicie błotnisty brąz. Szerokie, podobne do skrzydeł płetwy piersiowe uniosły się lekko - najwyraźniej ryba szykowała się do ucieczki.

Bond wykonał błyskawiczne pchnięcie, biorąc poprawkę na załamanie światła na granicy wody i powietrza. Przygoździł bulwiasty łeb i wolno przyciągnął do siebie po szklanej ścianie zbiornika rybę, która wściekle tłukła ogonem. Odstąpił na bok i wyrzucił rybę na posadzkę, gdzie dalej miotła się i podskakiwała mimo strzaskanej czaszki.

Pochylił się nad zbiornikiem i zanurzył głęboko rękę w środek błota i piasku pokrywających dno.

Są. Jego przecucie co do jadowitych ryb okazało się słuszne. Palce Bonda wymacały zwarte szeregi monet ułożonych pod błotem jak żetony w pudełku. Znajdowały się w płaskiej wanience. Wyczuwał drewniane przegródki. Wyciągnął jedną monetę, opłukał ją i własną dłoń w czystszej wodzie na powierzchni. Poświecił latarką. Miała rozmiar współczesnych pięciu szylingów i podobną grubość, tylko że była złota. Wybito na niej godło Hiszpanii i głowę Filipa Drugiego.

Spojrzał i ocenił wielkość zbiornika. W tym jednym zbiorniku, którego nie tknie żaden celnik, musi być około tysiąca monet. Warte są od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów i strzeże ich cerber o

jadowitych kolecach. Musiał to być ładunek jachtu *Secatur* z ostatniego rejsu przed tygodniem. Sto pojemników. Powiedzmy, że sto lub sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w złocie na jeden rejs. Wkrótce ciężarówka zjawia się po te zbiorniki i gdzieś po drodze mężczyźni z pokrytymi gumą szcypcami powyciągają z nich śmiercionośne ryby i wrzucają je z powrotem do morza albo spalają. Powylewa się wodę z mułem, złote monety zostaną oplukane i wyspane do worków. A następnie worki pojedą do agentów i monety pojawią się na rynku, każda z nich ściśle rozliczona przez organizację Byka.

Otóż i system wedle filozofii Byka skuteczny, doskonały technicznie, niemal niezawodny.

Bond z podziwem schylił się i wbił ostrze w bok jadowitej skorpeny. Wrzucił ją z powrotem do zbiornika. Po co ma informować wroga, czego się właśnie dowiedział?

Właśnie się odwracał od zbiornika, kiedy wszystkie światła w magazynie raptem się rozjarzyły i rozkazujący głos powiedział ostro:

- Nie ruszać się. Ręce do góry.

Już tocząc się w stronę zbiornika, Bond ujrzał na mgnienie oka na tle głównego wejścia chudą postać Zbója, składającego się do strzału z karabinu w odległości jakichś dwudziestu metrów. Dając nura, modlił się, aby Zbój chybił, ale modlił się też o to, by zbiornik podłogowy, na który się rzucił, był jednym z tych przykrytych. I był. Pokrywała go druciana siatka. Coś z dołu podskoczyło ku niemu z chłapieniem, kiedy uderzył w siatkę i wytoczył się na płask w następne przejście. Huknął strzał, zbiornik ze skorpeną rozbryznął się z trzaskiem i woda z niego chlusnęła.

Bond popędził między zbiornikami z powrotem do jedyne go wyjścia, jakie mu pozostało. Kiedy uskakiwał za róg, padł strzał i zbiornik pełen skalarów eksplodował mu jak bomba tuż koło ucha.

Znajdował się teraz na jednym końcu magazynu, a Zbój na drugim, oddalony o pięćdziesiąt metrów. Bond nie miał szansy dopaść okna, przez które się tu dostał, bo znajdowało się po drugiej stronie centralnego przejścia. Przystanął na moment, by odzyskać oddech

i pomyśleć. Uświadomił sobie, że wszystkie te rzędy pojemników osłaniają go tylko do kolan i że w wąskich przejściach pomiędzy nimi będzie całkowicie odłonięty. Tak czy inaczej nie może stać bez ruchu. Przypomniał mu o tym pocisk, który między jego nogami łupnął w stos wielkich muszli i wokół poleciały twarde jak porcelana odłamki. Pobiegł na prawo i następny pocisk odbił się przy jego nogach. Trafił w beton posadzki i rykoszetem w olbrzymi baniak mały, rozłupując go na pół i rozrzucając setkę mięczaków po ziemi. Bond szybko pobiegł z powrotem. Gdy przeskakiwał środkowe przejście, dwukrotnie strzelił z beretty. Zobaczył, jak Zbój uskakuje, kiedy zbiornik rozprysnął mu się nad głową.

Bond uśmiechnął się, słysząc okrzyk, który zagłuszył odgłos rozbitego szkła i chluśnięcia wody.

Natychmiast przykucnął i dwa razy strzelił Zbójowi w nogi, ale pięćdziesiąt metrów okazało się za dużą odległością dla małokalibrowego pistoletu. Znów jeden zbiornik się rozpadł, ale drugi pocisk odbił się od żelaznych płyt bramy wejściowej.

Potem Zbój ponownie zaczął strzelać i Bondowi pozostało tylko uskakiwać za skrzynie i czekać, kiedy oberwie w rzepkę kolanową. Od czasu do czasu odpowiadał strzałem, żeby Zbój nie podszedł za blisko, ale wiedział, że bitwa jest przegrana. Tamten chyba miał niewyczerpane zapasy amunicji. Bondowi pozostały tylko dwa naboje w pistolecie i pełny magazynek w kieszeni.

Kiedy tak skakał, ślizgając się na bojownikach syjamskich, rzucających się dziko po betonie, od czasu do czasu schylał się, aby chwycić ciężkie muszle przyłbicy i rzucać nimi we wroga. Roztrzaskały się one raz po raz efektywnie na zbiornikach po stronie Zbója, potęgując straszliwy hałas w tej szopie z blachy falistej. Nie były jednak skuteczne. Pomyślał o wystrzeleniu lamp, ale świeciło

ich co najmniej dwadzieścia w dwóch rzędach.

Wreszcie Bond zdecydował się poddać. Pozostał mu jeden fortel, a koniecznie trzeba było odmienić losy tej nierównej walki.

Przebiegł obok szeregu zbiorników, z których najbliższy był rozbity, i zepchnął go na podłogę. Wciąż jeszcze był on do połowy pełen drogich bojowników syjamskich i Bond z satysfakcją usłyszał łoskot, kiedy resztki zbiornika roztrzaskały się na betonie. Opróżniło się miejsce na krzyżulcowym stole i po dwóch szybkich wypadach dla pochwycenia swych butów Bond rzucił się na powrót do stołu i wskoczył na niego.

Na chwilę zapadła cisza, jeżeli nie liczyć skowytu pomp, ciurkania wody z podziurawionych zbiorników i trzepotania się zdychających ryb. Bond włożył buty i mocno zasznurował.

- Hej, Angol! - nawoływał uparcie Zbój. - Wyłaż albo weźmę granaty. Czekałem na ciebie i amunicji mam dosyć.

- Chyba muszę się poddać! - odkrzyknął mu Bond, zwijając dłoń w trąbkę. - Ale tylko dlatego, że rąbnąłeś mnie w kostkę.

- Nie będę już strzelał! - obiecał Zbój. - Rzuć spluwę na ziemię i podejdź środkowym przejściem z rękami do góry. Pogadamy spokojnie.

- Chyba nie mam innego wyjścia. - Bond nadał beznadziejny ton swemu głosowi. - Szczęknęła beretta rzucona na betonową podłogę. Z kieszeni wyjął złotą monetę i zacisnął ją w obandażowanej lewej dłoni.

Opuszczając stopy na ziemię, Bond jęknął. Powłócząc lewą nogą, pokuśtykał niezgrabnie środkowym przejściem, dłoń trzymając na wysokości ramion. Przystanął w połowie drogi.

Zbój podszedł do niego wolno, na ugiętych nogach, mierząc Bondowi z karabinu w żołądek. Bond z przyjemnością zobaczył, że

koszula przeciwnika nasiąkła krwią i ma on rozcięcie nad lewym okiem.

Zbój szedł lewą stroną przejścia. Jakies dziesięć metrów od Bonda przystanął, jedną stopę w samej skarpetce postawiwszy od niechcenia na czymś, co sterczało z betonowej podłogi.

Ruszył karabinem.

- Wyżej! - rozkazał szorstko.

Bond, jęknąwszy, uniósł dłonie może z dziesięć centymetrów, jak gdyby osłaniał nimi twarz.

Pomiędzy palcami ujrzał, jak Zbój mocnym ruchem stopy odsuwa coś w bok. Rozległo się przy tym ciche szcęknięcie, jakby odciągnięto zasuwę. Bond zacisnął szczęki. Teraz wiedział, co przydarzyło się Leiterowi.

Zbój postąpił do przodu, żylastą, chudą postacią zasłaniając miejsce, w którym przystanął.

- O Jezu - powiedział Bond - muszę usiąść. Nie utrzymam się na tej nodze.

Zbój przystanął w odległości kroku lub dwóch.

- Masz stać, a ja zadam ci kilka pytań. - Wyszczерzył poźótkle od tytoniu zęby. - Zaraz się połóżysz, Angolu, i to na dobre. - Stojąc przed nim, Zbój przyjrzał mu się dokładnie. Bond jak gdyby oklapł. Jego twarz wyrażała poczucie klęski, ale mózg odmierzał centymetry.

- Ty węsący skurwielu - rzekł Zbój.

W tym momencie Bond upuścił trzymaną w lewej dłoni złotą monetę. Brzęknęła o beton i potoczyła się.

W ułamku sekundy, gdy Zbój zerknął w dół, prawa stopa Bonda wystrzeliła do przodu i stalowy czubek buta niemal wytrącił oprychowi karabin z rąk. Zbój wprawdzie zdążył pociągnąć za spust, ale kula przebiła szklany sufit. Bond rzucił się głową naprzód, uderzając

go w brzuch i wyprowadził ciosy z obu rąk.

Obydwie pięści trafiły w coś miękkiego, czemu towarzyszyło bolesne stęknienie. Lewą dłoń Bonda przeszył ostry ból i twarz mu się wykrzywiła, gdy karabin rąbnął go w plecy. Mimo to przygarbiony uderzał raz za razem, aż wróg cofnął się i stracił równowagę. W tym momencie Bond nieco się wyprostował i znów kopnął. Okuty stałą czubek buta trafił Zbója w rzepekę kolanową. Rozległ się wrzask i karabin potoczył się ze szczękiem. Zbój zgiął się wpół i wtedy hak Bonda odrzucił go jeszcze o parę stóp.

Zbój upadł na środku przejścia, dokładnie na wysokości tego, co było (teraz już Bond widział to wyraźnie) odsuniętym rygłem w podłodze.

Ledwie runął na podłogę, jej fragment obrócił się błyskawicznie na osi biegnącej przez środek i ciało niemal znikło w czarnym otworze szerokiej zapadni.

Czując, że betonowa podłoga ustępuje pod jego ciężarem, Zbój wydał przeraźliwy krzyk trwogi. Próbował się czegoś uchwycić. Złapał krawędź podłogi i wisiał na rękach, a dwumetrowy prostokąt ze zbrojonego betonu obracał się gładko, aż stanął pionowo na swojej osi. Po obu jego stronach ukazał się czarny otwór.

Bond ledwie mógł złapać oddech. Z dłońmi opartymi na biodrach stał i dyszał. Następnie podszedł na sam brzeg dziury po prawej stronie i popatrzył w dół.

Zbój z oczyma rozszerzonymi z przerażenia jazgotał coś do niego w pośpiechu.

Za jego plecami Bond nie mógł niczego dojrzeć, słyszał jednak chłupotanie wody o fundamenty budynku i coś prześwitywało z lekka od strony morza. Domyślił się, że jest tam połączenie z morzem przez siatkę lub gęste pręty.

Kiedy głos Zbója przeszedł w cichy skowyt, Bond usłyszał, że coś tam w głębi się porusza, zwabione światłem. Domyślił się, że to rekin młot albo ludojad.

- Bracie, wyciągnij mnie. Daj mi szansę. Wyciągnij. Dłużej się nie utrzymam. Zrobię, co tylko zechcesz. Powiem ci wszystko. - Głos Zbója zmienił się w ochryple błagalny szept.

- Coście zrobili z Solitaire? - Bond spoglądał z góry w obłąkane ze strachu oczy.

- Mister Big to zrobił. Kazał mi ją porwać. Dwaj ludzie w Tampie. Butch i Dożywotniak. W pokoju bilardowym za „Oazą”. Nic złego jej się nie stało. Wypuść mnie, bracie.

- A ten Amerykanin, Leiter?

Oczy umęczonej twarzy patrzyły na niego błagalnie.

- To była jego wina. Wywołał mnie dziś rano. Powiedział, że magazyn się pali. Że przejeżdżał i to zauważył. Doprowadził mnie tu pod spluwą. Chciał zrobić rewizję. Po prostu wpadł. To był wypadek. Przysięgam, że mu w tym nie pomogłem. Wyciągnęliśmy go jeszcze żywego. Wyzdrowieje.

Bond spojrział na zbielełe palce, rozpaczliwie czepiające się ostrej krawędzi betonu. Wiedział, że Zbój musiał odciągnąć zasuwę i jakoś wprowadzić Leitera na zapadnię. Słyszał triumfalny śmiech tego zbira, kiedy kłapa się uchyliła; widział jego pełen okrucieństwa uśmiech, kiedy gryzmolił napis na tej kartce i wtykał go w bandażę, jak już wyłowili na wpół zjedzone ciało.

Zaślepiła go wściekłość.

Kopnął dwa razy.

Z głębi doleciał krótki wrzask. Plusnęło i zakotłowało się potężnie w wodzie.

Bond podszedł do brzegu zapadni i pchnął sterczącą betonową płytę. Obróciła się lekko na osi.

Tuż przedtem, zanim jej kraweźdź zakryła czarną głębię, Bond usłyszał jedno straszne, chrapliwe sapnięcie, jakby złapała coś olbrzymia świnia. Rozpoznał w nim to stęknienie, jakie wydaje rekin, gdy jego płaski, obrzydliwy nos wydobywa się nad powierzchnię i sierpowata paszcza zamyka na pływającym po wierzchu ścierwie. Wzdrygnął się i nogą przesunął rygiel.

Podniósł z podłogi złotą monetę i swój pistolet. Podeszedł do głównego wyjścia i obejrzał się na koszarne pobojowisko.

Uznał, że nic nie wskazuje, iż tajemnica skarbu została odkryta. Pojemnik ze skorpeną, pod który dał szczupaka, miał odstrzeloną górę i kiedy tamci pojawią się tu rano, nie zdziwią się, że ryba nie żyje. Wydostaną z basenu z rekinami to, co pozostanie ze Zbója, i dadzą znać Bykowi, że wybuchła strzelanina i że wyrządzono za tyle to a tyle tysięcy dolarów szkód, które trzeba naprawić, zanim *Secatur* będzie mógł pojawić się z następnym ładunkiem. Znajdą niektóre pociski wystrzelone przez Bonda i niebawem domyśla się, że to jego dzieło.

Z ponurą determinacją Bond odpędził myśl o tym, co w tej chwili dzieje się pod podłogą magazynu. Zgasił światła i wyszedł przez główną bramę.

Oto i niewielka zaliczka na poczet rachunku za Solitaire i za Leitera.

XVI A tak dzieje się na Jamajce

Druga w nocy. Bond ruszył od nabrzeża i pojechał przez miasto ku Czwartej Ulicy, prowadzącej do Tampy.

Jechał powoli betonową, czteropasmową autostradą między niekończącym się szpalerem moteli, kempingów dla przyczep i przydrożnych domów handlowych sprzedających meble plażowe, morskie muszle i betonowe krasnoludki.

Zatrzymał się przy barze z przekąskami o nazwie „Wiatry od Zatok” i zamówił podwójnego Old Grand Dad z lodem. Kiedy barman mu go nalewał, Bond poszedł do toalety i doprowadził się do porządku. Bandaże na lewej dłoni były pokryte brudem i cała dłoń boleśnie pulsowała. Usztywniająca ją szyna złamała się przy uderzeniu w brzuch Zbója i na to Bond nic nie mógł poradzić. Oczy miał przekrwione z wysiłku i z niewyspania. Wrócił do baru, wychylił bourbona i zamówił drugiego. Barman wyglądał na studenta spędzającego wakacje na ciężkiej pracy. Najwyraźniej miał chęć pogadać, ale Bond nie znajdował już sił na pogawędkę. Siedział wpatrzony w szkło i myślał o Leiterze, Zbóju, słyszał pobudzający do mdłości pomruk żerującego rekina.

Zapłacił, wyszedł i pojechał dalej przez Gandy Bridge, a powietrze zatoki chłodziło mu twarz. Za mostem skręcił w stronę lotniska i zatrzymał się w pierwszym motelu, w którym chyba jeszcze nie wszyscy zasnęli.

Właściciele, małżeństwo w średnim wieku, siedzieli nad butelką żytniówki, przysłuchując się nocnej rumbie w audycji muzycznej nadawanej z Kuby. Bond opowiedział im, jak złapał gumę po drodze z Sarasoty do Silver Springs. Nie byli ciekawi. Z radością pobrali od niego dziesięć dolarów. Podjechał do samych drzwi pokoju numer 5. Gospodarz otworzył mu drzwi i zapalił światło. Było tam podwójne łóżko, prysznic, komoda i dwa krzesła. Wszystko z motywem białym

i niebieskim. Wyglądało to całkiem czysto, Bond z ulgą postawił torbę i powiedział „dobranoc”. Rozebrał się i nawet nie składając ubrania, rzucił je na krzesło. Wziął szybki prysznic, wyczyścił zęby, gardło przepłukał ostrym płynem do ust i położył się do łóżka.

Od razu zapadł w spokojny, niczym niezakłócony sen. Była to jego pierwsza noc od czasu, gdy przyjechał do Ameryki, gdy jutro nie groziła mu kolejna walka z siłami losu.

Obudził się w południe i powędrował do kafeterii, gdzie kucharz przyrządził mu pysznego, zachodniego, trzypiętrowego sandwicza i kawę. Potem wrócił do swego pokoju i napisał szczegółowy raport dla FBI w Tampie. W ogóle nie wspomniał o złocie w akwariach, obawiając się, żeby Byk nie zwinął swych interesów na Jamajce, bo jeszcze należało je zbadać i wyjaśnić. Bond wiedział, że jakiegokolwiek szkód nawyrządzał machinie mister Biga w Ameryce, nie ma to wpływu na istotę jego misji: odkrycie, skąd pochodzi to złoto, przechwycenie go i w miarę możliwości zniszczenie samego Byka.

Pojechał na lotnisko i zdążył niemalże co do minuty na srebrzysty, czterosilnikowy samolot. Zostawił samochód Leitera na parkingu, zgodnie z tym, co zapowiedział w raporcie dla FBI. Chyba nawet nie musiał informować o tym Biura, bo ujrzał mężczyznę ubranego bez sensu w płaszcz przeciwdeszczowy, facet kręcił się po sklepie z pamiątkami, ale nic nie kupował. Takie płaszcze to niemalże mundur FBI. Bez wątpienia chcą się upewnić, czy wsiadł do samolotu. Woła się go już pozbyć. Gdziekolwiek stąpnął w Ameryce, trup słał się gęsto. Przed wejściem do samolotu jeszcze zadzwonił do szpitala w St Petersburgu. A potem żałował; Leiter wciąż nie odzyskał przytomności i nie było żadnych nowin. Dobrze, zadeszują, kiedy będzie już coś wiadomo.

O piątej po południu okrążyli zatokę Tampa i polecieeli na wschód. Słońce wisało nisko nad widnokręgiem. Wielki odrzutowiec z Pensacoli przemknął po lewej, zachowując dystans i ciągnąc za sobą cztery smugi kondensacyjne, które zawisały w spokojnym powietrzu. Niebawem dokończy okrążenia i podejdzie do lądowania

na tym wybrzeżu Zatoka Meksykańskiej, pełnym staruszków w kwiecistych koszulach. Bond cieszył się, że jest już w drodze ku miękkim, zielonym biodrom Jamajki i zostawia za sobą ogromny, twardy ląd Eldorado.

Samolot przeniósł się nad kibicią Florydy, nad obszarami bagien i dżungli bez śladów ludzkiej egzystencji, a jego światła pozycyjne mrugały na czubkach skrzydeł na zielono i czerwono w gęstniejącym mroku. Niebawem znaleźli się nad Miami i całym tym łańcuchem żarłocznych pułapek ciągnących się monstrualnie na Wschodnim Wybrzeżu, z arteriami jarzącymi się od neonów. Po lewej stronie autostrada numer 1 znikła gdzieś w górze wybrzeża w złotej wstędze moteli, stacji benzynowych i kiosków z sokami owocowymi, ciągnących się przez Palm Beach i Daytonę po Jacksonville odległe o pięćset kilometrów. Bond pomyślał o śniadaniu, które jadł w Jacksonville niecałe trzy dni temu, i o wszystkim, co zdarzyło się od tej pory. Już niedługo, po krótkim przystanku w Nassau, przeleci nad Kubą, może nad tą kryjówką, w której Byk umieścił Solitaire. A ona posłyszysz warkot samolotu i być może spojrzawszy instynktownie ku niebu, wyczuje, że był przez chwilę tak blisko.

Bond zastanawiał się, czy spotkają się jeszcze kiedykolwiek i dokończą to, co się zaczęło. Ale to musiałyby nastąpić później, kiedy jego misja dobiegnie końca: jako nagroda u kresu tej niebezpiecznej drogi, na którą wstąpił trzy tygodnie temu we mgle londyńskiej.

Po koktajlu i wczesnej kolacji wylądowali w Nassau i spędzili pół godziny na najbogatszej wyspie świata, piaszczystym skrawku, gdzie tysiąc milionów funtów zalęknionych szterlingów zagrzebało się w piasku i leży pod stołami do kanasty, a bungalowy obsypane drobnym łupieżem pandanów i kazuaryny przechodzą z rąk do rąk po pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Zostawili za sobą ten platynowy przystanek na żądanie i po niedługim czasie mijali już mieniące się jak macica perłowa światła Hawany, jakże różne w swej pastelowej skromności od jaskrawych barw podstawowych, jakimi w nocy jarzą się miasta amerykańskie.

Znajdowali się na pięciu tysiącach metrów, kiedy - zaraz po przełocie nad Kubą - wpadli w jedną z tych gwałtownych burz tropikalnych, które nagle przeobrażają samoloty z wygodnych saloników w miotające się śmiertelne pułapki. Wielka maszyna potykała się i zapadała, to rycząc śmigłami w próżni, to wgrzyzając się nimi zgrzytliwie w ściany zimnego powietrza. Kadłub trząsał się i huśtał. Zastawa tłukła się w bufecie, a potężna ulewa grzmociła w okna z pleksi-głasu.

Bond tak się uchwycił poręczy fotela, że aż uraził się w lewą dłoń i cicho zaklął pod nosem.

Spojrzał na siatkowy pojemnik z czasopismami i pomyślał: niewiele nam z nich przyjdzie, kiedy stał zmęczy się na pięciu tysiącach metrów; ani z tej wody kolońskiej w toalecie; ani z bogatego menu, ani z darmowej golarki, ani ze storczyka „dla małżonki” trzęsącego się teraz w lodówce. A już najmniej z tych pasów bezpieczeństwa i kamizelek ratunkowych z gwizdkiem, który - jak to zademonstrował steward - naprawdę gwizdże, i z tą prześliczną świecą czerwonolatareczką.

Nie. Kiedy naprężenia staną się za duże dla zmęczonego metalu, gdyż na lotnisku mechanik sprawdzający urządzenia przeciwdziałające oblodzeniu miał kłopoty sercowe i zaoszczędził sobie fatygi gdzieś tam w Londynie, w Idlewild, Gander czy w Montrealu; kiedy zdarzy się któraś z tych rzeczy albo wielu innych, wówczas ten przytulny pokój z doczepionymi z przodu śmigłami mimo wszelkich

wysiłek spada z nieba prosto do morza lub na ziemię, bo jest cięższy od powietrza i zawodny. A czterdziestka cięższych od powietrza ludzików, ciężko zawiedzionych w tej zawodnej maszynie, na próżno silących się w swej próżności wyższego rzędu, spada razem z nim, robiąc małe dziurki w ziemi albo wpadając z pluskiem do morza. Co i tak jest im przeznaczone, więc o co chodzi? Jesteśmy zależni od niedbałych paluchów jakiegoś mechanika w Nassau tak samo, jak zależni jesteśmy od głupawej łepetyny jakiegoś półgłówka w rodzinnej landarze, któremu się pomyliło czerwone światło z zielonym i zderza się z nami czołowo pierwszy i ostatni raz w życiu, kiedy wracamy sobie spokojnie do domu. I nie ma na to rady. Zaczynasz umierać w momencie, kiedy się rodzisz. Odtąd już całe życie to przekładanie talii ze śmiercią. Dlatego nie przejmuj się. Zapal papierosa i ciesz się, że jeszcze żyjesz i zaciągasz się głęboko dymem. Twoje gwiazdy już pozwoliły ci przewędrować nieliczy kawałek drogi od czasu, gdy wydostałeś się z matczynego łona i zakwiliłeś na zimnym powietrzu. Może nawet pozwolą ci jeszcze i tej nocy dotrzeć na Jamajkę. Czyżbyś nie słyszał tych radosnych głosów dobiegających z wieży kontrolnej, które powtarzały spokojnie przez cały dzień: - Możesz lądować, BOAC. Możesz lądować, Panam. Możesz lądować, KLM. - Czyżbyś nie słyszał, jak i ciebie przywołują: - Możesz lądować, Transcarib. Możesz lądować. - Nie trać wiary w te swoje gwiazdy. Przypomnij sobie, jak ubiegłej nocy spojrzales w lufę i śmierci w oczy. A jednak żyjesz? No proszę, już to mamy poza sobą. Takie przypomnienie, że chociaż szybko wyciągasz spluwę, to jeszcze nie oznacza, że jesteś twardzielem. Żebyś pamiętał. To szczęśliwe lądowanie na lotnisku Palisadoes dostałeś w prezencie od swoich gwiazd. Lepiej im podziękuj.

Bond odpiął pas i otarł spoconą twarz.

A do diabła z tym! - pomyślał, wychodząc z olbrzymiego, mocnego samolotu.

Na lotnisku czekał na niego Strangways, główny agent Secret Service na Karaibach, więc po chwili miał za sobą kontrolę celną, imigracyjną i dewizową.

Dochodziła już prawie jedenasta. Noc była cicha i upalna. Przeróżnie ćwierkały świerszcze w kaktusach przypominających dildo, rosnących po obydwu stronach drogi wiodącej z lotniska, i Bond z rozkoszą chłonał dźwięki i zapachy tropików, kiedy wojskowy dżip, wioząc ich, ściał narożną dzielnicę Kingston i wjechał na połyskliwe od księżycy pagórki będące początkiem Gór Niebieskich.

Rozmawiali monosylabami, dopóki nie rozsiedli się na wygodnej werandzie schludnego, białego domu Strangwaysa przy Junction Road u podnóża Stony Hill.

Strangways nalał dla każdego po mocnej whisky z wodą sodową, po czym przedstawił zwięźle całą sprawę od strony Jamajki.

Był to szczupły, pełen humoru mężczyzna lat około trzydziestu pięciu, dawniej kapitan w Wydziale Specjalnym Ochotniczej Rezerwy Floty Królewskiej. Miał czarną przepaskę na oku i ten przystojny, orli profil, co kojarzy się z mostkiem kapitańskim niszczyciela. Ale twarz jego była ciężko pobrużdżona pod opalenizną i Bond wyczuwał z jego prędkich gestów i urywanych zdań, że jest zdenerwowany i spięty. Na pewno nie brakowało mu sprawności ani poczucia humoru i nie wykazywał żadnych objawów zawiści, że ktoś przysłany z kwatery głównej wpycha się na jego terytorium. Bond czuł, że będzie im się dobrze współpracowało, i z góry się na to cieszył.

Oto co mu powiedział Strangways.

Zawsze mówiło się, że na Wyspie Niespodzianek jest ukryty skarb, a wszystko, co wiadomo o Krwawym Morganie, podtrzymywało te pogłoski.

Ta mała wysepka leży dokładnie w środku niedużej Zatoki Rekinów, tam gdzie kończy się Junction Road, przecinająca Jamajkę w przewężeniu od Kingston do północnego wybrzeża.

Wielki bukanier uczynił z Zatoki Rekinów swoją kwaterę główną. Wolał, żeby cała szerokość wyspy dzieliła go od gubernatora w Port Royal, co pozwalało mu całkiem niepostrzeżenie wymykać się i wracać na wody Jamajki. Gubernatorowi ten układ również był na rękę. Korona wolała przymykać oko na piracką działalność Morgana, dopóki Hiszpanie nie zostaną wyparci z Karaibów. Gdy to wreszcie nastąpi, Morgan otrzyma w nagrodę szlachectwo i zostanie gubernatorem Jamajki. A do tego czasu trzeba się od jego działalności odcinać, ażeby uniknąć wojny z Hiszpanią w Europie.

Toteż przez długie lata, zanim nadejdzie czas, aby kłusownik stał się leśniczym, Zatoka Rekinów służyła Morganowi jako port macierzysty. Na sąsiedniej posiadłości zbudował trzy domy i ochrzcił ją Llanrumney od swej rodzinnej miejscowości w Walii. Nazywano je domami Morgana, Doktora i Pani. W ich ruinach do dziś znajduje się sprzączki i monety.

Jego statki zawsze kotwiczyły w Zatoce Rekinów, a do skrobania kładł je po zawiętrznej stronie Wyspy Niespodzianek, urwistej skały z wapienia i koralowca, wystrzelającej pośrodku zatoki i zwieńczonej płaskowyżem porośniętym dżunglą, o powierzchni może pół hektara.

Kiedy w roku 1683 po raz ostatni opuszczał Jamajkę, miał być z wolnej stopy sądzony przez równych sobie za obrazę Korony. Swoje skarby zostawił gdzieś na Jamajce i zmarł w ubóstwie, nie zdradziwszy miejsca ich ukrycia. A musiały to być ogromne bogactwa: owoc

licznych wypraw na Hispaniolę, niezliczonych okrętów ze skarbami zdobytych w drodze do La Plata, splądrowania Panamy i grabieży na Maracaibo. Ale znikły bez śladu.

Zawsze domyślano się, że tajemnica kryje się gdzieś na Wyspie Niespodzianek; ale z dwustu lat nurkowania i kopania przez poszukiwaczy skarbów nic nie wynikło. Po czym zaledwie sześć miesięcy temu, rzekł Strangways, wydarzyły się dwie rzeczy w ciągu paru tygodni: z wioski nad Zatoką Rekinów znikł bez śladu młody rybak, a pewien anonimowy syndykat z Nowego Jorku odkupił wysepkę za tysiąc funtów od Llanrumney Estate, zajmującej się uprawą bananów i hodowlą bydła.

Kilka tygodni po transakcji zawiął do Zatoki Rekinów jacht *Secatur* i rzucił kotwicę u brzegu wysepki po zawietrznej, na starym kotwicowisku Morgana. Załoga składała się wyłącznie z Murzynów. Wzięli się do roboty i wyrąbawszy schody w ścianie skalnej, pobudowali na szczycie wysepki niskie baraki z patyków i gałązek, splecionych i obrzuconych gliną, w stylu zwanym na Jamajce *wattle-and-daub*.

Byli chyba całkowicie zaopatrzeni w żywność i od rybaków w zatoce kupowali jedynie wodę pitną i świeże owoce.

Ich małomówna i zdyscyplinowana gromada nie sprawiała nikomu kłopotu. Odprawy celnej dokonali w sąsiednim Port Maria, wyjaśniając, że przybyli tu, aby łowić ryby tropikalne, zwłaszcza ich jadowne gatunki, i zbierać rzadkie muszle dla spółki Uroboros z St Petersburga. Urządziwszy się, zaczęli skupować je w dużych ilościach od rybaków w Zatoce Rekinów, Port Maria i Oracabessa.

Przez tydzień z wyspy dolatywał huk eksplozji i poinformowano wszystkich, że w ten sposób robi się duży basen dla ryb.

Secatur zaczął kursować regularnie co dwa tygodnie po Zatoce Meksykańskiej i obserwatorzy z lornetkami potwierdzili, że przed

każdym rejssem bierze ładunek składający się z przenośnych pojemników na ryby. Pół tuzina mężczyzn nie opuszczało wyspy. Podpływające do niej czółna odpędzał strażnik wysiadujący po całych dniach z wędką u podnóża wykutych w skale schodów, na wąskim pomoście, przy którym *Secatur* zawsze stawał na dwóch kotwicach, dobrze osłonięty od wiatrów, zwykle wiejących tu z północnego wschodu.

Nikomu nie udało się wylądować na wyspie za dnia, nocą zaś, po dwóch tragicznie zakończonych próbach, nikt już tam nie usiłował się dostać.

Pierwszej próby dokonał miejscowy rybak, zachęcony krążącymi wciąż pogłóskami o ukrytym skarbie, których nie potrafiła stłumić żadna gadanina o rybach tropikalnych. Wypuścił się wpływ którejś ciemnej nocy i nazajutrz ciało jego morze wyrzuciło na rafy. Rekiny i barakudy zostawiły z niego sam tułów i kawałek uda.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy powinien był dotrzeć do wyspy, całą wioskę nad Zatoką Rekinów obudziło jakieś przeokropne bębnienie. Dobiegało ono jakby z wnętrza wysepki. Rozpoznano w nim bębny wudu. Zaczęło się po cichu i z wolna urosło w grzmiące crescendo. Potem znów zamarło i ucichło. W sumie trwało to jakieś pięć minut.

Odtąd wyspa stała się *juju* albo *obeah*, jak mówią na Jamajce, i nawet za dnia czółna nie zbliżały się do niej.

Tymczasem zainteresował się nią Strangways i przesłał szczegółowy raport do Londynu. Ze względu na olbrzymie złoża boksytów, odkryte na wyspie i eksploatowane przez Reynolds Metal & Kaiser Corporation, od 1950 roku Jamajka stała się ważnym celem strategicznym. Strangways dopuszczał ewentualność, że za tym przedsięwzięciem na Wyspie Niespodzianek może się kryć budowa bazy dla

jednoosobowych okrętów podwodnych na wypadek wojny, tym bardziej że w zasięgu Zatoki Rekinów znajdowałyby się trasa statków Reynoldsa, kursujących z nowej, oddalanej o kilka mil przystani boksytowej w Ocho Rios.

London przekazał ten raport do Waszyngtonu i wyszło na jaw, że nowojorski syndykat, który zakupił wyspę, stanowi wyłączną własność Byka.

Było to trzy miesiące temu. Strangways otrzymał polecenie, aby za wszelką cenę spenetrował Wyspę Niespodzianek i odkrył, co się tam dzieje. Wynikła z tego nie była jaka operacja. Wynajął w zachodniej części Zatoki Rekinów posiadłość zwaną Beau Desert. Mieściły się tam ruiny jednego ze sławnych na Jamajce Wielkich Domów z początku XIX stulecia i współczesny budynek plażowy na wprost miejsca, gdzie *Secatur* miał przystań u Wyspy Niespodzianek.

Sprowadził dwóch świetnych płetwonurków z bazy marynarki wojennej na Bermudach i zorganizował ciągłą obserwację wyspy przez lornetki dzienne i nocne. Nie stwierdziwszy nic podejrzanego, wysłał w ciemną i spokojną noc obu płetwonurków, aby przeprowadzili podwodne rozpoznanie zanurzonej części podnóża wyspy.

Strangways opisał swe przerażenie, kiedy godzinę po tym, jak wyruszyli, aby przepłynąć te trzysta metrów, gdzieś ze skalistego wnętrza wyspy dobiegło budzące trwogę bębnienie.

Dwaj mężczyźni tej nocy nie wrócili.

Następnego dnia morze wyrzuciło ich w różnych częściach zatoki. Właściwie nie tyle ich, ile resztki niedojedzone przez rekiny i barakudy.

Tu Bond przerwał Strangwaysowi opowieść.

- Chwileczkę - powiedział. - Co to właściwie znaczy? Ciągłe te rekiny i barakudy! Przecież w tutejszych wodach one raczej nie

atakują. Nie ma ich aż tyle koło Jamajki i na ogół nie żerują w nocy. Poza tym nie wierzę, aby jedne albo drugie rzucały się na ludzi, jeżeli w wodzie nie ma krwi. Mogą co najwyżej sporadycznie, z ciekawości, chapnąć za jakąś białą stopę. Czy kiedykolwiek przedtem zachowywały się tak wokół Jamajki?

- Nie zdarzyło się to od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy w przystani Kingston coś odgryzło stopę dziewczynie - odrzekł Strangways. - Przebierała nimi w górę i w dół, ciągnięta przez motorówkę. Te białe stopy musiały wyglądać nadzwyczaj apetycznie. A do tego posuwały się akurat z odpowiednią szybkością. Pana wątpliwości każdy tu potwierdzi. Poza tym moi ludzie mieli harpuny i noże. Wydawało mi się, że niczego nie zaniedbałem dla ich ochrony. Okropna sprawa. Wyobraża pan sobie, jak się czułem. Od tego czasu nie podejmowaliśmy już tego typu działań, tylko staraliśmy się dostać tam legalnie, przez Urząd Kolonialny i przez Waszyngton. Bo ta wyspa, rozumie pan, należy teraz do Amerykanina. Cholernie się to wlecze, tym bardziej że nic na nich nie mamy. Natomiast wygląda na to, że ich ktoś znakomicie osłania gdzieś w Waszyngtonie, że już nie wspomnę o kilku pierwszorzędnych prawnikach od spraw międzynarodowych. Stoimy w miejscu. Londyn kazał mi się wstrzymać do pańskiego przyjazdu. - Strangways pociągnął whisky i spojrzał wyczekująco na Bonda.

- Co porabia *Secatur*? - zapytał Bond.
- Jak dotąd znajduje się na Kubie. Według CIA ma odplłynąć mniej więcej za tydzień.
- Ile dotąd wykonał rejsów?
- Około dwudziestu.

Bond przemnożył w myśli 150 tysięcy dolarów przez dwadzieścia. Jeżeli trafnie odgaduje, to Byk wywiózł już z wyspy około miliona funtów szterlingów w złocie.

- Kilka rzeczy wstępnie już dla pana przygotowałem - rzekł Strangways. - Ten dom w Beau Desert. Dwudrzwiowego sunbeam talbota z nowymi oponami. To szybka maszyna. W sam raz na tutejsze drogi. Mam też dobrego człowieka, który przyda się panu jako prawa ręka. To wyspiarz z Kajmanów, Quarrel. Najlepszy pływak i rybak na Karaibach. Nadzwyczaj gorliwy. Przemięły facet. Wynająłem też wypoczynkowy bungalow Towarzystwa Cytrusowego Indii Zachodnich w Zatoce Manatów. To na przeciwległym końcu wyspy. Może pan tam odpocząć przez tydzień i trochę poćwiczyć, zanim się pojawi *Secatur*. Musi pan być w szczytowej formie, żeby podjąć próbę przedostania się na Wyspę Niespodzianek, a szczerze powiedziawszy, nie widzę innego wyjścia. Co jeszcze mogę dla pana zrobić? Oczywiście zawsze będę pod ręką, tylko muszę się trzymać w pobliżu Kingston, żeby kontaktować się z Londynem i Waszyngtonem. Będą chcieli wiedzieć na bieżąco wszystko, co tu robimy. Czy mam panu coś jeszcze załatwić?

Bond właśnie podejmował decyzję.

- Owszem - powiedział. - Proszę zwrócić się do Londynu, żeby Admiralicja wypożyczyła nam ubiór pływaka wraz z butlami na sprężone powietrze. Do tego sporo butli zapasowych. Dwie podwodne kusze dobrej jakości. Najlepsze są francuskie marki Champion. Porządna latarka do nurkowania. Nóż komandoski. Z Muzeum Historii Naturalnej wszystko, czego się zdołają dowiedzieć o barakudach i rekinach. I trochę tego środka do odpędzania rekinów, którego Amerykanie używali na Pacyfiku. Niech BOAC dostarczy to wszystko bezpośrednio.

Tu Bond przerwał na moment.

- Ach tak - dodał. - I jeszcze to, czego nasi dywersanci w czasie wojny używali przeciw okrętom. Mina magnetyczna z pełnym asortymentem zapalników.

XVII Wiatr pogrzebowy

Papaja z plasterkiem limonki, naczynie piętrzące się od czerwonych bananów, purpurowych owoców złotolistu kainito w kształcie gwiazdy i mandarynek, jajecznicza z bekonem, najwspanialsza na świecie kawa Blue Mountain, prawie czarny dżem pomarańczowy z Jamajki i galaretka z gujawy.

Ubrany w szorty i sandały Bond zjadł śniadanie na werandzie i wpatrzony w słoneczną panoramę Kingston i Port Royal pomyślał, jak szczęśliwy się czuje i jakie to cudowne momenty zadośćuczynienia za mroki i niebezpieczeństwa jego zawodu.

Jamajka była mu dobrze znana. Przebywał tu dłuższy czas w misji zaraz po wojnie, kiedy główna kwatera komunistów na Kubie starała się infiltrować związki zawodowe na Jamajce i nimi zawładnąć. Nie do końca podobała mu się ta robota, jednakże pokochał wielką zieloną wyspę i jej mieszkańców, lojalnych i pełnych humoru. Teraz cieszył się, że jest tu z powrotem i że ma cały tydzień wytchnienia, zanim go znów pochłonie ponure zajęcie.

Po śniadaniu na werandzie pojawił się Strangways i z nim wysoki mężczyzna o brązowej skórze w spłowiałej niebieskiej koszuli i znoszonych brązowych spodniach z diagonału.

Był to Quarrel, ten wyspiarz z Kajmanów, i Bond od razu go polubił. Znać było w nim krew żołnierzy Cromwella i bukanierów, twarz miał kanciąstą, usta zacięte, a oczy były szare. Tylko spłaszczony nos i jasne wnętrza dłoni świadczyły o domieszce krwi muryńskiej.

Bond uściśnął mu dłoń i potrząsnął.

- Dzień dobry, kapitanie - przemówił Quarrel. Wywodził się z najślawniejszej rasy żeglarskiej świata i nie znał bardziej zaszczytnego tytułu. Ale wcale nie chciał się przypodobać i nie było w nim śladu pokory. Mówił jak pierwszy po kapitanie na okręcie. Zachowanie jego było prostolinijne i szczerze.

Ta chwila określiła ich wzajemne stosunki. Jak pomiędzy szkockim dziedzicem i jego głównym tropicielem zwierzchnictwo nie wymagało słów i nie było miejsca na służalczość.

Omówili plan dalszego działania i Bond usiadł za kierownicą małego samochodu, którym Quarrel przyjechał z Kingston. Odjechali Junction Road, a Strangways pozostał, aby zająć się realizacją zamówień Bonda.

Ruszyli przed dziewiątą i było jeszcze chłodno, gdy przecinali góry biegnące po grzbiecie Jamajki jak pancerny grzebień po kręgosłupie krokodyla. Droga opadała ku północnym równinom, wijąc się w jednej z najpiękniejszych na świecie okolicy, a tropikalna roślinność zmieniała się wraz z wysokością. Zielone zbocza wyżyn, gęsto upierzone bambusem przetykanym tu i ówdzie ciemną, połyskliwą zielenią chlebowca lub nagłym fajerwerkiem deloniksu o szkarłatnych kwiatach, ustępowały niżej położonym lasom hebanowców, mahoniowców, ketmii i modrzejców. A kiedy zjechali na równinę położoną w dolinie Aguaita, zielone morze trzciny cukrowej i bananowców rozlało się aż po dalekie obrzeże jakby z eksplodujących połyskliwie szrapneli, a były to gaje palmowe na północnym wybrzeżu.

Quarrel sprawdził się w drodze jako dobry kompan i wspaniały przewodnik. Opowiadał o pająkach drążących w ziemi pułapki, gdy jechali przez słynne ogrody palmowe w Castleton, o widzianej przez siebie walce między ogromną skolopendrą a skorpionem i czym

różni się męskie drzewo papai od żeńskiego. Opisywał leśne trucizny i lecznicze właściwości ziół tropikalnych; jakie ciśnienie wywiera kieltek palmowy, żeby rozłupać skorupę kokosa; jak długie języki mają kolibry; i jak krokodyle noszą swe małe w pysku poukładane wzdłuż niby sardynki w puszcze. Wyrażał się precyzyjnie, choć nie fachowo, posługując się angielszczyzną z Jamajki, w której roślina okazuje się „bujna” albo „licha”, o ómach mówi się „gacki”, a „kochać” używa się zamiast „lubić”. Nie przerywając mówienia, pozdrowiał uniesioną dłonią ludzi spotykanych na drodze, a oni machali mu w odpowiedzi i wykrzykiwali jego nazwisko.

- Znasz tu mnóstwo ludzi - rzekł Bond, kiedy kierowca przepełnionego autobusu z wielkim napisem ROMANCE na przedniej szybie pozdrowił go paroma dźwiękami klaksonu.

- Bo żem pilnował Niespodzianki trzy miesiące, kapitanie - wyjaśnił Quarrel - i dwa razy w tygodniu żem tędy jeździł. Na Jamajce zaraz wszyscy cię znają. Ma się oko.

O wpół do jedenastej przejechali Port Maria i skręcili w wąską drogę wiejską prowadzącą ku Zatoce Rekinów. Nagle zjawiła się pod nimi na którymś zakręcie i Bond zatrzymał samochód. Wysiedli.

Zatoka miała kształt półksiężyca i rozpiętości niewiele ponad kilometr. Jej błękitną powierzchnię marszczyła leciutka bryza, wiejąca z północnego wschodu, sam rąbek pasatów, które się rodzą o pięćset mil stąd w Zatoce Meksykańskiej i stamtąd ruszają w długą podróż dookoła świata.

Półtora kilometra od miejsca, gdzie stali, długa linia grzywaczy ukazywała rafę ciągnącą się tuż przed zatoką i niezmaconą toń wąskiego przejścia - jedynie tamtędy wiódł dostęp na kotwicowisko. A w środku półksiężyca Wyspa Niespodzianek sterczała z wody pionowo na trzydzieści metrów, drobne fale uderzały w jej wschodnie

podnóże, natomiast po zawietrznej woda spoczywała bez ruchu.

Niemalże okrągła, wyglądała jak szary, wysoki tort z zielonym lukrem na wierzchu, na talerzu z błękitnej porcelany.

Zatrzymali się jakieś trzydzieści metrów ponad garstką chat rybackich za obrzeżoną palmami plażą zatoki, na poziomie płaskiego zielonego szczytu wyspy, oddalonego o niecały kilometr. Quarrel wskazał na strzechy szop kryjących się między drzewami pośrodku wyspy. Bond przyjrzał się im przez lornetkę Quarrela. Ani śladu życia, jeśli nie liczyć smużki dymu zdmuchiwanej przez bryzę.

Pod nimi woda zatoki była bladozielona, pod nią połykiwał biały piasek. Dalej kolor jej pogłębiał się w granat stykający się z łamanymi brązami podwodnej rafy wewnętrznej, biegnącej szerokim półkolem sto metrów od wyspy. Dalej znów był granat z jaśniejszymi prześwitami błękitu i akwamaryny. Quarrel wyjaśnił, że kotwiczowisko *Secatura* ma głębokość około dziesięciu metrów.

Po lewej, w środku zachodniego zakola, w gęstwinie drzew za małą plażą, świecącą białym piaskiem, znajdowała się ich baza operacyjna - Beau Desert. Quarrel opisał jej położenie i Bond spędził dziesięć minut na przyglądaniu się trzystu metrom toni morskiej, oddzielającej to miejsce od kotwiczowiska *Secatura* u podnóża wysepki.

W sumie godzinę zajęło Bondowi rozpoznanie terenu, po czym, nie zbliżając się do swego domu ani do wioski, zawrócili samochód i wyjechali z powrotem na główną drogę ciągnącą się wzdłuż wybrzeża.

Ruszyli dalej przez piękny, mały port Oracabessa, gdzie ładowano na statki banany, i przez Ocho Rios z nową, olbrzymią przetwórną boksytu, o dwie godziny drogi wzdłuż północnego wybrzeża do Montego Bay. Był luty i pełnia sezonu. Nieduża wieś i rozsypane wokół wielkie hotele przeżywały czteromiesięczną gorączkę złota,

która zapewniała im utrzymanie na cały rok. Zatrzymali się pod zajazdem po drugiej stronie rozległej zatoki, zjedli lancz i pojechali dalej w upalne popołudnie ku zachodniemu cyplowi Jamajki, odległemu jeszcze o dwie godziny drogi.

Tutaj, ze względu na olbrzymie bagna przybrzeżne, nic się nie wydarzyło od czasu, gdy Kolumb chwilowo zakotwiczył w Zatoce Manatów. Rybacy z Jamajki zastąpili Arawaków, poza tym jednak czas się tu jakby zatrzymał.

Bond pomyślał, że to najpiękniejsza plaża, jaką oglądał w życiu: te osiem kilometrów białego piasku, schodzącego łagodnie w pianę przyboju, i za nimi palmy rozsypane aż po widnokrąg. Pod nimi szare czółna, wyciągnięte na brzeg obok różowych wzgórków bezużytecznych muszli, a między nimi dym unoszący się z pokrytych palmową strzechą szałasów rybackich stojących w cieniu pomiędzy bagniskami a morzem.

Na polanie między szałasami stał na spłachetku trawy bermudzkiej dom na słupach, zbudowany dla pracowników Towarzystwa Cytrusowego Indii Zachodnich jako miejsce wypoczynku w czasie weekendów. Słupy zabezpieczały od termitów, a gęste siatki druciane od moskitów i mustyków. Bond zjechał z drogi gruntowej i zaparkował pod budynkiem. Podczas gdy Quarrel wybierał dwa pokoje i doprowadzał je do porządku, Bond owinął się w pasie ręcznikiem i zszedł między palmami do morza oddalonego o dwadzieścia metrów.

Przez godzinę pływał albo wylegiwał się nieruchomo w ciepłej słonej wodzie, myśląc o Wyspie Niespodzianek i jej sekrecie, utrwalając sobie w myśli te trzysta metrów, zastanawiając się nad rekinem, barakudą i resztą morskich zagrożeń - nad tym ogromnym zbiorem ksiąg, których człowiek nie może odczytać.

W drodze powrotnej do niewielkiego drewnianego bungalowu Bonda po raz pierwszy ugryzł mustyk. Quarrel czmychnął rozba-wiony na widok płaskich bąbli na jego plecach, które niedługo za-czną szaleńczo swędzieć.

- Nie ma sposobu, żeby się od nich opędzić, kapitanie - powie-dział. - Ale znam sposób, żeby nie swędziało. Pierwsza rzecz: weź prysznic i zmyj sól. One tak fest jedzą tylko przez godzinę pod wie-czór i wtedy lubią posolone.

Kiedy Bond wyszedł spod natrysku, Quarrel wydobyl staro-świecką butelkę z medykamentem i poprzykładał do ukąszeń brązo-wy płyn pachnący kreozotem.

- My na Kajmanach mamy od cholery moskitów i mustyków - oznajmił - ale nie zważamy na to, kiedy mamy ten lek.

Nadeszło dziesięć melancholijnych minut krótkiego, tropikalnego zmierzchu, potem rozjarzyły się gwiazdy i księżyc w trzeciej kwa-drze, a morze zamarło do szeptu. Na Jamajce między jednym a dru-gim z jej wielkich wiatrów nastąpiła przelotna cisza, po czym znowu rozszeptaly się palmy.

Quarrel skinął głową w kierunku okna.

- To wiatr pogrzebowy - rzekł.
- Jak to? - spytał go zaskoczony Bond.
- Tak się u żeglarzy nazywa ta zmienna bryza - wyjaśnił Quar-rel. - Bo teraz pogrzebowy od lądu wynosi precz z wyspy złe powie-trze, w nocy od szóstej do szóstej. A potem każdego ranka wiatr lekarski przynosi zdrowe powietrze z morza. Przynajmniej my tak nazywamy je na Jamajce.

Quarrel spojrział z ukosa na Bonda.

- Zdaje mi się, że wiatr pogrzebowy i ty, kapitanie, zajmujecie się mniej więcej tym samym - rzekł na w pół serio.

Bond zaśmiał się krótko.

- Całe szczęście, że nie muszę się trzymać tych samych godzin - odparł.

Na dworze zaczęły cykać i podzwaniać świerszcze i rzekotki, a ogromne ćmy zawisaki rzucały się na drucianą siatkę w oknach i uczepiwszy się jej, dygotały w ekstazie, wpatrując się w dwie zwisające w środku z belek pod sufitem lampy naftowe.

Od czasu do czasu przechodziło po plaży paru rybaków albo grupa rozchichotanych dziewcząt, zmierzając do jedynej, małej knajpki na cyplu zatoki. Nikt by nie szedł sam, bojąc się duchów umarłych pod drzewami albo toczącego się cielca, upiornego zwierzęcia, które toczy się po ziemi z nogami zakutymi w łańcuchy i zionąc ogniem z nozdrzy.

Podczas gdy Quarrel przyrządzał jeden ze swych soczystych posiłków z jarzyn, ryb i jajek, mających stać się odtąd ich zwykłym pożywieniem, Bond usiadł pod lampą i pograżył się w książkach, które Strangways dla niego wypożyczył z Jamaica Institute, książek o morzach tropikalnych i jego mieszkańcach, które napisali Beebe, Allyn i inni, oraz o polowaniu podmorskim, których autorami są Cousteau i Hass. Te trzysta metrów morza zdecydowany był pokonać fachowo i niczego nie zostawić przypadkowi. Wiedział, jakiej miary przeciwnikiem jest Byk i domyślał się, że system obrony Niespodzianki będzie doskonały technicznie. Przypuszczał, że nie zastosowano tam broni tak prostej jak karabin lub materiały wybuchowe. Byk życzył sobie pracować bez przeszkód ze strony policji. Musiał więc trzymać się poza zasięgiem prawa. Bond domyślał się więc, że raczej zaprzął jakoś morskie stworzenia do tego, aby wykonywały za niego robotę, i na tym się skoncentrował: na morderstwach dokonywanych z pomocą rekina i barakudy, może nawet ośmiornicy.

Fakty podawane przez naukowców przejmowały dreszczem, jednakże doświadczenia Cousteau na Morzu Śródziemnym i Hassa na Czerwonym oraz na Karaibach brzmiały nieco bardziej zachęcająco.

Tej nocy sny Bonda pełne były straszliwych spotkań z ogromnymi kałamarnicami i ogońcami, rekinami młotami i barakudami o zębach jak piła, aż pojękiwał i oblewał się potem.

Następnego dnia zaczął trenować pod krytycznym okiem Quarrela. Każdego ranka przed śniadaniem przepływał milę wzdłuż plaży, a potem wracał do bungalowu, biegnąc po twardym piasku. Około dziewiątej wypływali w łodzi pod jednym trójkątnym żaglem, dzięki któremu szybko docierali w górę wybrzeża do zatok Krwawej i Pomarańczowej, gdzie piaski zamieniają się w skały i oczka wodne, a rafa znów zbliża się do brzegu.

Tu wyciągali czołno na brzeg i Quarrel zabierał go na dech zapierające wyprawy z ościeniami, w maskach i ze starą kuszą, w takich wodach, z jakimi Bond będzie miał do czynienia w Zatoce Rekinów.

Polowali spokojnie, oddaleni od siebie o kilka metrów. Quarrel poruszał się bez wysiłku, jakby znajdował się w swoim naturalnym żywiole. Wkrótce i Bond nauczył się nie walczyć z morzem, tylko zawsze poddawać się prądom i wirom, nie szamotać się z nimi, jakby w wodzie stosował taktykę džudo.

Pierwszego dnia wrócił do domu pocięty przez koralowce, w boku mając tuzin kolców jeżowca. Quarrel opatrzył mu rany, używając merthiolatu i meprobamatu. Następnie, jak co wieczór, masował Bonda i nacierał go przez pół godziny olejem palmowym, spokojnie gawędząc o rybach, jakie widzieli tego dnia, objaśniając mu zwyczajne drapieżców i zwierząt żerujących przy dnie, rybi kamuflaż i w jaki sposób zmieniają kolory.

On też nie słyszał, żeby ryba zaatakowała człowieka niesporowiona lub niezwabiona krwią. Wyjaśnił, że w wodach tropikalnych ryby rzadko bywają głodne i że ich uzbrojenie z reguły ma charakter obronny, a nie zaczepny. Jedynym wyjątkiem, co przyznał, jest barakuda. Nazywał ją podłą rybą, tłumacząc, że nie zna lęku, bo nie ma żadnego wroga prócz choroby, i na krótkie odległości osiąga szybkość do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a garnitur zębów ma najgroźniejszy ze wszystkich ryb morskich.

Pewnego dnia ustrzelili jedną, pięciokilową, która ciągle ich okrążała, wtapiając się w szarość i znowu się pojawiając, milcząca, nieruchomo wisząca pod powierzchnią, gniewnym tygrysim okiem łypiąca na nich z tak bliska, że widzieli jej miętko poruszające się skrzelą i zęby wilczo połyskujące w okrutnej, wysuniętej do przodu szczęce.

Wreszcie Quarrel wziął kuszę od Bonda i postrzelił ją w opływowy brzuch. Wtedy rzuciła się wprost na nich, ze szczękami rozdziawionymi szeroko jak u atakującego grzechotnika. Bond dźgnął ją wściekle ościeniem, kiedy już dopadała Quarrela. Chybił, ale oścień ugodził ją prosto w paszczę. Szczęki natychmiast zatrzasnęły się na stalowym pręcie i gdy ryba mało nie wyrwała ościenia Bondowi z ręki, Quarrel wbił w nią nóż. Wtedy oszalała, śmignęła przez wodę z wyprutymi wnętrznościami, z ościeniem zaciśniętym w zębach i harpunem chwiejącym się w ciele. Quarrel ledwie mógł utrzymać linkę, gdy barakuda usiłowała sobie wydrzeć szeroki zadziór przez ściany żołądka, lecz dotarł do kawałka skrytej pod wodą rafy, wdrapał się na nią i z wolna udało mu się rybę przyciągnąć.

Kiedy poderznął jej gardło i we dwóch wyłamali jej z paszczy oścień, znaleźli na nim błyszczące, głębokie rysy wygryzione w stalowym pręcie.

Wyciągnęli rybę na brzeg i Quarrel, odciawszy jej łeb, rozwali szczękę kawałkiem drewna. Górna szczęka uniosła się prawie pod kątem prostym do dolnej, ukazując fantastyczne rzędy ostrych jak brzytwa zębów, które zachodziły na siebie jak dachówki. Nawet język miał kilka szeregów drobnych, spiczastych, odgiętych w tył zębów, a z przodu sterczały dwa olbrzymie kły jak u węża.

Choć ważyła niewiele ponad pięć kilo, osiągnęła blisko metr trzydzieści długości, i przypominała niklowany pocisk z twardych mięśni.

- Nie będziemy więcej strzelać do barakud - rzekł Quarrel. - Gdyby nie ty, poszedłbym na miesiąc do szpitala i może straciłbym twarz. Wygłupiłem się. Gdybyśmy do niej podpłynęli, toby uciekła. Zawsze tak robią. Są tchórzliwe jak wszystkie ryby. A tym się nie przejmuj. - Wskazał na zęby. - Więcej ich nie uświadczysz.

- Mam nadzieję - uśmiechnął się Bond. - Nie mam twarży na zapas.

Pod koniec tygodnia Bond opalił się na słońcu i nabrał krzepy. Papierosy ograniczył do dziesięciu na dzień i nie wypił przez ten czas kropli alkoholu. Przeplątał bez wysiłku trzy kilometry, dłoń mu kompletnie wyzdrowiała i opadły z niego co do jednej łuski życia wielkomiejskiego.

Quarrel nie ukrywał zadowolenia.

- Jesteś już gotów na Niespodziankę, kapitanie - oświadczył - i nie chciałbym być tą rybą, co spróbuje cię pożyć.

Gdy przed zapadnięciem nocy ósmego dnia wrócili do bungalowu, Strangways już na nich czekał.

- Mam dla ciebie dobre nowiny - powiedział. - Twój przyjaciel Felix Leiter wylize się. W każdym razie nie umrze. Musieli mu amputować nogę i pozostałość jednej ręki. Teraz ci od chirurgii

plastycznej wzięli się do odtwarzania twarzy. Wczoraj zadzwonili do mnie z St Petersburga. Najwyraźniej domagał się, żeby ci coś przekazać. Pierwsze, o czym pomyślał, jak tylko mógł znowu myśleć. Kazał ci powiedzieć, jak żałuje, że nie będzie tu z tobą i żebyś szanował nogi - żebyś nie dał ciała - w każdym razie nie tak jak on.

Bond poczuł wzruszenie. Wyjrzał przez okno.

- Powiedz mu, żeby prędko wracał do zdrowia. - Urwał. - I że mi go tutaj brakuje. - Znów ogarnął spojrzeniem pokój. - A co z tym ekwipunkiem? Wszystko w porządku?

- Wszystko załatwione - rzekł Strangways - a *Secatur* odpływa jutro na Wyspę Niespodzianek. Zameldują się w Port Maria i przed nocą już będą stali u siebie na kotwicy. Na statku znajduje się Byk. Dopiero po raz drugi tu przyjeżdża. Aha... i jest także z nimi kobieta. Według CIA to dziewczyna zwana Solitaire. Wiesz coś o niej?

- Niedużo - powiedział Bond. - Ale chciałbym ją stamtąd wy dostać. Ona nie należy do jego bandy.

- Taka jakby prześladowana dziewczina - podsumował to romantyk Strangways. - Doskonale. Według CIA to istne чудо.

Ale Bond wyszedł już na werandę i wypatrywał na niebie swych gwiazd. Nigdy w życiu stawka nie była tak wielka. Tajemnica skarbów, pokonanie wielkiego zbrodniarza, likwidacja komunistycznej siatki szpiegowskiej i zniszczenie jednej z macek Smierszu, okrutnej maszyny, którą obrał za cel. A teraz jeszcze Solitaire - osobiście dla niego największa z nagród.

Gwiazdy mrugały, przesyłając mu alfabetem Morse'a niezrozumiałe komunikaty, on zaś nie miał klucza do tego szyfru.

XVIII Beau Desert

Strangways po kolacji odjechał sam i Bond zgodził się, że z samego świtu oni dwaj ruszą za nim. Strangways zostawił mu kolejny stos książek i broszur o rekinach i barakudach, które Bond z zapalem przewertował.

Niewiele już mogły dodać do wiedzy praktycznej zdobytej dzięki Quarrelowi. Wszystkie były napisane przez naukowców i materiał dotyczący ataków pochodził najczęściej z plaż Pacyfiku, gdzie błyskające w potężnym przyboju ciało z reguły budziło zainteresowanie u wszystkich ryb.

Ale chyba wszyscy zgadzali się co do tego, że zagrożenie jest o wiele mniejsze dla płetwonurka z aparatem tlenowym niż dla pływającego na powierzchni. Zaatakować może rekin niemalże dowolnego gatunku, zwłaszcza gdy podnieci go krew rozchodząca się w wodzie, zapach człowieka lub wyczuwalna wibracja, którą wytwarza w wodzie ktoś zraniony. Nieraz jednak można rekina spłoszyć, jak wyczytał, głośnym hałasem, nawet kłaśnięciem w dłoń nad wodą; ponadto drapieżniki te często uciekają, jeśli sieje goni.

Jako substancja odpędzająca rekiny najlepiej sprawdziło się (w próbach przeprowadzanych przez laboratorium badawcze floty amerykańskiej) połączenie octanu miedzi z ciemno barwiącą nigrozyną i wyglądało na to, że sprasowane kostki tej mieszanki dołącza się obecnie do kamizelek ratunkowych we wszystkich jednostkach amerykańskich sił zbrojnych.

Bond zawołał Quarrela. Wyspiarz z Kajmanów odnosił się do sprawy pogardliwie, dopóki Bond nie przeczytał mu tego, co Departament Marynarki Wojennej miał do powiedzenia o swych badaniach prowadzonych pod koniec wojny ze stadami rekinów pobudzonych

do stanu określonego jako „warunki maksymalnie sprzyjające gromadnej agresji”.

- „...Rekiny zostały przynęcone pod rufę łodzi do połowu krewetek rybimi odpadami - czytał Bond na głos. - Pojawiły się jako kłapiąca pyskami i bryzgająca ławica. Mieliśmy w pogotowiu ceber świeżych ryb i drugi ryb zmieszanych z proszkiem odstraszającym. Przez trzydzieści sekund wyrzucałem szuflą za burtę zwykłe odpadki rybie, a rekiny pożerały je z ogromnym pluskiem. Następnie wziąłem się do ryb z dodatkiem odstraszającym i wyrzucałem je znów przez trzydzieści sekund, którą to procedurę powtórzyłem trzy razy. Przy pierwszej próbie rekiny żerowały bardzo zajadle, zjadając zwykłe ryby tuż za rufą. Po wrzuceniu mieszanki odstraszającej rzucanie się na ryby trwało nie dłużej niż pięć sekund. Gdy zaraz po mieszance odstraszającej znowu podano zwykłe ryby, kilka rekinów powróciło. Przy powtórnej próbie trzydzieści minut później rozwścieczone stado żerowało w ciągu trzydziestu sekund, kiedy im dostarczano zwyczajnych ryb, lecz oddaliło się w tej samej chwili, gdy ryby z środkiem odstraszającym wpadły do wody. Dopóki ów środek znajdował się w wodzie, nie było już żadnych ataków. Przy trzeciej próbie w ogóle nie udało się nam przywabić rekinów bliżej niż na dwadzieścia metrów do rufy”. I co ty na to powiesz? - zapytał Bond.

- Żebyś miał ze sobą to świństwo - odrzekł Quarrel, na którym jednak zrobiło to wrażenie.

Bond zgodził się z nim. Waszyngton zadepeszował, że kostki tej substancji są już w drodze. Ale na razie nie dotarły i nie spodziewano się ich wcześniej niż za czterdzieści osiem godzin. Mimo że nie przyszły, Bond się tym nie przejmował. Nie wyobrażał sobie, żeby płynąc pod wodą ten kawałek do wyspy, natknął się na niebezpieczeństwo.

Zanim poszedł spać, uznał definitywnie, że nic go nie napadnie, jeśli w wodzie nie będzie krwi, albo jeśli nie przekaże zagrażającej mu rybie swego strachu. Jeśli chodzi o skorpeny, mureny i ośmiornice, po prostu musi patrzeć pod nogi. Jego zdaniem ośmiocentymetrowe kolce czarnych jeżowców stanowiły największe ryzyko towarzyszące zwyczajnemu pływaniu podwodnemu w tropikach, lecz ból, jaki mogą sprawić, to za mało, aby mu przeszkodzić w realizacji przedsięwzięcia.

Wyruszyli przed szóstą rano i o wpół do jedenastej znaleźli się w Beau Desert.

Była to piękna stara plantacja o powierzchni może czterystu hektarów z górującymi nad zatoką ruinami wspaniałego niegdyś Wielkiego Domu. Rosły na niej czerwony pieprz i cytrusy, obsadzone wokół iksorą o twardym drewnie i palmami, a jej dzieje sięgały czasów Cromwella. Jej romantyczna nazwa odpowiadała modzie XVIII wieku, kiedy to posiadłościom na Jamajce nadawano takie nazwy jak Bellair, Bellevue, Boscobel, Harmony, Nymphenburg albo Świetlana Przyszłość, Uciecha i Wytchnienie.

Droga między drzewami, niewidoczna z wyspy w zatoce, wiodła do małego domu na plaży.

Po tygodniu biwakowania nad Zatoką Manatów tutejsze łazienki i wygodne meble z bambusa odbierało się jako luksus, a dywany w jaskrawych kolorach były niczym aksamit pod stwardniałymi stopami Bonda.

Przez listewki żaluzji Bond oglądał ogródek, jarzący się od hibiskusów, róż i bugenwilli, a kończący się małym półksiężycem białego piasku, na wpół skrytym za pniami palm. Usiadł na poręczu fotela i przesuwając wzrokiem po rozmaitych brązach i odcieniach niebieskiego morza i raf, aż zatrzymał się na podnóżu wyspy. Jej górną

połowę zasłaniały chylące się pióropusze palm na pierwszym planie, ale znajdujący się w polu jego widzenia kawał pionowej skały wyglądał szaro i groźnie w półcieniu padającym od gorącego słońca.

Quarrel przyrządził lancz na prymusie, żeby dym ich nie zdradził, a po południu Bond znowu się przespał, po czym zajął się wyposażeniem z Londynu, które Strangways przekazał tu z Kingston. Przymierzył strój pletwonurka z cienkiej czarnej gumy, okrywający go od ciasno przylegającego do głowy hełmu z szybą z pleksiglasu aż po długie czarne pletwy na stopach. Strój był dopasowany jak rękawiczka i Bond mógł tylko błogostawić sprawność wydziału Q, jakim rozporządzał M.

Sprawdzili bliźniacze butle, z których każda zawierała po tysiąc litrów powietrza atmosferycznego sprężonego pod ciśnieniem dwustu atmosfer, i Bond przekonał się, że zawór redukcyjny i przełączanie na rezerwę funkcjonują prosto i niezawodnie. Na tych głębokościach, na jakich będzie pracował, zapas powietrza starczy mu prawie na dwie godziny przebywania pod wodą.

Była też nowa i potężna kusza z harpunami typu Champion i nóż komandoski zaprojektowany podczas wojny przez firmę Wilkinson. I wreszcie w pudle, pokrytym nalepkami z napisem NIEBEZPIECZNE, ciężka mina dywersyjna w postaci płaskiego stożka materiału wybuchowego na podstawie nabijanej miedzianymi wybrzuszeniami, tak potężnie namagnesowana, żeby uczepiła się jak rzep każdego metalowego kadłuba. Dołączono do niej tuzin metalowych i szklanych zapalników w kształcie ołówka, nastawionych na czas od dziesięciu minut do ośmiu godzin, i starannie opracowaną instrukcję, równie prostą jak reszta wyposażenia. Nie brakowało nawet pudełka z tabletkami benzedryny, wzmagającymi wytrzymałość i spostrzegawczość przy wykonywaniu zadania, oraz całej gamy latarek

podwodnych, nie wyłączając takiej, która rzuca tylko snop światła cienki jak ołów.

Bond i Quarrel wszystko to przejrzeni, sprawdzając złącza i styki, aż uznali, że nic więcej nie da się zrobić, po czym Bond zszedł pomiędzy drzewami na dół i długo przyglądał się wodom zatoki, zgađując gębokości, wytyczając trasy przez wyłomy w rafach i przewiđując ruch księżyca, który będzie dla niego jedynym punktem odniesienia w tej ryzykownej wyprawie.

O piątej przyjechał Strangways i przywiózł wiadomości o *Secaturze*.

- Wyłynęli z Port Maria - oznajmił. - Bęđą tu najdalej za dzieść minut. Byk ma paszport na nazwisko Gallia, a dziewczyna Latrelle, Simone Latrelle. Przebywała w kabinie złożona, jak to określił murzyński kapitan *Secatura*, chorobą morską. Może to i prawda. Na pokładzie mają dziesiątki pustych pojemników na ryby. Ponad setkę. Poza tym nic podejrzanego, toteż ich przepuszczono. Zamierzałem wejść na pokład jako jeden z celników, ale pomyślałem, że niech tym razem wszystko będzie absolutnie normalne. Byk nie wyjrzał ze swej kabiny. Kiedy weszli, aby sprawdzić jego papiery, czytał książkę. Jak tam wyposażenie?

- Idealne - powiedział Bond. - Zadziałamy chyba jutrzejszej nocy. Mam nadzieję, że będzie trochę wiatru. Nie byłoby dobrze, gdyby dostrzegli pęcherzyki powietrza.

Wszedł Quarrel.

- Juź wplywa za rafę, kapitanie.

Podeszli do brzegu, ale nie za blisko, i skierowali na statek lornetki.

To był ładny jacht, czarny z szarą nadbudówką, dwadzieść metrów długości, zbudowany do szybkiej żeglugi. Wyciąga co najmniej

dwadzieścia węzłów, pomyślał Bond. Znane mu były dzieje tego statku, zbudowanego w 1947 roku dla pewnego milionera. Jednostkę napędzały dwa diesle General Motors, miała stalowy kadłub i wszystkie najnowsze urządzenia radiowe, aż po telefon umożliwiający połączenie statku z lądem i system nawigacyjny Decca. Na salingu wywieszono Czerwony Proporzec, a na rufie flagę amerykańską. Jacht sunął z prędkością może trzech węzłów przez siedmiometrowy otwór w rafie.

Już wewnątrz rafy wykonał ostry zwrot i wyszedł na wyspę od nawietrznej. Minąwszy ją, kapitan przerzucił ostro ster i podszedł do wyspy lewą burtą. Równocześnie trzech Murzyni w białych drelichach zbiegli po stopniach wykutych w skale na wąskie moło i stanęli gotowi do chwycenia cum. Po minimalnym lawirowaniu *Secatur* przycumował niemalże dokładnie naprzeciw patrzących z brzegu i dwie kotwice z łośkotem wpadły do wody, między głazy i koralowce rozsiane w piasku wokół podnóża wyspy. Statek był tu dobrze zabezpieczony nawet przed wichrem północnym. Bond ocenił, że głębokość pod kilem wynosi około siedmiu metrów.

Gdy się tak przyglądali, na pokładzie pojawiła się olbrzymia postać Byka. Zszedł na moło i zaczął piąć się powoli po stopniach wykutych w stromej skale. Co chwila się zatrzymywał i wtedy Bond pomyślał o jego chorym sercu, trującym się pracowicie w ogromnym, szaro-czarniawym cielsku.

Za nim szło dwóch Murzynów z załogi, dźwigając na lekkich noszach przypięte pasami ciało. Przez lornetkę Bond dostrzegł czarne włosy Solitaire. Poczuł ucisk w sercu, widząc ją tak blisko. Był z troskany i zbity z tropu. Oby te nosze, pomodlił się w duchu, były po prostu środkiem ostrożności, żeby nie rozpoznał jej ktoś patrzący z brzegu.

Potem na całej długości schodów ustawiono łańcuch z dwunastu mężczyzn i kolejno podawano sobie z rąk do rąk pojemniki na ryby. Quarrel naliczył ich sto dwadzieścia.

Później w ten sam sposób wciągnięto na górę trochę zapasów.

- Tym razem niewiele tam wnieśli - skomentował po zakończeniu tej operacji Strangways. - Załedwie pół tuzina skrzynek. A zwykle jest około pięćdziesięciu. Najwyraźniej długo się tu nie zatrzyma.

Ledwie to powiedział, a już ruszył pierwszy pojemnik na ryby z góry na dół, podawany ostrożnie po tej drabinie z ludzkich rąk z powrotem na statek. Przez jego szkło było widać, że wypełniony jest do połowy piaskiem i wodą. Po nim następny i następny, co jakieś pięć minut.

- Jak Boga kocham - rzekł Strangways. - Już ładują. Czyli że z rana odpłyną. Czyżby to miało znaczyć, że postanowili uprzętać to miejsce i że to już ostatni transport?

Bond przyglądał się im bacznie przez jakiś czas, po czym spokojnie ruszyli wśród drzew na górę, zostawiając Quarrela, żeby dawał znać, co się dzieje.

Usiedli w bawialni. Strangways przyrządził sobie whisky z wodą sodową, a Bond wpatrywał się w okno i zbierał myśli.

Była godzina szósta i świetliki zaczęły pokazywać się w ciemnych miejscach. Księżyc blado-żółtawy jak pierwiosnek stał już wysoko na wschodnim niebie i za ich plecami szybko umierał dzień. Lekka bryza marszczyła zatokę i podłużne zwitki drobnych fal rozwijały się na białej plaży za trawnikiem. Kilka małych obłoczków, różowych i pomarańczowych od zachodzącego słońca, meandrowało im nad głową, a palmy tręcały się cicho w chłodnym wietrze pogrzebowym.

Wiatr pogrzebowy - pomyślał Bond i krzywo się uśmiechnął. Trzeba to załatwić dziś. Jedyna szansa i warunki niemal idealne.

Tylko że środek odstraszący rekiny nie przyjdzie na czas. Ale to już udoskonalenie, szczegół, nic istotnego. Żadne wytłumaczenie. Pokonał trzy tysiące kilometrów i uśmiercił pięciu ludzi, żeby właśnie to zrobić, a jednak dreszcz go przenikał na myśl o tej bliskości mrocznej przygody w głębi morza, którą w duchu już przełożył na jutro. Nagle ogarnął go wstręt i strach przed morzem i wszystkim, co w nim jest. Te miliony drobniutkich czułek, które będą tej nocy drgać i zwracać się w jego stronę, gdy popłynie, te oczka, co przebudzą się i będą go śledzić, tętna urywające na setną część sekundy i spokojnie dalej pulsujące, te galaretowane macki, co będą go szukać na oślep i wyciągać się ku niemu, w świetle tak samo ślepe jak w ciemności.

Przyjdzie mu brnąć przez tysiące milionów tajemnic. Trzysta metrów chłodu i samotności ma pokonać po omacku w gąszczu tajemnic, by dotrzeć do śmiercionośnej twierdzy, której strażnicy już zabili trzech mężczyzn. On, Bond, po tygodniu taplania się w słońcu i pod opieką niani, wyruszy dzisiejszej nocy, za parę godzin, na samotną przechadzkę pod czerniejącą płachtą tej wody. To wariactwo, to nie do pomyślenia. Ciarki przechodziły mu po ciele i wbijał palce w spocone wnętrza dłoni.

Zapukano do drzwi. Wszedł Quarrel. Bond z ulgą dźwignął się z fotela i przeszedł spod okna tam, gdzie Strangways rozkoszował się swoim drinkiem pod lampą z abażurem.

- Teraz pracują przy światłach, kapitanie. - Quarrel wyszczerzył zęby. - Wciąż po jednym zbiorniku co pięć minut. Liczę, że to jest roboty na dziesięć godzin. Będą gotowi około czwartej rano. Przed szóstą nie wypłyną. To zbyt ryzykowne przejście, chyba że w pełnym świetle.

Ciepłe szare oczy Quarrela spojrzały ze wspianiale mahoniowej twarzy w oczy Bonda, czekając na polecenia.

- Wyruszę punkt o dziesiątej - Bond usłyszał własny głos. - Ze skał na lewo od plaży. Czy mógłbyś nam przygotować kolację, a potem wynieść ekwipunek na trawnik? Warunki są idealne. Znajdę się tam za pół godziny. - Policzył na palcach. - Daj mi zapalniki od pięciu do ośmiu godzin. I jeden piętnastominutowy, na wypadek gdyby coś nie wyszło. W porządku?

- Rozkaz, kapitanie - odparł służbiście Quarrel. - Już ja się tym zajmę.

I wyszedł.

Bond popatrzył na butelkę whisky, zdecydował się i wlał sobie pół szklanki na trzy kostki lodu. Wyjął z kieszeni pudełko z tabletkami benzedryny i włożył jedną do ust.

- Na zdrowie - rzekł do Strangwaysa i upił duży łyk. - Usiadł i rozkoszował się mocnym, piekącym smakiem tego drinka, pierwsze go od przeszło tygodnia. - A teraz - rzekł - powiedz mi dokładnie, co zrobią, jak będą gotowi do wypłynięcia. Ile czasu im zajmie odbicie od wyspy i wydostanie się za rafę? Jeśli to ich ostatni rejs, pamiętaj, że zabiorą sześciu ludzi nadliczbowych i trochę zapasów. Postarajmy się obliczyć to jak najdokładniej.

Za chwilę Bond już pogrążył się w morzu praktycznych szczegółów i cień trwogi uleciał na powrót w ciemne głębie pod palmami.

Dokładnie o dziesiątej, nie odczuwając żadnych emocji prócz ekscytacji, połyskująca, czarna, podobna do nietoperza postać ześliznęła się ze skał w trzymetrową głębię i znikła w morzu.

- Powodzenia - rzekł Quarrel do miejsca, gdzie zniknął Bond. Przeżegnał się. Po czym on i Strangways wrócili do domu poprzez cienie, aby na przemian niespokojnie spać i trwożnie czekać.

XIX W dolinie cieni

Bonda od razu pociągnął na dno ciężar miny magnetycznej, którą umocował sobie taśmami na piersi, oraz pasa z ołowianymi ciężarkami, którym otoczył się w biodrach dla zrównoważenia wyporności butli ze sprężonym powietrzem.

Nie zatrzymał się ani na chwilę, tylko natychmiast pomknął szybkim kraulem przez pierwsze pięćdziesiąt metrów odkrytego piasku, twarzą sunąc tuż nad jego powierzchnią. Długie płetwy na stopach niemalże podwoiłyby jego normalną szybkość, gdyby nie hamował go dźwigany ciężar i w lewej dłoni lekka kusza; mimo to szybko się posuwał i po niecałej minucie zatrzymał się w cieniu rzucanym przez masę szeroko rozpostartych koralowców.

Przystanął i sprawdził swe odczucia.

W gumowym kostiumie było mu ciepło, cieplej, niż gdyby pływał w blasku słońca. Stwierdził, że łatwo mu się poruszać i oddychać, dopóki oddycha równo i spokojnie. Popatrzył na zdradzieckie bąbelki, ulatujące pod koralowy strop fontanną srebrnych perełek, modląc się w duchu, aby drobna fala uczyniła je niewidocznymi.

W otwartym morzu widoczność była idealna. Stłumione, mleczone światło nie było na tyle silne, aby roztopić makrełowate cienie od fal na powierzchni, prążkujące piasek. Tu, przy samej rafie, dno nie rzucało refleksów i cienie pod skałami były czarne i nieprzeniknione.

Zarzykował szybkie rozejrzenie się w świetle latarki ołówkowej i natychmiast podbrzusze ciężkiej masy brązowego, krzaczastego koralu ożyło. Ukwiały o szkarłatnych środkach zafalowały ku niemu aksamitnymi czułkami, spłoszona kolonia czarnych jeżowców nastroszyła raptem swe kolce jak ze stali tolekańskiej, a włochata

stonoga morska przystanęła i badawczo kręciła bezokim łbem. W piasku u podstawy drzewa koralowego żabnica po cichu cofnęła w głąb nory swój ohydny, brodawkowy łeb i trochę kwiatokształtnych wieloszczetów osiadłych znikło, jak zdmuchnięte, w swych rurkowatych domkach. Stado jarzących się jak klejnoty chetoników i ustniczków śmignęło ku światłu i rzuciła mu się w oczy płaska spirala na rozgwieźdzonej w długie promienie muszli rozkolca.

Wetknął latarkę z powrotem do pasa.

Nad nim powierzchnia morza była jak baldachim z żywego srebra. Wydawała cichutki odgłos jakby tłuszczu smażącego się na patelni. Na wprost światło księżyca przesączało się w głęboką, krętą rozpadlinę, wiodącą w głąb i tam, gdzie miał się skierować. Wyszedł spod osłony, jaką zapewniało mu drzewo koralowe, i miękko stąpając, ruszył naprzód. Teraz już nie było tak łatwo. Wątle i mylące światło ukazywało mu skamieniały las raf koralowych, pełen ślepych zaułków i zwodniczo kuszących ścieżek.

Niekiedy musiał wspinać się prawie do powierzchni, ażeby pokonać splątany gąszcz jakiegoś drzewiastego i rozgałęzionego koralowca, i wtedy korzystał z okazji, sprawdzając swą pozycję według księżyca, który w łamiącej się wodzie lśnił i rozbryzgiwał się jak rakietą. Czasami jakaś przewężona w pasie kępa osłaniała go i mógł chwilę odpocząć, wiedząc, że pianka ulatujących bąbelków skryje się w postrzępionym łbie wystającym nad powierzchnię. W tych momentach skupiał wzrok na fosforyzujących gryzmołach drobnego, podmorskiego, nocnego życia i spostrzegał całe kolonie i populacje zaprzątnięte mnóstwem swych maciupkich interesów i spraw.

Większych ryb nie było w pobliżu, za to powyłaziło z dziur mnóstwo homarów, wyglądających na olbrzymie i prehistoryczne w

powiększających soczewkach wody. Ich oczy na słupkach błyskały ku niemu czerwienią, a kolczaste, długie na stopę czułki dopytywały się o hasło. Czasami nerwowo umykały z powrotem do nor, wzbijając potężnym ogonem chmurę piasku, i czekały przykucnięte na czubkach ośmiu nóg, aż niebezpieczeństwo minie. Raz przepłynęły z wolna długie frędzle bąbelnicy; miały pięć metrów długości i omal nie otarły mu się o głowę; przypominał sobie to palące smagnięcie od samego muśnięcia jednej z macek, które piekło go przez trzy dni pobytu nad Zatoką Manatów. Jeśli dotkną człowieka w pobliżu sera, mogą zabić. Dojrzał kilka muren zielonych i nakrapianych; te ostatnie przesuwaly się jak wielkie żółto-czarne węże po piaszczystych kawałkach dna, zielone zaś wyszczerzały zęby z dziur w skałach; i kilka przysadzistych rozdymek o łagodnych, olbrzymich, zielonych oczach. Szturchnął jedną czubkiem kuszy i ryba nadeła się do wielkości piłki futbolowej, zamieniając się w biały kłęb niebezpiecznych kolców. Rozłożyste wachlarzowate gorgonie chwiały się pod wpływem ruchu wody, a w szarych dolinkach odbijały światło księżycy i powiewały widmowo, jakby strzępy całunów ludzi pochowanych na morzu. Nieraz w cieniu coś się szamotoła, woda się zakłębiła, wielkie ślepie rozjarzyły się i od razu zgasły. Wtedy Bond się natychmiast odwracał, kciukiem podnosząc bezpiecznik na swej kuszy, wpatrzony w ciemność. Ale nie wystrzelił i nic go nie napazło przez cały czas wdrapywania się i przemykania po rafach.

Pokonanie stu metrów koralowca zajęło mu kwadrans. Gdy się przedostał i odpoczywał na okrągłej bryle mózgownika, skryty pod ostatnią kępą wodorostów, z ulgą pomyślał, że zostało mu już tylko sto metrów białawo-szarej wody do przebycia. Czuł się wciąż rześko i nie opuszczała go jasność umysłu ani energia, będące skutkiem działania benzedryny, jednakże ryzykowne przejście przez rafy

ciągle go niepokoiło i bał się rozdarcia gumowego kombinezonu. Teraz miał już za sobą las brzytew koralowych; ich miejsce zajęły rekin, barakuda i być może laska dynamitu, upuszczona z nienacka w środek kwiatu, jaki tworzą na powierzchni ulatujące z niego pęcherzyki.

Właśnie obliczał grożące mu jeszcze niebezpieczeństwa, gdy złapała go ośmiornica. Za obie kostki.

Siedział ze stopami na piasku i raptem coś je przykuło do podstawy okrągłego, koralowego muchomora. Gdy za moment uświadomił sobie, co się stało, jedna macka zaczęła mu się wspinać po nodze, a druga, fioletowa w przyćmionym świetle, przesunęła się w dół po lewej stopie.

Wzdrygnął się ze strachu i wstrętu i skoczył na równe nogi, szurając i mocując się, aby się wyrwać. Ale w tym chwycie nie było ani centymetra luzu i jego ruchy stały się dla ośmiornicy tylko sposobnością, aby ściągnąć jego pięty jeszcze mocniej pod nawis okrągłej skały. Bestia okazała się zadziwiająco silna i Bond czuł, jak szybko zaczyna tracić równowagę. Jeszcze chwila i wyląduje twarzą na piasku. Wtedy, pozbawiony swobody ruchu przez minę na piersi oraz butle na plecach, może w ogóle już nie będzie mógł dobrać się do tej bestii.

Bond wyrwał z pasa sztylet i dźgnął do tyłu, pomiędzy swymi nogami. Ale przeszkadzał mu nawis koralowy, bał się, że rozpruje kombinezon. Nagle leżał jak długi na piasku. I natychmiast go zaczęło wciągać za stopy w szeroką, niską szczelinę pod skałą. Palcami skrobał po piasku i usiłował tak się zwinąć, żeby móc dźgnąć sztyltem, nie ryzykując przecięcia gumy. Ale nie pozwalał mu na to garb miny sterczącej na piersi. Bliski paniki, przypomniał sobie o kuszy. Przedtem odrzucił myśl o tej broni, uważając, że jest

beznadziejna z tak bliska, ale teraz była to jego ostatnia szansa. Leżała na piasku, gdzie ją zostawił. Sięgnął po nią i odbezpieczył. Mina uniemożliwiła mu celowanie. Wsunął wylot kuszy pomiędzy nogi, wystającym czubkiem harpuna sprawdzając jedną i drugą stopę, aby znaleźć przerwę między nimi. Od razu jakaś macka chwyciła za stalowy czubek i zaczęła mu go wrywać. Kusza wsunęła się Bondowi pomiędzy unieruchomione stopy i na oślep pociągnął za spust.

Natychmiast wielka chmura lepkiego, ciągnącego się atramentu wypłynęła ze szczeliny i zakryła Bondowi twarz. Ale jedna noga już była wolna, potem druga; chwycił za pręt metrowego harpuna znikającego pod skałą. Ciągnął i mocował się, aż harpun wyszedł z czarnej mgły wiszącej nad dziurą. Podniósł się zdyszany i odstał od skały, a pod maską pot mu ociekał z twarzy. Nad nim zdradziecki potok srebrzystych bąbelków ulatywał wprost ku powierzchni.

Bond nie miał czasu dłużej zajmować się ośmiornicą. Naładował znów kuszę i ruszył dalej, mając księżyc nad prawym ramieniem.

Teraz szybko posuwał się w mglistej, szarej wodzie, skupiając się tylko na tym, ażeby twarz utrzymywać kilka centymetrów nad piaskiem, a głowę nisko, by ciału swojemu nadać kształt opływowy. Raz dojrzał kącikiem oka ogończę wielką niby stół do ping-ponga, usuwała mu się z drogi, a końce jej wielkich, nakrapianych płetw pracowały niczym skrzydła ptaka. Ciągnęła za sobą ogon uzbrojony w jadowity kolec. Nie przejmował się nią, pamiętając, że zdaniem Quarrela ogończa nigdy nie atakuje, tylko w samoobronie. Pomyślał, że przedostała się zapewne przez rafy zewnętrzne, aby złożyć tu jaja, zwane przez rybaków „sakiewkami rusałek”, ponieważ mają kształt jakby poduszeczek ze sztywnym, czarnym sznurkiem na każdym

\rogu, leżących na osłoniętym piaszczystym dnie.

Liczne cienie ogromnych ryb przesuwały się leniwie po piasku oświetlonym przez księżyc, nieraz tak długie jak on. Gdy jeden sunął już tak obok niego co najmniej przez minutę, Bond spojrzął do góry i ujrzał trzy metry nad sobą biały brzuch rekina, przypominający siny, podłużny sterowiec. Płynął z tęnym nosem badawczo wetkniętym w wypuszczany przez Bonda strumyczek baniek powietrznych. Szeroka, sierpowata szczelina paszczy miała wygląd zgrubiałej blizny. Rekin przechylił się nieco i tytnął na niego w dół jednym twardym, różowym, gołym okiem, a następnie pokiwał ogonem jak wielka, stojąca kosa i zanurzył się wolno w ścianie szarawej mgły.

Spłoszył rodzinę kałamarnic, od prawie trzykilowej do dzieciątka ważącego może piętnaście dekagramów, kruchych i świetlistych w półmroku, unoszących się niemal pionowo, jakby malejący w perspektywie rząd chórzystek. Wyprostowały się w kształt opływowy i na odrzutowym napędzie pomknęły w dół.

W połowie drogi Bond chwilę odpoczął i ruszył dalej. Teraz już się pojawiły barakudy, wielkie, chyba ważące do dwudziestu kilo. Wygląd miały morderczy, taki jak zapamiętał. Przesuwały się nad nim jak srebrzyste łodzie podwodne, spoglądając w dół gniewnymi, tygrysimi oczyma. Ciekawił je zarówno on sam, jak i jego bąbelki, więc ciągnęły za nim, wokół niego i nad nim jak stado milczących wilków. Kiedy napotkał pierwszy kawał koralu świadczący, że się zbliża do wyspy, już chyba ze dwadzieścia ich krążyło po cichu, to znikając, to wynurzając się z otaczających go matowych ścian.

Skóra Bondowi cierpła pod czarną gumą, ale nie miał na nie sposobu, zatem koncentrował się na swym zadaniu.

Wtem ukazał się wiszący w wodzie nad nim podłużny, metalowy kształt. Tuż za nim gmatwanina pokruszonych skał pięła się stromo do góry.

Był to kil *Secatura* i Bondowi serce załomotało w piersi.

Spojrzał na roleksa na swym przegubie. Trzy minuty po jedenaściej. Wybrał siedmiogodzinny zapalnik z garści tych, które wydobyl z bocznej kieszeni zapiętej na suwak, umieścił go w przeznaczonym na ten cel otworze miny i wepchnął do końca. Pozostałe zapalniki zagrzebał w piasku, aby nie zdradziły istnienia miny, jeśliby go złapano.

Gdy podpływał do góry, niosąc już minę w dłoniach, spodem ku powierzchni, uświadomił sobie ruch i zamęt panujące w wodzie za nim. Tuż obok śmignęła barakuda z na wpół rozwartą paszczą, mało nie wpadając na niego, ze wzrokiem wbitym w coś za jego plecami. Ale Bond się skupił wyłącznie na kilu w połowie długości *Secatura* i na miejscu leżącym o metr wyżej.

Przez kilka ostatnich stóp mina go niemalże wlokła, tak się rwały jej olbrzymie magnesy do metalicznego pocałunku z kadłubem. Bond musiał ją mocno przytrzymywać, aby przy zetknięciu nie rozległo się szczęknięcie. A potem już siedziała cicho na swoim miejscu i pozbawiony jej ciężaru Bond musiał ostro machać, aby się przeciwstawić raptem nabytej wyporności, popłynąć z powrotem w dół i oddalić się od powierzchni.

Dopiero gdy się odwrócił, aby dopłynąć do podwójnych śrub *Secatura* w drodze do skalnego ukrycia, spostrzegł nagle, co działo się tuż za nim.

Wielka gromada barakud jakby oszalała. Okręcały się i kłapały w wodzie jak psy w histerii. Trzy rekiny przyłączyły się do nich i szarżowały, tyle że trochę mniej zręcznie. Woda kipiała od straszliwych ryb i Bond już kilka razy dostał ogonem po twarzy; raz po raz wpadały na niego na przestrzeni kilku metrów. Wiedział, że lada moment

jego gumowa powłoka zostanie rozdarta wraz ze znajdującym się pod nią ciałem i wtedy rzuci się na niego cała gromada.

„Warunki maksymalnie sprzyjające gromadnej agresji”. W myślach błysnęła mu ta formuła Departamentu Marynarki Wojennej. Właśnie teraz mógłby uratować go środek odstraszący rekiny. A bez niego może czekać go już tylko parę minut życia.

W desperacji młócił wodę, szybko płynąc wzdłuż kila statku z odbezpieczoną kuszą, będącą teraz jedynie zabawką wobec tej gromady oszalałych krwiożerczych ryb.

Dopłynął do dwóch wielkich, miedzianych śrub i uczył się jednej z nich, ciężko dysząc, z oczyma rozszerzonymi na widok kipiącego wokół szaleńczo morza.

Spostrzegł od razu, że paszcze śmigających, rzucających się ryb są półotwarte, że wpadają i wyskakują na powrót z brązowej chmury, rozpościerającej się w głąb od powierzchni. Tuż przy nim zawisła na chwilę barakuda, trzymająca w pysku coś brązowego i połyskliwego. Połknęła to, co miała w pysku, i nagłym skrzętem znów rzuciła się w zamęt bijatyki.

Równocześnie spostrzegł, że wokół się ściemnia. Spojrzał do góry i zobaczył, że mieniąca się dotąd jak rtęć powierzchnia morza zamieniła się w czerwień, w okropny połyskujący szkarłat. Dotarło do niego, co się dzieje.

Rozłazące się pasemka tej substancji snuły się już w pobliżu. Przyciągnął do siebie kilka z nich czubkiem kuszy i obejrzał z bliska przez szkło swej maski.

Nie było wątpliwości.

Ktoś tam na górze rozbryzguje na powierzchni morza odpadki złożone z krwi i wnętrzości.

XX W jaskini Krwawego Morgana

Bond natychmiast pojął, dlaczego wszystkie te barakudy i rekiny czają się wokół wyspy, jak conocna uczta je utrzymuje w stanie krwiożerczego szaleństwa i dlaczego, wbrew rozsądkowi, ci trzej mężczyźni, wyrzuceni przez morze, byli na wpół pożarci.

Byk po prostu zaprzął morskie stworzenia do swej ochrony. Wynalazek jakże typowy - pełen pomysłowości, niezawodny technicznie i choćby dla najgłupszego łatwy w zastosowaniu.

W momencie gdy umysł Bonda ogarnął to wszystko, coś zadało mu straszliwy cios w ramię i zobaczył, jak dziesięciokilowa barakuda cofa się, a z pyska jej zwisają czarna guma i mięso. Bond puścił brązową śrubę i rzucił się jak szalony w kierunku skał, w ogóle nie czując bólu, a jedynie okropny skurcz w żołądku na myśl o części swego ciała, które znalazło się w tej setce ostrych jak brzytwa zębów. Woda zaczęła się przesączać między skórą a obcisłą powłoką z gumy. Niebawem dojdzie do szyi i przedostanie się do wnętrza maski.

Już miał zrezygnować i wystrzelić te sześć metrów do góry, wprost ku powierzchni, kiedy w skałę przed sobą dostrzegł sporą szczelinę. Obok niej leżał na boku duży odłam skalny i udało mu się za nim przycupnąć. Obrócił się w tym częściowym schronieniu w samą porę, by ujrzeć, jak ta sama barakuda znowu pędzi na niego z górną szczęką zadartą pod kątem prostym do dolnej, ażeby zadać mu podstępny cios.

Bond strzelił z kuszy prawie na oślep. Gumowe sznury śmignęły po lufie i harpun z zadziarami trafił wielką rybę w środek zadartej

górną szczęką, przebił ją i sterczał na zewnątrz połową drzewca.

Barakuda stanęła w miejscu, ze szczękami o metr od jego brzucha. Usiłowała zamknąć paszczę, a potem gwałtownie potrząsnęła swym wydłużonym gadzim łbem i pognęła precz, wściekle zygzakując, a kusza z linką, wyrwane Bondowi z ręki, wlekły się za nią. Bond wiedział, że inne ryby zaraz rzucą się i rozszarpią ją na strzępy, zanim upłynie sto metrów.

Bond dziękował Bogu za tę darowaną chwilę. Jego ramię otoczyła już chmura krwi. Za kilka sekund inne ryby to wyczują. Prześliznęła się wokół głazu, mając nadzieję, że dobrnie jakoś do pomostu i skryje się pod nim, z głową nad powierzchnią wody, i tam zastanowi się, co dalej robić.

Wtedy spostrzegł ukrytą za głazem jaskinię.

Właściwie to były nieomal drzwi w podstawie wyspy. Gdyby nie ścigał się ze śmiercią, mógłby po prostu wejść. A tak zanurkował w otwór i zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy kilka metrów dzieliło od migoczącego wejścia.

Staął wyprostowany na miękkim piasku i zapalił latarkę. Rekin właściwie mógłby tu wpłynąć za nim, ale w tej ciasnocie byłoby prawie niemożliwe, ażeby dobrał się do niego. Poza tym nie wpadłby tak na oślep, bo nawet i rekin pośród skał lęka się o całość swojej twardej skóry, a Bond miałby aż nadto sposobności, aby dobrać mu się nożem komandoskim do oczu.

Oświetlił latarką strop i boki jaskini. Była z pewnością wykuta lub uformowana przez człowieka. Bond zgadywał, że drążono ją od środka wyspy na zewnątrz.

„Jeszcze co najmniej ze dwadzieścia metrów, chłopaki!” - tak musiał zapewniać Krwawy Morgan tych, co doglądali niewolników. A potem kilofy nagle przebiły się do morza i po chwili następne

trupy dołączyły do zwłok reszty świadków.

Ogromny głaz u wejścia niewątpliwie został tam umieszczony, aby zamknąć wylot od strony morza. Ten rybak z Zatoki Rekinów, co nagle przepadł gdzieś sześć miesięcy temu, z pewnością któregoś dnia zobaczył, że głaz odtoczony został przez burzę albo przez olbrzymią falę przypływu po huraganie. Następnie odkrył skarb i wiedział, że nie zdoła go spieniężyć bez czyjejś pomocy. Biały wspólnik go oszuka. Lepiej udać się do wielkiego murzyńskiego gangstera w Harlemie i z nim utargować, ile się da. Złoto należało do czarnych, którzy zginęli, żeby je ukryć, powinno więc trafić z powrotem do czarnych.

Stojąc tam i chybocząc się w lekkim prądzie w tunelu, Bond odgadł, że jeszcze jedna beczka cementu z pluskiem pogrążyła się w muł rzeki Harlem.

I wtedy usłyszał bębny.

Już na zewnątrz w ciżbie wielkich ryb słyszał pod wodą cichy grzmot, który wzmógł się, kiedy wpadł do jaskini. Ale myślał, że to fale tak huczą o podnóże wyspy, a poza tym miał co innego na głowie.

Teraz jednak odróżniał wyraźny rytm i brzmienie to potęgowało się, wzbierało wokół niego stłumionym hukiem, jak gdyby sam był uwięziony w ogromnym bębnie. Woda od niego zdała się dygotać. Zgadywał podwójny cel tego dudnienia. Wielki zew przeznaczony dla ryb, używany, kiedy zjawia się intruz, aby zwabić ryby i je zdennerwować. Quarrel opowiadał mu, jak rybacy tłuką po nocy pagajami o burty swych łodzi, aby zbudzić i przywołać ryby. Tu chodzi mniej więcej o to samo. A równocześnie byłaby to złowróżbna przestroga wudu dla tych na brzegu, podwójnie skuteczna, gdyby następnego dnia morze wyrzuciło trupa.

Kolejne subtelne działanie Byka, pomyślał Bond. Kolejny przebłysk jego niezwykłej inteligencji.

No, przynajmniej wiadomo, na czym stoi. Bębnienie oznacza, że go wykryto. Co pomyślą Strangways i Quarrel, gdy je usłyszą? Mogą jedynie wyczekiwać i oblewać się potem. Bond się domyślał, że w tym bębnieniu kryje się jakaś sztuczka, i wymusił obietnicę, że nie będą interweniować, chyba że *Secatur* odpłynie bez przeszkód. To by znaczyło, że wszystkie plany Bonda diabli wzięli. Tym razem powiedział Strangwaysowi, gdzie kryje się złoto i że trzeba by statek przechwycić na pełnym morzu.

Teraz wróg został już ostrzeżony, ale nie wiedzieli, kim on jest i że wciąż żyje. Musi ruszać dalej, chociażby po to, by za wszelką cenę zapobiec wypłynięciu *Solitaire* na statku skazanym na zagładę.

Bond spojrział na zegarek. Północ minęła pół godziny temu. Jemu podczas tej samotnej wyprawy przez morze niebezpieczeństw czas strasznie się dłużył.

Wymacał beretę pod gumową powłoką i zastanowił się, czy już zniszczyła ją woda, która się dostała przez rozdarcie.

I ruszył, przy bębnieniu z każdą chwilą coraz głośniejszym, w głąb jaskini, za poprzedzającym go światelkiem własnej latarki.

Przeszedł tak może z dziesięć metrów, kiedy w wodzie coś przed nim słabo zaświeciło. Zgasił latarkę i ostrożnie ruszył w tę stronę. Piaszczyste dno jaskini zaczęło się podnosić i światło z każdym krokiem robiło się jaśniejsze. Teraz już widział płasające wokół niego tuziny małych rybek, a dalej woda roiała się od nich, jakby światło przywabiało je do jaskini. Kraby spoglądały na niego ze skalnych szczelin i malutka ośmiornica rozpląszczyła się w fosforyzującą gwiazdkę na suficie.

Wreszcie dojrzał koniec jaskini. Dalej świeciła przestronna sadzawka o białym, piaszczystym dnie, jasnym jak w dzień. Tętnienie bębnow rozlegało się bardzo głośno. Przystanął w cieniu wyjścia i stwierdził, że od powierzchni dzieli go zaledwie kilka centymetrów i że światła biją w głąb sadzawki.

Bond znalazł się w kropce. Jeszcze krok i będzie widoczny jak na dłoni przez każdego, kto tylko popatrzy w głąb sadzawki. Kiedy tak stał, bijąc się z myślami, zobaczył ze zgrozą, jak rozrzedzona szkarłatna chmura krwi z jego ramienia wydobywa się z wylotu jaskini. Zapomniał o swej ranie, ale teraz ból w niej zaczął pulsować i wtem poraził go, gdy poruszył ramieniem. A w dodatku ten cienki strumyczek pęcherzyków dobywających się z butli; miał jednakże nadzieję, że te pełzną tylko do góry i niepostrzeżenie pękają na krawędzi.

Właśnie cofnął się o kilka centymetrów w głąb jaskini, kiedy ktoś za niego rozstrzygnął o przyszłości.

Nad głową usłyszał potężny plusk i dwaj Murzyni, całkiem nade, tylko w maskach na twarzy, dopadli go z długimi sztyletami, trzymanymi w lewej dłoni jak włócznie.

Zanim sięgnął po nóż u pasa, chwycili go za obie ręce i wydobyli na powierzchnię.

Bond pozwolił się wywlec z wody na płaski piasek. Poderwano go na równe nogi i szarpnięciem rozpięto suwaki gumowego kostiumu. Zdarto mu z głowy hełm i kaburę z ramienia i nagle stanął pośród szczątków swej czarnej skóry, jak wąż po wylince, tylko w slipach. Krew mu ciekła z rany szarpanej w lewym barku.

Po zdjęciu hełmu Bonda niemal ogłuszył druzgocący huk i jękanie się bębnow. Hałas ich był w nim i wszędzie wokół. Przyśpieszający synkopowany rytm galopował i tętnił mu we krwi. Wydawało się, że zbudzi całą Jamajkę. Bond skrzywił się i odciął swe zmysły

od walącej się na niego burzy hałasu. Potem dwaj strażnicy obrócili go i ujrzał przed sobą scenę tak niezwykłą, że odgłos bębnow jakby oddalił się i Bond skoncentrował się na tym, co widzi.

Na pierwszym planie, przy karcianym stole pokrytym zielonym suknem, usianym papierami, w składanym fotelu siedział Byk z piórem w dłoni i spoglądał nań obojętnie. Mister Big w doskonale skrojonym garniturze z płowego tropiku, w białej koszuli i plecionym, jedwabnym, czarnym krawacie. Szeroki podbródek podparł lewą dłonią i podniósł oczy na Bonda, jakby mu przeszkodził w obrzędzie któregoś pracownika, żądając podwyżki. Wyraz twarzy miał grzeczny i lekko znudzony.

W odległości paru kroków od niego ustawiono na skale posępny i niedorzeczny wizerunek Barona Samedi przypominającego stracha na wróble, który gapił się na Bonda spod melonika.

Byk odjął rękę od podbródka i jego wielkie złociste oczy zlustrowały Bonda od stóp do głów.

- Dzień dobry, panie James Bond - odezwał się wreszcie. - Doprawdy długo to trwało, zanim mucha przysłała do pająka albo raczej płotka do wieloryba. Już od rafy zostawiał pan ładny ślad z pęcherzyków.

Odchylił się na oparcie i zamilkł. Bębny z cicha dudniły i łomotały.

Zatem to walka z ośmiornicą zdradziła Bonda. Jego umysł zarejestrował to automatycznie, podczas gdy wzrok pobiegł dalej, omińawszy siedzącego przy stole.

Znajdował się w grocie skalnej ogromnej jak kościół. Jej dno pokrywało w połowie przejrzyste, białe jeziorko, z którego wyszedł, przechodzące w akwamarynę i granat przy czarnej dziurze podwodnego wylotu. Dalej był wążutki skrawek piasku, na którym stał, a

resztę stanowiła płaska i gładka skała z kilkoma sterczącymi z niej szarymi i białymi stalagmitami.

W pewnej odległości za Bykiem strome schody wznosiły się do sklepionego sufitu, z którego zwieszały się krótkie wapienne stalaktyty. Z ich białych sutek woda od czasu do czasu kapała do sadzawki albo na czubki młodych stalagmitów, unoszące się ku nim od gruntu.

Wysoko na ścianach grotu umocowano tuzin lamp łukowych, których blask odbijał się złociście w nagich piersiach Murzynów zgromadzonych po lewej stronie. Stali na skalnym podłożu, przewracając oczyma i wpatrując się w Bonda, a zęby im się wyszczerzały z zachwytu w okrutnym uśmiechu.

Wokół ich czarnych i różowych stóp, w szczątkach połamanego drewna i przerdzewiałych żelaznych obręczy, w strzępach zapleśniałej skóry i rozłającego się, zetłałego płótna widniało rozjarzone morze złotych monet - całe metry, stosy, kaskady żywego pieniądza i z tych złocistych krążków sterczały czarne nogi jak gdyby zatrzymane w przejściu przez ogień.

Obok piętrzyły się poustawiane stosy płytkich drewnianych tacek. Niektóre z nich leżały na ziemi, częściowo napełnione złotymi monetami, a na dole schodów jeden Murzyn przystanął po drodze, idąc na górę, w dłoniach trzymając jedną z tacek wypełnioną w całości złotymi monetami, czterema ich walcowatymi rządками, wyciągniętą w dłoniach jakby na sprzedaż.

Dalej na lewo, w rogu, dwaj Murzyni stali przy żelaznym, brzuchatym kotle zawieszonym nad trzema syczącymi lampami lutowniczymi, u podstawy rozgrzanym do czerwoności. W rękach mieli żelazne warząchwie, ochlapane złotem aż do połowy długich rękojeści. Obok nich piętrzyła się różnorodność złotych przedmiotów: talerze, przybory liturgiczne, puchary, krzyże i stos złotych sztab różnej

wielkości. W pobliżu pod ścianą ustawiono do chłodzenia tace o podzielonych w kratkę i żółto połyskujących powierzchniach. Taka sama taca stała pusta na ziemi w pobliżu kotła i długiego, zbrzydzonego złotem czerpaka o rękojeści owiniętej grubo w materiał.

Jeden z Murzynów, kucający na ziemi opodal Byka, w jednej dłoni trzymał nóż, a w drugiej kielich wysadzany klejnotami. Obok niego w blaszanej miednicy iskrzył się stos drogich kamieni - czerwonych, niebieskich i zielonych - w oślepiającym blasku lamp łukowych.

Gorąco i duszno było w tej ogromnej jaskini, a jednak Bonda przebiegał dreszcz, kiedy ogarniał wzrokiem tę wspaniałą scenę, światła rozjarzone białą z fioletowym odcieniem, połyskliwy brąz pocących się ciał, jaskrawy blask złota, tęczową kałużę klejnotów oraz mleko i akwamarynę jeziorka. Przejmowało go dreszczem piękno tego wszystkiego, ten bajeczny skamieniały balet w ogromnym skarbcu Krwawego Morgana.

Wzrok jego wrócił do kwadratu zielonego sukna i do wielkiej twarzy, do tej twarzy jak u zombi. Popatrzył w nią i w rozstawione szeroko żółte oczy z podziwem i grozą, niemalże czcią.

- Wyłączyć bębny - rzekł mister Big nie wiadomo do kogo. Przycichły już one prawie do szeptu, jak gdyby szczebiotu gdzieś w tętnie krwi. Jeden z Murzynów zrobił dwa kroki wśród złotych monet i pochylił się. Na ziemi stał przenośny odtwarzacz i przy nim potężny wzmacniacz oparty o skalną ścianę. Pstryknął i bębny umilkły. Murzyn opuścił pokrywę aparatu i wrócił na swoje miejsce.

- Do roboty - rozkazał Byk i wszystkie postacie naraz wprawiły się w ruch, jakby ktoś wrzucił monetę do automatu. W kotle zaczęto mieszać, złoto zaklekotało podnoszone i układane na tacach, jeden

z Murzynów zaczął pilnie wydłubywać klejnoty z kielicha, drugi z tacą złota ruszył znów po schodach na górę.

Bond stał, ociekając potem i krwią.

Mister Big pochylił się nad spisami leżącymi na stole i piórem dopisał parę cyfr.

Bond poruszył się i poczuł ukłucie sztyletem w nerki.

Byk odłożył pióro i dźwignął się z trudem. Odstąpił od stołu.

- Dalej ty zapisuj - rozkazał jednemu z pilnujących Bonda i nagi mężczyzna obszedł stół, usiadł na miejscu Byka i wziął pióro do ręki.

- Jego na górę. - Byk ruszył ku stopniom w skale i wolno zaczął się na nie wdrapywać.

Bond poczuł ukłucie w bok. Ściągnął resztki swojego czarnego kombinezonu i ruszył za wspinającą się powoli postacią.

Nikt nie oderwał oczu od roboty. Nikt nie zwolnił jej tempa po wyjściu Byka. Nikt nie schował sobie monety ani klejnotu w ustach.

Baron Samedi pozostał na straży.

Tylko jego zombi wyszedł z jaskini.

XXI Dobrej nocy obojgu!

Wspinali się pomału, przeszli otwartymi drzwiami pod sufitem, jeszcze kilkanaście metrów i zatrzymali się na szerokiej platformie skalnej. Tu jeden Murzyn z karbidówką osadzał tacki pełne złotych monet pośrodku zbiorników na ryby, których dziesiątki stały pod ścianą.

Kiedy tak czekali, dwaj Murzyni zeszli po schodach, podnieśli jeden z przygotowanych zbiorników i ruszyli z nim z powrotem na górę.

Bond domyślił się, że zbiorniki zaopatruje się gdzieś na górze w piasek, wodorosty i ryby, a następnie przekazuje łańcuchowi podających je po skale aż na dół. Zauważył, że niektóre z czekających zbiorników mają umocowane pośrodku sztaby złota, inne zaś wysypane są żwirem klejnotów, i zrewidował swą ocenę wartości skarbu, mnożąc ją przez cztery, z jednego może na cztery miliony funtów.

Byk przystanął tu na dłuższą chwilę ze wzrokiem wbitym w kamienną podłogę. Oddech miał głęboki, lecz spokojny. Potem znów ruszyli pod górę.

Dwadzieścia stopni wyżej znów była platforma, mniejsza i wiodły do niej drzwi. Były zamknięte na błyszczący od nowości łańcuch i kłódkę, skute z żelaznych pasów, brązowe i przeżarte rdzą.

Byk znów się zatrzymał i stali tak obok siebie na niedużej platformie skalnej.

Bondowi błysnęła myśl o ucieczce, ale pilnujący go Murzyn, jakby czytając w jego myślach, odepchnął Bonda od swojego szefa i przyparł do ściany. Bond uświadomił sobie, że jego pierwszym obowiązkiem jest pozostać przy życiu, dotrzeć do Solitaire i w jakiś sposób utrzymać ją z dala od skazanego na zagładę statku, pod którym kwas już z wolna przeżera miedziane zabezpieczenie w zapalniku czasowym.

Silny prąd zimnego powietrza ciągnął z góry i Bond poczuł, jak obsycha z potu. Podniósł prawą dłoń do rany na barku, nie przejmując się, że strażnik ukłuł go w bok sztyletem. Krew przyschła i zakrzepła, większa część ramienia zdrętwiała. Bolało go dotkliwie.

Byk się odezwał.

- Ten wiatr, panie Bond - pokazał w górę schodów - na Jamajce nazywają pogrzebowym.

Bond wzruszył tylko prawym ramieniem i nie raczył w ogóle odpowiedzieć.

Byk odwrócił się do żelaznych drzwi, wyjął z kieszeni klucz i otworzył kłódkę. Wszedł, a za nim Bond i jego strażnik.

Znaleźli się w długim pomieszczeniu, wąskim niby korytarz, gdzie pordzewiałe klamry sterczały u dołu ścian w odstępach mniejszych niż metr.

W dalszym końcu, gdzie z kamiennego stropu zwisała latarnia sztormowa, leżała na ziemi pod kocem nieruchoma postać. Druga latarnia sztormowa wisiała nad ich głowami w pobliżu drzwi, poza tym wilgotną skałę czuć było pradawnymi torturami i śmiercią.

- Solitaire - przemówił cicho Byk.

Bondowi podskoczyło serce i szarpnął się do przodu. Olbrzymia dłoń zaraz go chwyciła za ramię.

- Wolnego, białasie! - warknął jego strażnik i wykręcił mu rękę na plecy, jednocześnie ciągnąc ją w górę, aż Bond wierzgnął w tył lewą nogą. Ugodził go w pizszel, co zabolało gorzej Bonda niż strażnika.

Byk się odwrócił. Mały pistolet prawie ginął w jego ogromnej dłoni.

- Puść go - rozkazał cichym głosem. - Jeśli chce pan mieć dodatkowy pępek, panie Bond, proszę się nie krępować. Mogę panu zrobić sześć.

Bond przepchnął się obok Byka. Solitaire już zerwała się i rzuciła ku niemu. Na widok jego twarzy podbiegła, wyciągając ręce.

- James - wyszlochała. - James.

Omal mu nie upadła pod nogi. Dłonie ich znalazły się i wczepiły w siebie.

- Daj mi kawałek liny - rozkazał stojący w drzwiach Byk.

- Już dobrze, Solitaire - powiedział Bond, wiedząc, że wcale tak nie jest. - Już dobrze. Jestem przy tobie.

Podniósł ją i trzymał na odległość ramion, przez co bolała go lewa ręka. Solitaire była blada i potargana. Miała guza na czole i ciemne kręgi pod oczyma. Na jej umorusanej twarzy łyzy wyźłobiły ślady, tworząc blade smugi. W ogóle była nieumalowana, stała w brudnym kostiumie z białego płótna i sandałach. Wpatrywała się w niego.

- Co ci zrobił ten skurwysyn? - zapytał Bond.

Przytulił ją z całych sił. Przyłgnęła do niego, twarz chowając na jego szyi.

Potem odsunęła się i spojrzała na jego dłoń.

- Ty krwawisz - powiedziała. - Co się stało?

Obróciła go na wprost i zobaczyła czarną krew przyschniętą na barku i wzdłuż ramienia.

- Kochanie, co ci zrobili?

Znów rozpląkała się żałością, beznadziejnie, nagle uświadomiwszy sobie, że oboje są zgubieni.

- Zwiąż ich - powiedział mister Big. - Tutaj pod lampą.

Mam im co nieco do powiedzenia.

Murzyn ruszył w ich kierunku i Bond się odwrócił. Czy warto zaryzykować? Murzyn nie miał w ręku nic oprócz liny. Ale Byk odstąpił w bok i przyglądał mu się, trzymając pistolet lufą nieco do dołu.

- Nie, panie Bond - rzekł po prostu.

Bond popatrzył na wielkiego Murzyna i pomyślał o Solitaire. O swym zranionym ramieniu.

Murzyn podszedł i Bond pozwolił mu związać sobie ręce za plecami. Węzły były solidne, bez żadnego luzu. Boleśnie wrzynały się w ciało.

Bond uśmiechnął się i puścił oko do Solitaire. Była to brawura i nic poza tym, ale dostrzegł, że obudził w niej czujność i nadzieję.

Murzyn powiódł go z powrotem do drzwi.

- Tam - rozkazał Byk, wskazując na którąś kłamrę.

Murzyn niespodziewanie podciął Bondowi nogi, a ten zwałił się na zranione ramię. Murzyn chwycił za linę i powlókł go do kłamry, sprawdził, czy jest dobrze przytwierdzona, przeciągnął przez nią linę i wrócił z jej wolnym końcem do nóg Bonda, które dokładnie związał. Sztylet miał zatknięty w szczelinę w skale. Wyrwał go, obciął linę i wrócił do stojącej wciąż Solitaire.

Bonda zostawił siedzącego na podłodze z nogami wyciągniętymi w przód, z rękami do tyłu, podciągniętymi w górę i przywiązany. Krew kapała ze świeżo otwartej rany. Tylko resztki benzedryny w organizmie nie dawały mu zemdleć.

Związaną Solitaire umieszczono prawie naprzeciw niego. Stopy ich oddalone były o metr.

Mister Big spojrzął na zegarek.

- Idź - rzekł do strażnika. Zamknął za wychodzącym żelazne drzwi i oparł się o nie.

Bond i dziewczyna patrzyli na siebie, a Byk przyglądał się z góry obojgu.

Po dłuższym milczeniu zwrócił się do Bonda, który podniósł na niego wzrok. Głowa jak wielka, szara piłka futbolowa pod lampą sztormową wyglądała niczym żywiołak, złośliwy duch ze środka ziemi, zawieszona w powietrzu, z jarzącymi się niezmiennie złotymi oczyma, bez cielska skrytego w cieniu. Bond musiał sobie przypominać, że słyszał, jak serce Byka bije w klatce piersiowej, słyszał, jak oddycha, widział krople potu na szarej skórze. To tylko

człowiek, tak jak i on, ogromny, bardzo inteligentny człowiek, mimo to człowiek chodzący i wypróżniający się, śmiertelnik o chorym sercu.

Szerokie gumowe usta rozwarły się i spomiędzy lekko wywiniętych warg błysnęły wielkie białe zęby.

- Z ludzi wysyłanych dotąd przeciwko mnie pan jest najlepszy - rzekł mister Big. Jego matowy, przyciszony, miarowy głos był pełen namysłu. - Zdołał pan uśmiercić czterech moich asystentów. Dla moich wyznawców to wprost niewiarygodne. Już najwyższy czas wyrównać rachunki. To, co stało się z Amerykaninem, nie wystarczy. Zdrada tej dziewczyny - patrzył ciągle na Bonda - którą wy dobyłem z rynsztoka i zamierzałem uczynić swą prawą ręką, też podważa wiarę w moją nieomyślność. Zastanawiałem się, jak powinna umrzeć, gdy opatrność, lub raczej Baron Samedi w przekonaniu moich wyznawców, pana też sprowadziła na ołtarz z głową już schyloną pod topór.

Zamilkł na chwilę, ale Bond widział, że zamierza coś dodać.

- Zatem umrzecie razem. Stanie się to w odpowiedni sposób - tu Byk spojrział na zegarek - za dwie i pół godziny. Czyli o szóstej - dodał - z dokładnością do mniej więcej kilku minut.

- To już lepiej o te kilka więcej - rzekł Bond. - Bo mnie się podoba każda minuta życia.

- W dziejach emancypacji Murzynów - podjął Byk tonem swobodnej pogawędki - nie brakowało wielkich sportowców, wielkich muzyków, pisarzy, wielkich doktorów i badaczy. Z biegiem czasu pojawią się, tak samo jak w dziejach rozwoju innych ras, wielcy i sławni Murzyni w każdej innej dziedzinie życia. - Umilkł na chwilę. - Na swoje i tej dziewczyny nieszczęście, panie Bond, wy spotkaliście pierwszego z wielkich czarnych kryminalistów. Posłużyłem się

tym wulgarnym określeniem, panie Bond, albowiem to pan użyłby go jako swego rodzaju policjant. Lecz ja uważam się raczej za kogoś obdarzonego takimi zdolnościami oraz sprawnością nerwów i umysłu, ażeby stanowić własne prawa i według nich postępować, a nie uznawać praw odpowiednich dla ogółu ludzi. Z pewnością czytał pan *Instykt stadny w czasach wojny i pokoju* Trottera, panie Bond. Otóż ja z natury i skłonności należę do wilków i żyję według wilczych praw. To rzecz naturalna, że owce nazywają takich zbrodniarzami.

Fakt, iż udaje mi się przeżyć, panie Bond - podjął Byk po przerwie - i cieszyć się powodzeniem, które nie zna granic, mimo iż jestem sam przeciw niezliczonym milionom owiec, można przypisać stosowaniu współczesnych technik, które już opisywałem panu w trakcie naszej poprzedniej rozmowy, oraz mej bezgranicznej dokładności. Nie tej mozolnej, tępej, lecz subtelnej i artystycznej. Okazuje się bowiem, panie Bond, że nietrudno jest przechrzyć owce bez względu na ich liczbę, jeżeli się do tego przyłożyć i jeżeli z natury jest się znakomicie wyposażonym do tego wilkiem.

Pokażę panu, jak działa mój umysł. Wezmę tu dla przykładu sposób, w który umrzecie. Będzie to współczesny wariant metody stosowanej za czasów mego życzliwego patrona sir Henry'ego Morgana. Znana była wówczas jako przeciąganie pod kilem.

- Proszę kontynuować - rzekł Bond, starając się nie patrzeć na Solitaire.

- Mamy na jachcie trał - podjął Byk jak chirurg opisujący grupie studentów delikatną operację - którego używamy do łowienia rekinów lub innych większych ryb. Trał składa się, jak panu wiadomo, z kabla zakończonych dużym pływakiem w kształcie torpedy i ciągnięty utrzymuje się z boku płynącego statku, tak iż może podtrzymywać brzeg holowanej sieci. W czasie wojny można go

zaopatrzyć w urządzenie do przecinania kabli, na których stoją miny na uwięzi.

Zamierzam - kontynuował Byk rzeczowym tonem wykładowcy - przywiązać was do liny ciągnącej się za trałem, i tak wlec po morzu, aż zjedzą was rekiny.

Tu przerwał, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie. Solitaire patrzyła rozszerzonymi oczyma na Bonda, a Bond, chociaż spojrzenie miał bez wyrazu, myślał intensywnie. Poczuł, że wypada mu coś powiedzieć.

- Duży z ciebie mężczyzna - przemówił - i pewnego dnia czeka cię okropna śmierć. Jeśli nas zabijesz, tylko to przyspieszysz. Zatrzaszczyłem się o to. Popadasz w obłąd coraz szybciej, bo inaczej rozumiałbyś, co ściągniesz na siebie, gdy nas zamordujesz.

Kiedy wypowiadał te słowa, jego umysł pracował na wysokich obrotach, licząc godziny i minuty, bo śmierć Byka też nadciągała, gdy kwas trawił zapalnik, ze wskazówką zegarka zbliżającą się do przeznaczonej mu godziny ostatecznego spotkania. Ale czy on i Solitaire będą już martwi, zanim ta godzina wybije? Może zabraknąć im minut, a może sekund. Pot ociekał mu z twarzy na piersi. Uśmiechnął się do Solitaire. Odpowiedziała mu niewidzącym spojrzeniem.

Nagle wydała krzyk pełen udręki, od którego Bond aż się wzdrygnął.

- Nie wiem! - zawołała. - Nie widzę. To jest tak blisko, tak jedno przy drugim. Tyle śmierci. Ale...

- Solitaire! - krzyknął do niej Bond przerażony, że cokolwiek by dziwnego ujrzała w przyszłości, może to ostrzec Byka. - Opanuj się!

W jego ostrym tonie zabrzmiała wściekłość. Oczy jej rozjaśniły się. Spojrzała nań w otępieniu, jakby nie rozumiejąc.

Mister Big znów się odezwał.

- Wcale nie popadam w obłąd, panie Bond - rzekł obojętnie - i cokolwiek pan zaplanował, mnie to nie dotknie. Umrzecie za rafą i nie będzie żadnych dowodów. Będę holował resztki waszych ciał tak długo, aż nic nie zostanie. Taki jestem zmysłny. Trzeba też panu wiedzieć, że rekin i barakuda mają pewne znaczenie w religii wudu. Będzie im złożona ofiara i Baron Samedi zostanie przebłagany. To zadowoli moich wyznawców. A poza tym chcę dalej prowadzić eksperymenty z rybami drapieżnymi. Sądzę, że atakują tylko wtedy, kiedy w wodzie jest krew. Dlatego wasze ciała zostaną odholowane od wyspy. Trafił przeciągnie je bokiem po rafach. Sądzę, że wewnątrz rafy nie poniesiecie szwanku. Krew i odpadki, wylwane tutaj co noc, rozproszą się do tego czasu lub zostaną pożarte. Ale kiedy wasze ciała zostaną przeciągnięte po rafach, obawiam się, że zaczniecie krwawić, wasze ciała obdarte zostaną do żywego. A wtedy przekonamy się, czy moje teorie są słuszne.

Mister Big sięgnął za siebie i otworzył drzwi.

- Teraz was zostawię - powiedział - byście sobie przemyśleli doskonałość metody, którą zastosuję, żeby was razem uśmiercić. Załatwia się dwie konieczne egzekucje. Nie zostawia się żadnych dowodów. Zaspokaja się potrzeby zabobonu. Moi wyznawcy są zadowoleni. Ciała wykorzystuje się do badań naukowych. To właśnie miałem na myśli, panie James Bond, mówiąc o mej bezgranicznej dokładności w realizowaniu wysiłku artystycznego.

Staął w drzwiach i popatrzył na nich.

- Życzę wam krótkiej, ale bardzo dobrej nocy.

XXII Groza morska

Jeszcze się nie rozjaśniło, kiedy przyszedli po nich strażnicy. Rozciąto liny krępujące im nogi i z rękoma nadal przywiązanymi do ciała wprowadzono ich na górę po stopniach.

Stanęli wśród nielicznych drzew i Bond wciągnął przez nos chłodne powietrze ranka. Spojrzał między drzewami na wschód i zobaczył, że gwiazdy bledną, a horyzont pojaśniał od nadchodzącego świtu. Nocny śpiew świerszczy prawie ucichł i gdzieś w głębi wyspy przedrzeźniacz wybulgotał swe pierwsze nuty.

Ocecił, że jest około wpół do szóstej.

Stali tak przez kilka minut. Murzyni przemykali obok, niosąc tobołki i torby z palmowej plecionki, wesoło do siebie szepcząc. W rozrzuconych wokół chatkach krytych strzechą drzwi pozostawiano otwarte na oścież. Murzyni podchodzili gęsiego do krawędzi skalnej na prawo od Bonda i Solitaire, po czym znikali w przepaści, by już nie wrócić. Ewakuacja. Związał się cały garnizon wyspy.

Bond otarł się nagim ramieniem o Solitaire, a ona przytuliła się do niego. Po dusznym więzieniu było tu chłodno i dygotał. Ale i tak lepiej, że wreszcie się coś dzieje, niż mieliby czekać w napięciu tam na dole.

Oboje wiedzieli, co trzeba robić, i byli świadomi ryzyka.

Kiedy Byk odszedł, Bond nie marnował czasu. Szeptem powiedział jej o minie magnetycznej przyczepionej pod statkiem i mającej eksplodować kilka minut po szóstej, i wyjaśnił, jakie czynniki zdecydują, kto umrze tego ranka.

Po pierwsze stawiał na właściwą Bykowi manię precyzji i niezawodnej sprawności. *Secatur* musi wypłynąć punktualnie o szóstej. Poza tym nie może być chmur, bo przy niedostatecznej widoczności

w półświatle brzasku jacht nie mógłby ryzykować przejścia przez rafy i Byk opóźniłby odplynięcie. Jeżeli wtedy Bond i Solitaire znajdą się koło statku na pomoście, zginą wraz z Bykiem.

Zakładając, że jacht wypłynie dokładnie o czasie, jak daleko w bok i za rufą ich ciała będą holowane? Na pewno po lewej burcie, aby trał mógł ominąć wyspę. Jego długość Bond obliczał na jakieś pięćdziesiąt metrów, a oni będą ciągnięci mniej więcej dwadzieścia do trzydziestu metrów za pływakiem trału.

Jeśli dobrze obliczył, to zostaną przeciągnięci po zewnętrznej rafie jakieś pięćdziesiąt metrów za przejściem. Zapewne *Secatur* pojedzie do niego z szybkością około trzech węzłów, a potem przyspieszy do dziesięciu, może nawet dwudziestu. Ciała Bonda i Solitaire na początku będą powolnym łukiem oddalały się od wyspy, kręcąc się i obracając na końcu liny. Później trał wyprostuje się i odejdzie w bok, a gdy statek już wypłynie za rafę, oni jeszcze będą się do niej zbliżać. Kiedy wreszcie trał przejdzie po rafie, statek będzie już około czterdziestu metrów poza nią, a oni dopiero przed nią.

Bond zadrzał na myśl o tym, co będzie się dziać z ich ciałami wleczonymi po tych dziesięciu metrach ostrych jak brzytwa skał i koralach. Skóra z ich pleców i nóg zostanie zdarta.

Po drugiej stronie rafy staną się już tylko ogromną, krwawą przynętą i najdalej za kilka minut dopadnie ich pierwszy rekin czy barakuda.

Tymczasem Byk będzie wygodnie siedział na rufie, przyglądając się krwawemu widowisku, zapewne z lornetką, odliczając sekundy i minuty, w miarę jak żywa przynęta zmniejsza się i zmniejsza, i wreszcie ryby będą chwytać zębami już tylko skrwawioną linę.

Aż nic nie zostanie.

I wówczas trał zostanie wciągnięty na pokład, a jacht popłynie z gracją ku swym odległym celom, takim jak archipelag Florida Keys, przylądek Sable i przeszycona słońcem przystań w St Petersburgu.

A jeżeli mina wybuchnie, gdy oni będą jeszcze w wodzie, zaledwie pięćdziesiąt metrów od statku? Jak odczują falę uderzeniową? Może nie od razu zginą. Większość fali uderzeniowej pochłonie kadłub statku. Rafa może ich osłonić.

Bondowi pozostało tylko zgadywać i mieć nadzieję.

Nade wszystko muszą pozostać żywi do ostatniej możliwej sekundy. Muszą ciągle oddychać, wleczeni jak żywy tobołek przez morze. Wiele zależy od tego, w jaki sposób ich do siebie przywiążą. Byk dołoży starań, aby pozostali jak najdłużej przy życiu. Nie zależy mu na martwej przynęcie.

Bond doszedł do wniosku, że utopi Solitaire, gdy pierwsza płetwa rekinia ukaże się za nimi na powierzchni. Utopi ją, przekręcając jej ciało pod siebie i tak ją trzymając. A potem spróbuje sam się utopić, przekręcając jej martwe ciało nad siebie, aby go wtoczyło pod wodę.

Na każdym zakręcie jego myśli czaił się koszmar, niemalże o mdłości przyprawiająca groza w każdym poszczególnym aspekcie przeraźliwych tortur i śmierci, które dla nich ten człowiek wymyślił. Ale Bond wiedział, że musi zachować absolutny chłód i do końca walczyć o życie ich obojga. Trochę pocieszająca była świadomość, że Byk i większość jego ludzi też zginą. Żywił również słabą nadzieję, że on i Solitaire mogą to przeżyć. Dla wroga, jeżeli mina nie zawiedzie, nie ma żadnej nadziei.

Wszystko to i setka innych szczegółów, planów i pomysłów kłębiło się w głowie Bonda przez ostatnią godzinę, nim wyprowadzono ich po schodach na górę. Każdym okrucieństwem nadziei dzielił się z Solitaire. Trwogę zostawiał dla siebie.

Leżała naprzeciw, wpatrzona w niego zmęczonymi, niebieskimi oczyma, posłuszna, ufna, chłonąc jego twarz i słowa, uległa, kochająca.

- Nie martw się o mnie, kochany - powiedziała, gdy przyszli po nich. - Czuję się szczęśliwa, że jestem znów przy tobie. Tylko to mam w sercu. I jakoś wcale się nie boję, choć w pobliżu jest śmierć. Czy kochasz mnie choć trochę?

- Tak - odpowiedział Bond. - I ta miłość nas nie ominie.

- Wstawać - polecił jeden z mężczyzn.

A teraz, na powierzchni, rozjaśniało się i z dołu dobiegało krztuszenie się i ryk dwóch potężnych diesli. Zatrzepotała leciutko bryza idąca od nawietrznej, ale po zawietrznej, gdzie stał statek, zatoka była wciąż jak spiżowe lustro.

Z podziemnego wyjścia wynurzył się Byk ze skórzaną teczką w rękę. Stał chwilę, rozglądając się, by odzyskać oddech. Nie zwracał uwagi na Bonda i Solitaire ani na dwóch strażników, którzy pilnowali ich z rewolwerami w rękę.

Popatrzył w niebo i raptem zawołał donośnym, czystym głosem ku wychylającemu się rąbkowi słońca:

- Dziękuję ci, panie Henry Morgan! Twój skarb zostanie dobrze użyty. Daj nam pomyślny wiatr.

Czarni strażnicy błysnęli białkami oczu.

- No i mamy wiatr pogrzebowy - rzekł Bond. Byk spojrział na niego.

- Czy wszyscy już na dole? - spytał strażników.

- Ta jes, szefie - odparł jeden z nich.

- Zabrać ich - rozkazał.

Ruszyli na krawędź skały i stromymi schodami na dół, z jednym strażnikiem z przodu, drugim z tyłu. Byk szedł za nimi.

Maszyny długiego i pełnego gracji jachtu pracowały po cichu,

wydech lekko bulgotał, z rufy unosiła się smużka błękitnej pary.

Na pomoście dwaj ludzie stali przy cumach. Na pokładzie było ich tylko trzech oprócz kapitana i nawigatora na szarym opływowym mostku. Dla innych nie starczyłoby miejsca. Całą przestrzeń pod pokładem zastawiono pojemnikami na ryby, tylko na rufie umieszczono krzesło wędkarskie. Czerwony Proporzec ściągnięto z masztu i jedynie na rufie zwisała nieruchomo flaga amerykańska.

Na wodzie o kilka metrów od burty spoczywał bez ruchu czerwony pływak w kształcie torpedy, długości prawie dwóch metrów, teraz przebarwiony światem na błękit. Przyczepiony był do stalowego kabla, zwiniętego w duży stos na pokładzie rufowym. Bond ocenił, że jest go tam dobre pięćdziesiąt metrów. Woda była krystalicznie przejrzysta i ani jednej ryby w pobliżu.

Wiatr pogrzebowy prawie zamarł. Wkrótce od morza powieje wiatr lekarski. Czy prędko? - pomyślał Bond. Czy to wróżba?

Daleko za statkiem widział między drzewami dach Beau Desert, ale pomost i statek, i skalna ścieżka były jeszcze pogrążone w głębokim cieniu. Bond zastanawiał się, czy można ich dojrzeć przez noktowizor. A jeżeli tak, to co Strangways pomyśli.

Byk, stojąc na pomoście, doglądał, jak ich związują.

- Rozebrać ją - rzekł do strażnika.

Bondowi twarz drgnęła. Zerknął ukradkiem na zegarek, który miał na rękę Byk. Za dziesięć szósta. Milczał. Nie może być ani minuty zwłoki.

- Ubranie rzuć na pokład - polecił Byk. - Udrzeć parę kawałków i przewiązać mu ramię. Żeby krew się nie rozchodziła w wodzie. Na razie.

Materiał rozcięto nożem i zdarto z Solitaire ubranie. Stała blada i naga. Spuściła głowę i ciężkie czarne włosy opadły jej na twarz.

Ramię Bonda przewiązano z grubsza pasami z jej płóciennej spódnicy.

- Ty skurwysynu - wysyczał Bond.

Wedle wskazówek Byka rozwiązano im ręce. Ściśnięto ich ze sobą ciało do ciała, twarz do twarzy, jedno otoczyło drugie rękoma, które znów mocno związane.

Bond czuł na ciele miękkie piersi Solitaire. Schyliła twarz na jego prawe ramię.

- Nie tak chciałam - szepnęła drżąco.

Bond nie odpowiedział. Liczył sekundy.

Na pomoście leżał stos liny łączącej się z pływakiem trału. Zwiślała do wody i Bond widział, że leży na piaszczystym dnie, a potem unosi się pod brzuchem czerwonej torpedy.

Wolnym końcem obwiązano ich pod pachami i zadzierzgnięto mocny węzeł pomiędzy nimi, w miejscu oddzielającym ich szyje. Wszystko to zrobiono bardzo starannie. Nie mieli szans uwolnić się.

Bond liczył sekundy. Jeszcze pięć minut... do sześciu.

Byk obejrzał ich po raz ostatni.

- Nogi zostawcie wolne - powiedział. - Będzie to apetyczna przynęta. - Wyszedł z pomostu na pokład jachtu.

Dwaj strażnicy podążyli jego śladem. Dwaj na pomoście zdjęli cumy i wskoczyli na pokład. Śruby wzburzyły nieruchomą wodę i z maszynami ciągnącymi połową mocy naprzód *Secatur* odsunął się szybko od wyspy.

Byk przeszedł na rufę i zasiadł w krześle wędkarskim. Widzieli, że się w nich wpatruje. Bez jednego słowa. Bez ruchu. Po prostu przyglądał się.

Secatur ciął wodę, płynąc ku rafie. Bond widział kabel do pływaka zsuwający się za burtę. Pływak ruszył miękko za statkiem. Nagle zanurkował dziobem, wyrównał i popędził, sterując w bok i

oddalając się od toru statku.

Zwój liny obok nich zbudził się do życia.

- Teraz uważaj - rzekł z naciskiem Bond i mocniej objął dziewczynę.

Omiał nie wyłamało im rąk ze stawów, kiedy jednym szarpnięciem zmiotło ich z pomostu do morza.

Zanurzyli się oboje na sekundę, a potem znaleźli się na powierzchni, rozcinając połączonymi ciałami wodę.

Bond gwałtownie chwycił powietrze w bryzgach i falach przelatujących mu koło ust. Słyszał przy uchu rżący oddech dziewczyny.

- Oddychaj, oddychaj! - krzyknął w pędzącej wodzie. - Złap nogami moje nogi.

Usłyszała go i poczuł jej kolano wciskające mu się pomiędzy uda. Rozkaszała się spazmatycznie, potem jej oddech wyrównał się nieco przy jego uchu, a serce przestało bić tak szybko. Równocześnie zmalała szybkość, z jaką ich ciągnięto.

- Wstrzymaj oddech! - krzyknął Bond. - Muszę spojrzeć. Gotowa?

Odpowiedziała mu uściskiem ramion. Poczul, jak jej piersi się uniosły, gdy nabierała powietrza.

Ciężarem swego ciała obrócił ją tak, że miał teraz głowę całkiem na wierzchu.

Płynęli z szybkością około trzech węzłów. Wykręcił głowę, aby wychylić ją ponad małą falę, którą piętrzyli przed sobą.

Secatur wchodził w przejście między rafami, w odległości chyba osiemdziesięciu metrów. Pływak trału pomykał z wolna, równolegle i teraz niemalże pod kątem prostym do osi statku. Jeszcze trzydzieści metrów i czerwona torpeda znajdzie się na wzburzonej wodzie nad rafą. Trzydzieści metrów dalej oni suną z wolna po gładkiej zatoce.

To razem sześćdziesiąt metrów do rafy.

Bond przekręcił się i Solitaire wynurzyła się, łapiąc oddech.

Ciągle jeszcze posuwali się z wolna po wodzie.

Pięć metrów, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia.

Jeszcze tylko czterdzieści metrów i wpadną na koralowce.

Secatur zapewne właśnie przepłynął. Bond oddychał głęboko. Musi już być po szóstej. Co z tą przeklętą miną? Bond krótko, lecz żarliwie pomodlił się w myśli.

- Boże, ratuj - powiedział w wodę.

Wtem poczuł, że lina mu się napięła pod pachami.

- Oddychaj, Solitaire, oddychaj! - zawołał, kiedy ruszyli z miejsca i woda zaczęła wokół nich syczeć.

Teraz już gnali po morzu ku czającej się rafie.

Na mgnienie oka zwolnili. Bond się domyślił, że to pływak zaczepił o wystającą kępę lub kawał sterczącego nad powierzchnią koralu. Potem ciała ich pognały dalej w śmiertelnym uścisku.

Jeszcze trzydzieści metrów, dwadzieścia, dziesięć.

Jezu Chryste, pomyślał Bond. Nie udało się. Napiął mięśnie, aby znieść ten miazdzący i rwący ból, przesunął Solitaire nieco ponad siebie, aby chronić ją przed tym najgorszym.

Wtem potworna pięść grzmotnęła go, tak że uderzył w Solitaire, aż na chwilę wyrzuciło ją nad powierzchnię. Ułamek sekundy później piorun rozświetlił niebo i potoczył się grzmot eksplozji.

Znieruchomieli w wodzie i Bond poczuł, że ciężar obwisłej liny ściąga ich w głąb.

Był ogłuszony, woda mu się wdarła do ust.

To właśnie go oprzytomniło. Uderzył rozpaczliwie nogami i ich usta znalazły się nad powierzchnią. Dziewczyna w jego ramionach była jak martwa. Rozpaczliwie machał nogami i rozglądał się, utrzymując nad powierzchnią bezwładną głowę Solitaire.

Od razu dostrzegł kłębiące się wody rafy niecałe pięć metrów dalej. Bez tej osłony zgniotłaby ich fala uderzeniowa eksplozji. Poczul, jak prądy i wiry skubią go i trącają po nogach. Wyrywał się rozpaczliwie ku tej rafie, chwytając spazmatycznie powietrze. Płuca mu pękały, a niebo widział przez czerwoną mgiełkę. Lina wciągała go, a włosy dziewczyny pchały się w usta i starały się go udławić.

Wtem poczul na łydkach ostrą tarkę koralu. Wierzgając i próbując szaleńczo znaleźć oparcie dla stóp, zdierał sobie przy każdym ruchu skórę z nóg.

Prawie nie czuł bólu.

Teraz orało mu plecy i ramiona. Gramolił się niezdarne, a płuca rozsadzało mu i paliło żywym ogniem. Wtem wyczuł pod stopami łożo tortur. Wparł się w nie całym ciężarem, odchyłony w tył, aby przemoc silne wiry, próbujące go znieść. Jednak utrzymał się stopami na miejscu i skatę miał za plecami. Oparł się o nią, dysząc, smugi krwi unosiły się wokół niego w wodzie, przyciskał do siebie chłodną, ledwie oddychającą dziewczynę.

Odпочywał przez chwilę, błogo, z zamkniętymi oczyma i krwią tętniącą w kończynach, boleśnie krztusząc się i kaszląc, czekając, aż jego zmysły zaczną normalnie funkcjonować. Zmartwiła go krew unosząca się dokoła w wodzie. Miał nadzieję, że duże ryby nie zapuszczą się w głąb rafy. Tak czy inaczej nie mógł na to nic poradzić.

Potem spojrział na morze.

Po *Secaturze* nie został ślad.

Wysoko widniał grzyb dymu, już zaczynający odpływać z wiatrem lekarskim w stronę ładu.

Woda była usiana różnymi przedmiotami i podskakiwało w niej kilka głów, a morze połykiwało białymi brzuchami ryb ogłuszonych lub zabitych eksplozją. Silna woń materiału wybuchowego wisiała

w powietrzu. Na skraju tych szczątków unosił się dnem do góry czerwony pływak zakotwiczony na kablu, którego drugi koniec najwidoczniej leżał gdzieś na dnie. Na szklistej powierzchni morza wybuchały fontanny bąbelków.

Poza kręgiem podskakujących głów i martwych ryb szybko cięło wodę kilka trójkątnych płetw. Kiedy tak Bond patrzył, zjawiało się ich coraz więcej. Raz ujrzał, jak wielki pysk wynurza się z wody i uderza w coś z góry. Bryzgi poszły od płetw migających pośród smakowitości. Dwie czarne ręce wystrzeliły nagle w powietrze i znikły. Rozlegały się krzyki. Nagle dwie, trzy pary rąk zaczęły tłuc wodę. Jeden z pływających zatrzymał się, aby dłonią na płask uderzyć przed sobą wodę. Potem dłonie znikły pod powierzchnią. Później pływak wrzasnął i jego ciało zaczęło się miotać w wodzie tam i z powrotem. Barakuda go chwyciła, podpowiedział oszołomiony umysł Bonda.

Ale jedna z głów zbliżała się, podążając ku tej części rafy, na której stał Bond. Drobne fale łamały się Bondowi pod pachami, a na plecach zwisały czarne włosy dziewczyny.

Zbliżająca się głowa była wielka i zasłona krwi spływała na twarz z rany w ogromnej łysej czaszce.

Bond przyglądał się, jak mister Big prze do przodu niezdatną żabką, czyniąc dość zamętu w wodzie, aby przywabić każdą rybę, która jeszcze nie żeruje.

Bond zastanawiał się, czy Byk dociągnie do rafy. Zmrużył oczy i spokojnie obserwował, jaka będzie decyzja okrutnego morza.

Głowa podpływała coraz bliżej. Bond widział już obnażone zęby i twarz, na której malował się gorączkowy wysiłek. Krew na wpeł przysłaniała wybałuszone oczy. Prawie że słyszał, jak wielkie i chore serce tłucze się pod szaro-czarniawą skórą. Czy przestanie działać, zanim coś chwyci przynętę?

Mister Big się zbliżał. Plecy miał nagie; wybuch zapewne zdarł z niego ubranie, domyślał się Bond; ale został mu czarny jedwabny krawat, widoczny wokół grubej szyi, unoszący się za głową jak u Chińczyka warkocz.

Bryzg wody zmył trochę krwi z oczu. Szeroko rozwarte wpatrywały się obłąkańczo w Bonda. Nie dostrzegł w nich błagania o pomoc, były tylko wytrzeszczone od fizycznego wysiłku.

Bond spoglądał w nie, teraz już oddalone ledwie o dziesięć metrów, gdy nagle zamknęły się i ogromną twarz wykrzywił bolesny grymas.

- Ach! - wyrwało się Bondowi.

Ręce przestały młócić wodę i głowa znikła, by po chwili znowu się wynurzyć. Chmura krwi wypłynęła na wierzch i zabarwiła morze. Para dwumetrowych, wąskich, brązowych cieni wycofała się z krwawej chmury i z powrotem dała w nią nurka. Ciało w wodzie targnęło się w bok. Z wody wynurzyło się pół lewej ręki Byka. Bez dłoni, bez nadgarstka i bez zegarka.

Jednak mister Big wciąż żył i przeciągle, chrapliwie wrzeszczał, przestając tylko wtedy, gdy barakuda rzucała się na zwisające pod wodą ciało.

Od strony zatoki rozległ się okrzyk. Bond nie zwrócił nań uwagi. Wszystkimi zmysłami chłonał potworną scenę rozgrywającą się w wodzie.

W odległości paru metrów płetwa rozcięła powierzchnię i zatrzymała się.

Bond czuł, jak rekin dotyka ofiary nosem jak pies, jak krótkowzroczne różowe guziczki oczu starają się przejrzeć chmurę krwi i ocenić zdobycz. Potem rzucił mu się na pierś i wrzeszcząca głowa zniknęła pod wodą raptownie jak szałwik.

Na powierzchni pękło kilka baniek.

Olbrzymi ogon w brązowe prążki śmignął i zmaścił wodę, kiedy olbrzymi żarłacz tygrysi cofnął się, aby przełknąć wyrwany kęs i znowu zaatakować.

Głowa znów wychynęła na powierzchnię. Usta były zamknięte. Żółte oczy jakby wciąż patrzyły na Bonda.

Potem pysk żarłacza całkiem wychylił się z wody i pognał w kierunku głowy, a wygięta dolna szczeka tak się rozwarła, aż światło błysnęło na zębach. Nastąpił straszliwy chrzęst i chrupnięcie, woda się potężnie zakotłowała.

Po chwili zapadła cisza.

Bond rozszerzonymi oczyma nadal wpatrywał się w brązową, coraz to szerszą i szerszą plamę na morzu.

Dziewczyna jęknęła i Bond oprzytomniał.

Za nim rozległ się drugi okrzyk. Odwrócił głowę ku zatoce.

To Quarrel z połyskliwym brązowym torsem, sterczącym jak wieża z wąskiego kadłuba łodzi, pędził, młócąc pagajem wodę, a daleko za nim wszystkie pozostałe czółna rybackie z Zatoki Rekinów mknęły jak pluskolce po drobnych falkach, które zaczęły marszczyć powierzchnię.

Zerwał się rzeński północno-wschodni pasat i słońce oświetlało niebieskie wody i miękkie zielone zbocza Jamajki.

Pierwsze łzy od czasu dzieciństwa napłynęły Bondowi do szarobłękitnych oczu i pociekły po zapadniętych policzkach w zabarwione krwią morze.

XXIII Wypoczynek zmysłowy

Jak dwa bujające się szmaragdowe kolczyki para kolibrów oblatywała ostatni raz kwiaty hibiskusa i przedrzeźniacz rozpoczął wieczorny śpiew, piękniejszy od słowiczego, na szczycie pachnącego nocą krzaka jaśminu.

Strzępiasty cień przelatującej fregaty przesunął się po zieleni trawy bermudzkiej przed domem, gdy unosząc się na prądach powietrznych, pożegłowała w górę wybrzeża ku jakiejś odległej kolonii, a łupkowo-niebieski zimorodek zaskrzeczał gniewnie na widok mężczyzny siedzącego w ogrodzie na fotelu. Zmienił kierunek lotu i odfrunął przez morze ku wyspie. Żółty jak siarka motyl trzepotał w fioletowych cieniach pod palmami.

Niebieskie wody zatoki były spokojne. Skały na wyspie przechodziły w głęboki róż w blasku zachodzącego już za domem słońca.

Po bardzo długim upalnym dniu pachniało wieczorem i chłodem. Lekki zapach dymu torfowego z ognia, na którym piekła się kasawa, dolatywał z jakiegoś szałas w rybackiej wiosce.

Solitaire wyszła z domu i ruszyła boso po trawie. Niosła na tacy shaker i dwa kieliszki do koktajli. Postawiła ją na bambusowym stoliku przy fotelu Bonda.

- Miejmy nadzieję, że mi wyszło - powiedziała. - Sześć do jednego to chyba okropnie mocne. Nigdy jeszcze nie próbowałam martini z wódką.

Bond podniósł na nią wzrok. Miała na sobie jego białą jedwabną piżamę. O wiele dla niej za dużą. Wyglądała w tym stroju absurdalnie dziecinnie.

Roześmiała się.

- Co sądzisz o mojej szmince z Port Maria? - spytała. - I te brwi zrobione ołówkiem HB. Z resztą mojej urody nic już nie mogłam zrobić poza tym, że się umyłam.

- Wyglądasz cudownie - powiedział Bond. - Jesteś absolutnie najpiękniejszą dziewczyną w całej Zatoce Rekinów. Gdybym jeszcze czuł ręce i nogi, wstałbym, żeby cię pocałować.

Solitaire nachyliła się i przeciągle pocałowała go w usta, jedną ręką mocno objąwszy za szyję. Wyprostowała się i odgarnęła mu z czoła kosmyk czarnych włosów.

Patrzyli na siebie chwilę, po czym Solitaire odwróciła się do stołu i nalała mu koktajl. Sobie też wlała pół kieliszka i usiadłszy na ciepłej trawie, oparła głowę o jego kolano. Bawił się jej włosami i tak siedzieli przez jakiś czas, wpatrzeni między palmami w morze i w gasnące światło na wyspie.

Dzień upłynął na wylizywaniu się z ran i na uprzątnięciu resztek po wielkiej rzezi.

Kiedy Quarrel ich wysadził na małej plaży koło Beau Desert, Bond zaprowadził Solitaire przez trawnik do łazienki. Nalał jej pół wanny gorącej wody. Nie całkiem świadomą namydlił i umył. Oczyszczywszy ją z soli i śluzu koralowców, pomógł jej wyjść z wanny, osuszył ją i merthiolatem opatrzył dziewczynie plecy i uda, pocięte rafą koralową. Następnie napił ją środkiem nasennym i ułożył nagą we własnym łóżku między prześcieradłami. Pocałował ją. Usnęła, nim zdążył zaciągnąć żaluzje.

Następnie sam wszedł do wanny, a Strangways namydlił go i niemalże skąpał całego w merthiolacie. Pozdzierana do żywego skóra krwawiła w wielu miejscach, a lewe ramię zdrętwiało mu od ukąszenia barakudy. Stracił na ramieniu kawałek mięśnia. Od pięknego merthiolatu aż zazgrzytał zębami.

Ubranego w szlafrok Bonda Quarrel zawiózł do szpitala w Port Maria. Przed wyruszeniem Bond zjadł obfite śniadanie i z błogością zapalił pierwszego papierosa. Usnął w samochodzie i przespał wszystkie zabiegi na stole operacyjnym, po czym dalej spał w łóżku szpitalnym, gdzie umieszczono go wreszcie całego w bandażach.

Quarrel zabrał go z powrotem do Beau Desert we wczesnych godzinach popołudniowych. Strangways tymczasem już działał dzięki informacjom dostarczonym przez Bonda. Oddział policji obsadził Wyspę Niespodzianek, oznaczono bojami leżący na głębokości około czterdziestu metrów wrak *Secatura* i motorówka straży celnej z Port Maria patrolowała ten rejon. Holownik ratowniczy i nurkowie z Kingston byli już w drodze. Miejscowi dziennikarze wysłuchali krótkiego oświadczenia i straż policyjna u wejścia do Beau Desert stała już w pogotowiu, aby odpędzać hordę reporterów, którzy zjawiają się na Jamajce, gdy tylko świat usłyszy o całej historii. Tymczasem szczegółowe raporty przesłano do M i do Waszyngtonu, ażeby cała banda Byka w Harlemie i St Petersburgu mogła być zgarnięta i tymczasowo zatrzymana pod zarzutem przemytu złota.

Nikt z załogi *Secatura* nie przeżył, za to miejscowi rybacy zwieźli tego ranka prawie tonę zabitych ryb.

Na Jamajce huczało od plotek. Zwarte szeregi samochodów stały na skałach nad zatoką i na dole wzdłuż plaży. Rozeszły się wieści o skarbie Krwawego Morgana, ale także o tłumnie go broniących rekinach i barakudach, więc nie znalazł się taki pływak, co by zechciał pod osłoną ciemności wybrać się na miejsce katastrofy.

Do Solitaire przybył lekarz, ale zastał ją pochłoniętą głównie tym, skąd wziąć jakieś ubranie i właściwy odcień szminki do ust. Dzięki Strangwaysowi następnego dnia przysłano jej z Kingston do wyboru cały asortyment kosmetyków. Na razie eksperymentowała

z zawartością walizki Bonda i wazonu hibiskusów.

Niedługo po tym, jak Bond powrócił ze szpitala, przybył także z Kingston Strangways. Miał depeszę dla Bonda od M. Treść jej była następująca:

SPODZIEWAM SIE ZE WNIOŚLEŚ ROSZCZENIE DO
SKARBU NA SWOJE NAZWISKO W IMIENIU UNIVERSAL
EXPORT STOP PRZYSTĘPOWAĆ NATYCHMIAST DO WY-
DOBYCIA STOP WYNAJĘTY ADWOKAT BĘDZIE DOCHO-
DZIĆ NASZYCH ROSZCZEŃ WOBEC SKARBU PAŃSTWA I
URZĘDU KOLONIALNEGO STOP NA RAZIE DOBRA ROBO-
TA STOP UDZIELAM DWÓCH TYGODNI URLOPU DLA
ZMYSŁOWEGO WYPOCZYNKU KONIEC

- Pewnie chciał napisać: umyślowego - rzekł Bond.

Strangways miał uroczysty wyraz twarzy.

- Ja również tak uważam - powiedział. - Sporządziłem kompletny raport z wykazem szkód, jakich doznałeś. I dziewczyna też - dodał.

- Hm - rzekł Bond. - Szyfrantki u M zwykle się nie mylą w symbolach. A zresztą.

Strangways pilnie wpatrywał się swym jedynym okiem w okno.

- Jakież to typowe dla tego starego diabła - zauważył Bond - żeby najpierw pomyśleć o złocie. On pewnie wyobraża sobie, że to przejdzie i że jakoś uniknie redukcji w przydziałach z tajnego funduszu, jak w parlamencie przyjdzie do następnych kalkulacji. Chyba połowa jego życia schodzi na użeraniu się ze skarbem państwa. Ale trzeba przyznać, że szybko wystartował.

- Zgłosiłem twoje roszczenie w rezydencji gubernatora, gdy tylko dostałem tę depeszę - oznajmił Strangways. - Ale nie będzie to

łatwe. Bo i Korona niewątpliwie się po to zgłosi, i Ameryka też się włączy, skoro był obywatelem amerykańskim. Ta sprawa będzie się długo wlokła.

Trochę jeszcze porozmawiali, po czym Strangways odjechał, a Bond wyszedł do ogrodu, żeby posiedzieć i pomyśleć na słońcu.

Rozmyślał o niebezpiecznej ścieżce, na którą wkroczył w swej długiej pogoni za Bykiem i bajecznym skarbem, wracały do niego wspomnienia chwil, gdy jego życie wisiało na włosku.

Ale teraz jest już po wszystkim i siedzi tu w słońcu pośród kwiatów, u stóp mając swoją nagrodę i dłońią mierzwiąc jej długie czarne włosy. Uczepił się tego momentu i pomyślał o czterestu dobach, które będą mieli tylko dla siebie.

W kuchni za domem z trzaskiem rozbiło się jakieś naczynie i rozległ się krzyk Quarrela.

- Biedny Quarrel - odezwała się Solitaire. - Wypożyczył najlepszą kucharkę ze wsi i spustoszył targi, aby naszykować nam niespodzianki. Zdobył nawet kilka czarnych krabów, pierwszych w tym sezonie. Piecze również małe, nieszczęsne prosiątko, jeszcze oseska, i przyrządza sałatkę z awokado oraz gujawy w śmietance kokosowej. A komandor Strangways przywiózł nam skrzynkę najlepszego szampana na Jamajce. Już ślinka mi cieknie. Tylko pamiętaj, że to ma być sekret. Wstąpiłam do kuchni i zastałam kucharkę niemal we łzach.

- Będzie nam towarzyszył w naszym zmysłowym wypoczynku - rzekł Bond. Powtórzył jej treść depeszy od M. - Spędzimy go w domu na palach wśród palm i na ośmiu kilometrach złotego piasku. A ty będziesz się mną bardzo troskliwie zajmować, bo nie mogę się z tobą kochać, mając jedną ręką niesprawną.

W oczach Solitaire, kiedy na niego spojrziała, dostrzegł żar i namiętność, lecz uśmiechnęła się niewinnie. - A co powiesz o moich plecach? - spytała.

Od tłumacza

à la mèche courte: fr. o krótkich puklach.

açon: jakiś instrument perkusyjny. Francuszczyzna z Haiti może nie różnić się od ogólnej, ale ma też sporo własnego słownictwa, a jej gwarowa odmiana kreolska bywa tak odrębna, że niezrozumiała dla Francuza. Stąd również wiele różnic i niekonsekwencji w pisowni. To jeden z powodów, dla których nie wszystkie z imion i nazw pojawiających się tu w związku z religią wudu można zidentyfikować i objaśnić.

allumeuse: fr. uwodzicielka, kokietka, budząca pożądanie itp. Dosłownie: zapalająca lub rozniecająca.

Aubusson: miasto we Francji słynne z wyrobu dywanów i tkanin obiciowych.

Baron Samedi: patrz *Gede*.

Bóg Cmentarny, czyli **Baron Cimetière:** najważniejszy spośród *Gede*, nie jest bynajmniej identyczny z Baronem Samedi.

butterscotch: słodka masa złożona głównie z masła i brązowego cukru.

chienne: fr. suka.

Czerwony Proporzec: ang. *Red Ensign*. Brytyjska flaga handlowa. W odróżnieniu od flagi narodowej cała czerwona i mająca flagę narodową tylko w górnej ćwiartce przy drzewcu.

dżdżu: fetysz lub amulet murzyński i zawarta w nim groźna siła magiczna.

Eak: jeden z sędziów w greckim świecie umarłych.

ectually: przekreślona forma ang. wyrazu *actually* „faktycznie”. Amerykanie żartują, że Anglicy nadużywają tego wyrazu

fírynosomy: jaszczurki zamieszkujące stepy i pustynie Stanów Zjednoczonych i Ameryki Środkowej.

Gede: w innej pisowni *Ghédé* albo *Guede*. W religii wudu nazwa rodowa około 30 bóstw śmierci. Najbardziej znany z nich jest Baron Samedi, nazwany tak od francuskiego *samedi* „sobota”. Wyobrażani są jako grabarze w czarnych cylindrach i zakietach oraz czarnych okularach.

habeas corpus: akt z 1679 roku, który wyznacza w Wielkiej Brytanii ścisłe prawa dotyczące uwięzienia kogokolwiek i rygorystycznie ogranicza w tym zakresie wszelką samowolę ze strony władz.

juju: patrz *dżudżu*.

krzyż: choć zapożyczony z katolicyzmu, ma w religii wudu zupełnie inne znaczenie. Jego pionowa belka, której dolna część tkwi symbolicznie w Afryce, oznacza związek ziemi z niebem i drogę, po której zstępują bóstwa. Pozioma poprzeczka to świat ludzki, a na ich przecięciu mieszczą się wszelkie obrzędy i kontakty między tymi światami.

Księga Umarłych: zawierała wykaz grzechów niepopelnionych. W starożytnym Egipcie wkładano ją do trumny zmarłemu, aby ułatwić mu usprawiedliwienie się przed sądem bogów.

Liebfraumilch: łagodnie korzenny rodzaj białego wina reńskiego.

loup-garou: fr. wilkołak.

Maîtrese, czyli pani *Erzuli* albo *Ezili:* haitańska bogini miłości i płodności.

merthiolat: lek odkażający.

MI 5: brytyjska służba bezpieczeństwa, zajmująca się działalnością kontrwywiadowczą.

Morgan Henry (1635?—1688) zwany *Krwawym Morganem:* bukanier i później gubernator Jamajki, sławny z legendarnego

skarbu, którego dzieje zostały tu bardzo zwięźle opisane.

MWD: ros. Ministerstwo Wnutriennich Diel, tzn. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, czyli sowiecka bezpieka.

opłątwa brodaczkowata (*Tillandsia usneoides*): zwana również mchem hiszpańskim, gatunek z rodziny zapyłcowatych, bezkorzeniowy epifit nadrzewny.

shuffleboard: gra polegająca na przesuwaniu krążków kijem na odpowiednio numerowane pola.

Smiersz: potoczny skrót od ros. nazwy *СМерьмь Улноном*, czyli Śmierć Szpiegom, oficjalnie Dziewiąty Oddział do Spraw Terroru i Dywersji, stworzony podczas II wojny światowej nadzwyczaj groźny wydział sowieckiego kontrwywiadu, zajmujący się uśmiercaniem, porywaniem oraz innymi formami likwidacji wrogów ZSRR za granicą. Często spotykany w utworach Iana Fleminga, który jednak nie wymyślił go, chociaż bywa o to posądzany.

tonnelle: fr. rodzaj dużej altany.

ungan albo fr. **houngan:** kapłan w religii wudu. Jego żeńskim odpowiednikiem jest kapłanka *mambo*. Główny kapłan i główna kapłanka nazywają się *papaloo* i *mamaloo*.

Uroboros: olbrzymi wąż czy robak z mitologii starożytnej, trzymający w paszczy własny ogon.

Winchell Alexander: wydał w 1877 roku przysłowiowe dzieło głoszące sojusz nauki i religii.

wudu: pisane też *voodoo*, *vodou* i na wiele innych sposobów: wyraz pochodzi z *vodu* „demon, duch opiekuńczy” w afrykańskim języku ewe. Ponura i ekstatyczna religia z wyspy Haiti, do której obrzędów należą m.in. krwawe ofiary i rozwiązłe tańce seksualne, oparta głównie na zniekształconych wierzeniach afrykańskich z domieszką katolickich. Surowo zabroniona i tajna przez wiele stuleci, od roku 1791 stała się symbolem i hasłem wyzwoleniczych walk

czarnej ludności, a od roku 1957 nieoficjalną, ale faktycznie uznaną i panującą religią na Haiti.

yeah, nope i ***sure***: ang. *tak, nie* i *pewnie* w częstej wymowie typowo amerykańskiej. Anglicy pokpiwają sobie z Amerykanów, jakoby niewiele poza tym mających do powiedzenia.